

E-Book



epub

BARSOOM VIII

Edgar Rice Burroughs

MIECZE MARSA



Wyjątkowa seria z amerykańską, brytyjską i rosyjską science fiction i fantasy



Książki i e-booki Edgara Rice'a Burroughsa w serii Galaktyka Gutenberga:

cykl Barsoom

Księżniczka Marsa

Bogowie Marsa

Władca Marsa

Thuvia, wojowniczką Marsa

Szachiści Marsa

Władca umysłów z Marsa

Wojownik Marsa

Miecze Marsa

Sztuczni ludzie z Marsa

Llana z Gathol

cykl Pellucidar

We wnętrzu Ziemi

Pellucidar

Tanar z Pellucidaru

Tarzan w Pellucidarze

Powrót do epoki kamienia

Kraina Grozy

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.
Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

Edgar Rice Burroughs

miecze marsa

Przełożył
Tomasz Walenciak

Spis treści

Wyjątkowa seria...

Karta tytułowa

PROLOG

ULSIO RAPAS

FAL SIVAS

W PUŁAPCE

ŚMIERĆ W MROKU

MÓZG

STATEK

TWARZ W DRZWIACH

PODEJRZENIE

NA BALKONIE

JAT OR

DOM GAR NALA

„ZGINIEMY OBYDWOJE!”

ŚCIGANI

NA THURIE!

THURIA

NIEWIDZIALNY NIEPRZYJACIEL

CZŁOWIEK-KOT

SKAZANY NA ŚMIERĆ

OZARA

PRÓBA UCIECZKI

WIEŻA DIAMENTÓW

W MROCZNEJ CELI

UKRYTE DRZWI

POWRÓT NA BARSOOM

PROLOG

Księżyc wstał właśnie nad brzegiem kanionu w okolicy górnych dopływów Małego Kolorado, zalewając miękkim blaskiem rosnące na brzegach górskiego potoku wierzby i topole, pod którymi stała niewielka drewniana chata, gdzie zatrzymałem się, aby spędzić parę tygodni w Górach Białych.

Stałem na ganku, rozkoszując się subtelnym pięknem arizońskiej nocy, a chłonąc spokój i ciszę krajobrazu, nie mogłem uwierzyć, że zaledwie parę lat temu w tym samym miejscu, przed tą samą chatą mógł stać groźny i dziki Geronimo, lub że wiele pokoleń wcześniej kanion sprawiający wrażenie pustkowia zamieszkiwał obecnie wymarły lud.

Poszukiwałem sekretu pochodzenia tych ludzi i jeszcze bardziej niezwyklej tajemnicy ich wymarcia w ruinach ich miast, szczerze żałując, że wietrzejące bazaltowe urwiska nie mogły przemówić i opowiedzieć mi o wszystkim, co widziały, od kiedy wylały się strumieniem lawy z wygasłych, milczących kraterów, którymi usiany jest płaskowyż za kanionem.

Powróciłem myślami do Geronimo i jego dzikich Apaczów, budząc w ten sposób pamięć o kapitanie Johnie Carterze z Wirginii, którego martwe ciało spoczywało dziesięć lat w zapomnianej górskiej jaskini, niedaleko od tego miejsca, jaskini, w której szukał kryjówki przed ścigającymi go indiańskimi wojownikami.

Mój wzrok podążał za tokiem myśli, przeszukując nocne niebo, dopóki nie spoczął na czerwonym oku Marsa, lśniącym w atramentowej ciemności pustki. Stąd też Mars przede wszystkim zaprzętał mi głowę, kiedy wróciłem do chaty i szykowałem się do snu pod szeleszczącymi liśćmi topól, których delikatna, kojąca kołysanka łączyła się z pluskiem i bulgotaniem Małego Kolorado.

Nie byłem senny, więc rozebrałem się i ustawiłem lampę naftową przy łóżku, po czym zacząłem delektować się lekturą opowieści o gangsterach, pełnej porwań i morderstw.

Moja chata składa się z dwóch pomieszczeń. Mniejsze, na tyłach domu, to sypialnia. Frontowe, większe, służy wszystkim innym celom, pełniąc jednocześnie funkcje kuchni, jadalni i pokoju dziennego. Nie widać go z łóżka, ponieważ sypialnię odgradza od niego cienkie przepierzenie, zbudowane z ledwie obrobionych desek. Deski te, wskutek kurczenia, dzielą dość szerokie przerwy, poza tym rzadko zamykam drzwi między pokojami, więc choć nie widziałem sąsiedniego pomieszczenia, usłyszałbym wszystko, co mogło się w nim wydarzyć.

Nie wiem, czy jestem bardziej podatny na sugestię niż przeciętny człowiek, ale muszę przyznać, że opowieści o morderstwach, tajemnicach i gangsterach zawsze wydają mi się bardziej żywe, kiedy czytam je samotnie w cichych godzinach nocy.

Dotarłem właśnie do fragmentu, w którym płatny zabójca skradał się do ofiary porywaczy, kiedy usłyszałem, jak drzwi chaty otworzyły się i zamknęły, po czym dobiegł mnie wyraźny szczęk metalu o metal.

O ile wiedziałem, nikt poza mną nie obozował w górnym biegu Małego Kolorado, a już na pewno nikt nie miał prawa wchodzić bez pukania do mojej chaty.

Podniosłem się na łóżku i sięgnąłem pod poduszkę po Colta kalibru 0.45.

Światło lampy padało głównie na mnie, pozostawiając większą część sypialni w półmroku. Wychyliłem się z łóżka i zajrzałem za próg. Frontowy pokój spowijała ciemność.

– Kto tam? – zapytałem, odwodząc bezpiecznik i zsuwając stopy na podłogę, po czym – nie czekając na odpowiedź – zgasiłem lampę dmuchnięciem.

W pokoju obok ktoś roześmiał się cicho. – Dobrze, że te ściany są tak dziurawe – stwierdził czyjś głęboki głos – inaczej napytałbym sobie biedy. Ten pistolet, który zdążyłem zauważyć, zanim zdmuchnąłeś lampę, wyglądał naprawdę groźnie.

Głos brzmiał znajomo, ale nie mogłem połączyć go jeszcze z twarzą. – Kto tam? – powtórzyłem.

– Zapal światło a wejdę – odpowiedział nocny gość. – Skoro czujesz się niepewnie, możesz celować w drzwi, ale nie pociągaj, proszę, za spust, dopóki nie będziesz miał okazji przyjrzeć mi się.

– Cholera! – zakląłem pod nosem, zapalając ponownie lampę.

– Gorący cylinder?

– I to bardzo – odpowiedziałem, kiedy udało mi się w końcu podpalić knot i zamocować ponownie rozgrzaną szklaną osłonę. – Wchodź.

Siedziałem nadal na brzegu łóżka, celując w wejście. Znów usłyszałem metaliczny szczęk, po czym ktoś wszedł w słabe światło lampy i stanął na progu. Był to wysoki mężczyzna, z wyglądu między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia, o szarych oczach i czarnych włosach. Nie miał na sobie ubrania, jeśli nie liczyć skórzanych pasów upręży, na których wisiała broń nie przypominająca niczego, co można zobaczyć na Ziemi: długi i krótki miecz, sztylet i pistolet. Nie musiałem jednak odnotowywać wszystkich tych szczegółów, aby go rozpoznać. Na jego widok, odrzuciłem natychmiast pistolet i zerwałem się z łóżka.

– John Carter! – zawołałem.

– We własnej osobie – odpowiedział z rzadko goszczącym na jego ustach uśmiechem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. – Niewiele się zmieniłeś – powiedział.

– Ani ty. Nic a nic.

Westchnął i uśmiechnął się znowu. – Bóg jeden wie, ile mam lat. Nie pamiętam żadnego dzieciństwa, nie przypominam też sobie, żebym

kiedykolwiek wyglądał inaczej niż dzisiaj, ale wystarczy tego – nie możesz przecież tak stać z bosymi nogami. Noce w Arizonie nie są zbyt ciepłe.

Przysunął krzesło i usiadł. – Co czytasz? – zapytał, podnosząc czasopismo, które upadło na podłogę. Spojrzał na okładkę. – Wygląda na krwawą historię.

– Taka tam opowiadka do poduszki, o zabójstwach i porwaniach – wyjaśniłem.

– Czyżby na Ziemi było ich tak mało, że czytasz o tym dla rozrywki? Na Marsie mamy ich aż nadto.

– To tylko zwykłe chorobliwe zainteresowanie tym, co okropne. W gruncie rzeczy zupełnie nieuzasadnione, poza faktem, że lubię takie historie. Ale teraz straciłem już zainteresowanie. Opowiedz mi o sobie, o Dejah Thoris, Carthorisie, i o tym, co cię tu sprowadza. Lata minęły, od kiedy ostatnio cię widziałem. Porzuciłem już nadzieję, że kiedyś tu wrócisz.

Potrzasnął głową z pewnym, jak mi się zdawało, smutkiem. – To długa historia o miłości i lojalności, nienawiści i zbrodni, pełna mieczy, niezwykłych miejsc i jeszcze bardziej niezwykłych ludów na obcym świecie. Słabszy człowiek wpadłby pewnie w obłąd, gdyby przyszło mu ją przeżyć. Stracić ukochaną osobę, uprowadzoną przez porywaczy, i nie znać jej losu!

Nie pytałem, kogo miał na myśli. Mogła to być tylko niezrównanej urody Dejah Thoris, księżniczka Helium i jego żona: kobieta, dla której nieśmiertelnej urody miliony mieczy przez długie lata pokrywało się krwią na dogorywającej planecie.

John Carter siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu, wbijając wzrok w podłogę. Wiedziałem, że myślami był czterdzieści trzy miliony mil stąd, i nie chciałem zakłócać ich toku.

– Ludzka natura wszędzie jest taka sama – powiedział w końcu, przewracając kartkę leżącego na łóżku magazynu. – Zdaje nam się, że chcemy zapomnieć o życiowych tragediach, ale tak nie jest. Jeśli zaczną nas

omijać i choć na moment zostawiają nas w spokoju, przywołujemy je znowu w myślach lub w sposób podobny do tego, który wybrałeś. Podobnie jak tobie sprawia ponurą przyjemność czytanie o nich, znajduję dręczącą rozkosz w snuciu o nich rozważań.

Ale wspomnienia tej wielkiej tragedii nie są aż tak bardzo ponure. Sporo w nich przygody, honorowej walki, a wreszcie... ale może chcesz o tym posłuchać?

Rzecz jasna, odpowiedziałem twierdząco, wobec czego opowiedział mi tę historię, którą spisałem jego własnymi słowami, na ile jestem w stanie je sobie przypomnieć.

ULSIO RAPAS

Ponad dziewiętnaście tysięcy mil na wschód od bliźniaczych miast Helium, mniej więcej na 30. stopniu szerokości południowej i 172. stopniu długości wschodniej, leży Zodanga. Miasto to zawsze było siedliskiem wszelkiego rodzaju kłopotów, od kiedy najechałem je na czele hord zielonoskórych Tharków i zdobywszy, oddałem w posiadanie Helium.

Za jego posępnymi murami mieszka wielu tubylców, którzy nie poczuwają się do żadnej lojalności wobec Helium; ściągęła tam również pewna liczba malkontentów z wielkiego cesarstwa, którym włada wielki jeddak Tardos Mors. Schronienie znalazł tam także niejeden z osobistych i politycznych przeciwników jego rodu i zięcia, Johna Cartera.

Odwiedzałem to miasto jak najrzadziej, ponieważ nie darzyłem go ani jego mieszkańców zbytnią sympatią. Co jakiś czas jednak wzywały mnie tam obowiązki, przede wszystkim dlatego, że było główną siedzibą jednej z najpotężniejszych gildii płatnych zabójców na Marsie.

Gangsterzy, zabójcy i porywacze są przekleństwem mojej ojczyzny, ale w porównaniu z kwitnącymi na Marsie organizacjami, stanowią niewielkie zagrożenie. Tam zabójstwo podniesiono do rangi zawodu, a porwania stały się sztuką. Przestępcy mają tam własne gildie, prawa, zwyczaje i kodeks etyczny, a oddziały ich stowarzyszeń są tak liczne, że zdają się nierozzerwalnie wplecione w życie społeczne i polityczne planety.

Od lat próbowałem wykorzeńić ten szkodliwy system, ale zadanie okazało się niewdzięczne i rozpaczliwe. Zabójcy, okopani za odwiecznymi szańcami tradycji i zwyczaju, cieszą się w powszechnej świadomości pozycją otoczoną swoistym romantycznym urokiem i godnością.

Porywacze nie cieszą się już takim poparciem, ale wielu spośród sławniejszych zabójców cieszy się tym samym szacunkiem mas, co wasi

giganci ringu i baseballu.

Co więcej, w toczonej z nimi wojnie byłem osamotniony, ponieważ nawet ci z mieszkańców Marsa, którzy podzielali moje odczucia w tej sprawie, uważali również, że wystąpienie w niej po mojej stronie przeciw płatnym zabójcom byłoby po prostu kolejnym sposobem na samobójstwo. Mimo to, jestem przekonany, że nawet to by ich nie powstrzymało, gdyby uważali, że istnieje choć nikła nadzieja na ostateczne zwycięstwo.

Fakt, że tak długo unikałem ostrza skrytobójcy, zakrawał dla nich na cud i przypuszczam, że tylko moje niezachwiana pewność, że potrafię się o siebie zatroszczyć, nie pozwalała mi przybrać tej samej opinii.

Dejah Thoris i Carthoris, mój syn, radzili mi często, żebym zarzucił tę walkę, ale nigdy nie uznawałem porażki i nie zamierzałem dobrowolnie zrezygnować z okazji do stoczenia porządnej wojny.

Pewne rodzaje zabójstw na Marsie karane są śmiercią, a większość zleczanych skrytobójcom zadań mieści się w tych kryteriach. Dotychczas była to jedyna broń, jaką mogłem posłużyć się przeciw nim, a i to nie zawsze z powodzeniem, zwykle bowiem trudno było udowodnić płatnym mordercom winę, gdyż nawet naoczni świadkowie bali się zeznawać przeciw nim.

Stopniowo jednak stworzyłem i rozwinąłem inny sposób zwalczania ich. Polegał on na stworzeniu ukrytej organizacji skrytobójców. Innymi słowy, postanowiłem zwalczać diabła ogniem.

Kiedy dochodziło do zabójstwa, moja organizacja występowała w roli detektywa tropiącego mordercę. Następnie przyjmowała funkcje sądu, ławy przysięgłych, a wreszcie kata. Wszelkie działania odbywały się w najwyższej tajemnicy, ale serce każdej ofiary znaczone wyciętym sztyletem na skórze znakiem X.

Zwykle, o ile w ogóle mogliśmy działać, uderzaliśmy szybko i wkrótce społeczeństwo i zabójcy nauczyli się łączyć znak na sercu ze znamieniem karzącej ręki sprawiedliwości, a liczba zabójstw w części większych miast

imperium znacznie spadła. Poza tym jednak, wyglądało na to, że byliśmy równie daleko od obranego celu, jak w chwili, kiedy zaczęliśmy.

Najsłabsze wyniki osiągnęliśmy w Zodandze, a tamtejsi płatni zabójcy chełpili się otwarcie, że byli dla mnie zbyt sprytni, bowiem choć nie wiedzieli tego na pewno, domyślali się, że znamię na piersi ich martwych towarzyszy wycięła organizacja, na czele której stałem.

Mam nadzieję, że nie zanudziłem cię objaśnianiem tych suchych faktów, ale wydawało mi się to konieczne, aby wprowadzić cię w świat przygód, które zawiodły mnie na obcą planetę, abym tam pokrzyżował plany złowrogich sił, przez które w moim życiu zagościła rozpacz.

Tocząc wojnę z płatnymi zabójcami, nigdy nie zdołałem znaleźć wielu agentów w Zodandze, a ci, których tam miałem, nie działali z pełnym przekonaniem, wobec czego nasi wrogowie mieli wszelkie powody, aby drwić z naszego braku sukcesów.

Stwierdzenie, że ten stan rzeczy mnie irytował, byłoby grubym niedopowiedzeniem, postanowiłem więc wybrać się do Zodangi osobiście, aby przeprowadzić wnikliwe dochodzenie i udzielić tamtejszej gildii zabójców lekcji, po której ich kpiny wyszłyby im bokiem.

Zamierzałem polecieć tam potajemnie w przebraniu, wiedząc, że pod własnym imieniem dowiedziałbym się niewiele poza tym, co już wiedziałem.

Przebranie było stosunkowo prostą sprawą. To tylko moja biała skóra i czarne włosy sprawiają, że rzucam się w oczy na Barsoom, gdzie tylko brązowowłosi mieszkańcy Lothar i całkowicie łysi Thernowie mają skórę tej samej barwy.

Choć pokładałem całkowitą ufność w lojalność moich domowników, nigdy nie wiadomo, kiedy jakiemuś szpiegowi uda się wśliznąć między nawet najbardziej starannie dobranych ludzi. Z tego powodu trzymałem moje zamiary i przygotowania w tajemnicy nawet przed najbardziej zaufanymi członkami dworu.

Hangary na dachu mojego pałacu mieszczą pojazdy latające wszelkich rodzajów, spośród których wybrałem uzbrojony w jedno działko statek zwiadowczy, z którego usunąłem ukradkiem znaki rodowe. Odsyłając strażników na pewien czas pod jakimś pretekstem, przemyciłem na pokład rzeczy potrzebne mi do stworzenia przekonującego przebrania. Oprócz czerwonego pigmentu do skóry i farb do przemalowania statku, zabrałem też pełną uprząż z Zodangi, razem z odznakami i bronią.

Wieczór spędziłem sam na sam z Dejah Thoris, a jakieś dwadzieścia pięć xatów po ósmym zodzie, czyli mniej więcej o północy czasu ziemskiego, założyłem na siebie pozbawioną insygniów prostą skórzaną uprząż i zacząłem przygotowywać się do wyprawy.

– Wolałabym, żebyś nie leciał. Mam przecucie, że... jakby to powiedzieć... że obydwójce będziemy jej żałować.

– Trzeba dać nauczkę zabójcom, inaczej nikt na Barsoom nie będzie mógł czuć się bezpiecznie – odpowiedziałem. – Ich poczynania to wyraźne wyzwanie, którego nie mogę go zignorować.

– Pewnie masz rację. To mieczowi zawdzięczasz swoją pozycję i musisz ją nim podtrzymać, ale wolałabym, żeby było inaczej.

Objąłem ją, ucałowałem i powiedziałem, żeby nie martwiła się, bo moja nieobecność nie potrwa długo, po czym udałem się do hangaru.

Strażnik uznał pewnie, że wybrałem sobie niezwykłą porę na wyjazd, ale na pewno nie domyślał się celu mojej podróży. Obrąłem kurs na zachód i wkrótce leciałem w rzadkim powietrzu Marsa pod miriadami gwiazd i dwoma jasnymi księżycami.

Satelity Marsa zawsze mnie intrygowały, a przyglądając się im tej nocy czułem powab spowijającej je tajemnicy. Bliższy i większy, znany ludziom jako Fobos, to Thuria, a ponieważ okrąża Barsoom w odległości 5800 mil, stanowi naprawdę wspaniały widok. Dalszy, Cluros, choć ma niewiele mniejszą średnicę, wydaje się znacznie mniejszy z powodu bardziej oddalonej orbity, położonej o 14 500 mil od Barsoom.

Pradawna marsjańska legenda, którą przyszło mi obalić, twierdziła, że Thurię zamieszkiwali czarnoskórzy ludzie, zwani Pierworodnymi Barsoom. Demaskując fałszywe bóstwa Marsa, wykazałem jednak definitywnie, że pochodzili oni z Doliny Dor, znajdującej się w pobliżu południowego bieguna planety.

Bliższy księżyc, wiszący z pozoru tuż nade mną, stanowił niezwykle widowisko, któremu niesamowitości przydawał fakt, że na pierwszy rzut oka zdawał się przemieszczać po niebie z zachodu na wschód. Dzieje się tak dlatego, że orbita Thurii prowadzi tak blisko Marsa, że jedno okrążenie trwa niecałą trzecią część obrotu planety wokół własnej osi. Przyglądając się księżycowi tej nocy z senną fascynacją, nie domyślałem się jeszcze, jaką rolę miał odegrać w fascynujących przygodach i tragedii, jakie czekały tuż za horyzontem.

Oddalwszy się dostatecznie od bliźniaczych miast, wyłączyłem światła i zatoczyłem koło na południe, skręcając stopniowo na wschód, aż obrałem kurs prosto na Zodangę. Po ustawieniu kompasu nawigującego na cel mojej wyprawy, mogłem zająć się innymi sprawami, wiedząc że zmyślny wynalazek doprowadzi statek bezpiecznie do Zodangi.

Przede wszystkim musiałem przemalować statek. Przypiąłem pasy do uprzęży i umocowawszy je do pierścieni w okrężnicy, opuściłem się za burtę i zabrałem do pracy. Szło mi powoli, ponieważ za każdym razem, kiedy kończyłem malować całą powierzchnię w zasięgu ręki, musiałem wracać na pokład i przypinać się w innym miejscu, żeby pokryć farbą kolejny fragment kadłuba. Skończyłem nad ranem, choć nie mogę powiedzieć, żeby rezultaty mojej pracy napawały mnie szczególną artystyczną dumą. Udało mi się jednak zamalować poprzednią warstwę farby i ukryć w ten sposób miejsce pochodzenia statku. Skończywszy, wyrzuciłem pędzel i resztę farby za burtę, a w ślad za nimi poszła skórzana uprzęż, którą miałem na sobie od wyjścia z domu.

Ponieważ ciało udało mi się pomalować mniej więcej w tym samym stopniu, co kadłub, trochę czasu zajęło mi pozbycie się ostatnich śladów, po których spostrzegawczy obserwator mógłby domyślić się, że mój statek niedawno zmienił barwę.

Następnie, rozebrawszy się do naga, nałożyłem na całe ciało równą warstwę czerwonego pigmentu, a kiedy skończyłem, wszędzie na Marsie zostałem wzięty za członka dominującej na tej planecie rasy ludzkiej. Kiedy założyłem na siebie jeszcze uprząż z Zodangi, uznałem, że moje przebranie było pełne.

Nie minęło jeszcze południe i posiliwszy się, położyłem się, żeby uciąć sobie kilkugodzinną drzemkę.

Przedostanie się za mury marsjańskiego miasta po zachodzie słońca może ze sporym prawdopodobieństwem wiązać się z kłopotami dla kogoś, kto nie potrafiłby łatwo wyjaśnić, co go tam sprowadza. Możliwe, oczywiście, że udałoby mi się prześliznąć za mury miejskie z wygaszonymi światłami, ale prawdopodobieństwo zauważenia przez jeden z licznych patroli było zbyt wielkie. Ponieważ zaś nie mógłbym zadowolająco wyjaśnić, jaki był cel mojej wizyty ani wyjawić swojej tożsamości, z pewnością trafiłbym do lochów i otrzymał karę, jaka czekała szpiegów: długie więzienie, po którym nastąpiłaby śmierć na arenie.

Próbując wlecieć do Zodangi z włączonymi światłami, zostałem z pewnością zatrzymany, a ponieważ nie mógłbym udzielić zadowolających odpowiedzi na pytania straży, a w mieście nie miałem nikogo, znalazłbym się w niemal tak samo trudnym położeniu. Stąd, zbliżywszy się do miasta przed świtem drugiego dnia podróży, wyłączyłem silnik i dryfowałem w powietrzu poza zasięgiem reflektorów statków patrolowych.

Nawet po wschodzie słońca zwlekałem ze zbliżeniem się miasta do późnego rana, kiedy nad murami zaczęły krążyć w tę i powrotem inne statki.

O ile marsjańskie miasto nie pozostaje w stanie otwartej wojny, ruch drobnych pojazdów powietrznych nie podlega za dnia wielu ograniczeniom. Patrole zatrzymują je i sprawdzają tylko od czasu do czasu, a ponieważ kary za latanie bez licencji są dotkliwe, władzom udaje się utrzymać coś w rodzaju regulacji ruchu.

W moim przypadku sprawa dotyczyła jednak nie licencji na latanie, a prawa do pobytu w Zodandze, wobec czego wlot do miasta niósł ze sobą posmak przygody.

Znalazłem się już prawie nad miastem i już wieszowałem sobie szczęścia, ponieważ w zasięgu wzroku nie było żadnego patrolu, kiedy moja radość okazała się przedwczesna, ponieważ w tej samej chwili zza wysokiej wieży wyłonił się jeden z szybkich, małych statków pełniących na Marsie powszechnie funkcje patrolowe. Kierował się prosto na mnie.

Leciałem powoli, nie chcąc przyciągać uwagi, ale możesz mi wierzyć, że mój mózg działał na pełnych obrotach. Statek, którym leciałem, był bardzo szybki i z łatwością mógłbym zawrócić i uciec. Ten plan miał jednak dwie poważne wady. Pierwsza była taka, że niewątpliwie od razu otwarto by do mnie ogień, a pojazd straży miał świetne szanse na zestrzelenie mnie. Drugą był argument, że uciekając, zaprzepąściłbym praktycznie wszelkie szanse powrotu do miasta tą samą drogą, ponieważ mój statek zostałby odnotowany i byłby poszukiwany przez wszystkie patrole w Zodandze.

Patrol stale zbliżał się do mnie i szykowałem się już, żeby opowiedzieć bajeczkę o tym, że od dawna nie mieszkałem w Zodandze, a podczas wędrówki straciłem wszystkie papiery. Miałem nadzieję, że dzięki temu dostanę tylko mandat za brak dokumentów, a ponieważ miałem przy sobie pieniędzy, podobne rozwiązanie trudności byłoby właściwie mile widziane.

Ale szanse na to były bardzo nikłe, ponieważ było prawie oczywiste, że strażnicy zaczęliby wypytywać mnie, kogo znałem w mieście i kiedy wydano stracone dokumenty, a nie znając tu nikogo, znalazłbym się w nielichych opałach.

Kiedy patrol znalazł się w zasięgu głosu i byłem pewny, że chcieli mnie zatrzymać, usłyszałem nad sobą głośny huk. Spojrzałem w górę i zobaczyłem dwa niewielkie statki, które zderzyły się przed chwilą. Widziałem już wyraźnie dowódcę patrolu, i zerknąwszy w jego stronę, zauważyłem, że patrzył w górę. Rzucił krótki rozkaz, po czym patrolowiec podniósł dziób i zaczął wznosić się po spirali, odciągnięty ode mnie przez o wiele ważniejsze sprawy. A kiedy był w ten sposób zajęty, prześliznąłem się cichaczem do miasta.

Wiele lat temu, kiedy Zodanga została splądrowana przez zielone hordy Tharków, miasto zostało niemal całkowicie zniszczone. Dawniej znałem je dobrze, ale po odbudowie odwiedziłem je zaledwie raz czy dwa razy.

Krążąc po okolicy, trafiłem w końcu na to, czego szukałem: nie rzucający się w oczy płatny hangar w biedniejszej części miasta. Każde miasto ma takie dzielnice, gdzie można zamieszkać, nie stając się obiektem dociekliwych pytań, dopóki człowiek nie narazi się stróżom prawa. Takie właśnie wrażenie sprawiała okolica, nad którą się znalazłem.

Hangar mieścił się na dachu starego budynku, uszkodzonego widocznie podczas najazdu Tharków. Lądowisko było małe, a boksy na statki obskurne i zaniedbane.

Kiedy wylądowałem, umazany czarnym smarem tłuszcioch wyłonił się zza statku, nad którego silnikiem pracował.

Rzucił mi pytające spojrzenie i z niezbyt przyjazną miną zapytał: – Czego chcesz?

- Czy to płatny hangar?
- Tak.
- Potrzebuję miejsca na pojazd.
- Masz pieniądze?
- Trochę. Zapłacę za miesiąc z góry.

Pochmurna mina zniknęła mu z twarzy. – Tamten boks jest pusty – rzucił, wskazując palcem. – Możesz go tam od razu wprowadzić.

Wleciałem do boksu i zablokowałem stery, po czym wróciłem do grubasa i zapłaciłem mu.

– Może jest tu w pobliżu jakaś dobra noclegownia? – zapytałem. – Niedroga i niezbyt brudna.

– Owszem, w tym budynku. Dobra, jak każda inna w tej dzielnicy.

To rozwiązanie wydawało się idealne, ponieważ w podobnych przygodach człowiek nie wie, jak szybko będzie potrzebował statku, który może okazać się wszystkim, co dzieli go od śmierci.

Pożegnawszy gruboskórnego właściciela hangaru, zszedłem po wychodzącej na dach pochylni.

Windy docierały tylko na ostatnie piętro, gdzie znalazłem jedną z otwartymi drzwiami. Obsługiwał ją przygaszony młodzieniec w obskurnej uprząży.

– Parter? – zapytał.

– Szukam noclegu – odpowiedziałem. – Zabierz mnie do zajazdu w tym budynku.

Skinął głową i winda ruszyła w dół. Od wewnątrz budynek wydawał się jeszcze starszy i bardziej zdewastowany niż z zewnątrz, a górne piętra sprawiały wrażenie niezamieszkałych.

– Proszę – powiedział windziarz, zatrzymując kabinę i otwierając przede mną drzwi.

Marsjańskie zajazdy służą wyłącznie jako noclegownie. Rzadko, o ile w ogóle, trafiają się w nich pokoje prywatne. Zwykle wspólne dla wszystkich pomieszczenia o długich ścianach wyposażone są w niskie podwyższenia, na których goście rozkładają swoje pośłania w przydzielonym wcześniej, oznaczonym numerem miejscu.

Z powodu zdarzających się często zabójstw pokoje te patrolują stale wynajęci przez właściciela uzbrojeni strażnicy. Głównie dzięki temu nie ma tam zbytniego popytu na pokoje prywatne. Zajazdy przeznaczone również dla kobiet zapewniają osobne pokoje dla gości różnej płci, stąd jest tam

więcej prywatnych pomieszczeń i brak strażników, ponieważ kobiety na Barsoom rzadko, o ile w ogóle, padają ofiarą morderstw. Napomnę tylko, że o ile w ogóle się to zdarza, mężczyźni zwykle nie zatrudniają do tego płatnych zabójców.

Noclegownia, do której rzucił mnie przypadek, udzielała gościny wyłącznie mężczyznom.

Właściciel, przysadzisty człowiek, który – jak dowiedziałem się później – był niegdyś sławnym najemnikiem, przydzielił mi numer posłania i pobrał opłatę za jeden dzień, po czym w odpowiedzi na moje pytanie powiedział, jak dojść do jadłodajni, i wyszedł.

O tej porze w noclegowni było niewielu innych gości. Ich posłania i rzeczy leżały w przydzielonych im miejscach, bezpieczne, nawet gdyby pomieszczeń zajazdu nie patrolowali strażnicy, ponieważ kradzież jest na Marsie praktycznie nieznana.

Przywiozłem ze sobą jakieś stare, nie rzucające się w oczy futra, które ułożyłem teraz na podwyższeniu. Na miejscu obok rozłożył się jakiś osobnik o chytrym spojrzeniu, któremu źle patrzyło z twarzy. Zdążyłem już zauważyć, że od kiedy tylko wszedłem, przyglądał mi się ukradkiem. Teraz w końcu odezwał się do mnie.

– Kaor! – pozdrowił mnie poufale.

Skinąłem głową i odpowiedziałem tym samym.

– Będziemy sąsiadami.

– Na to wygląda.

– Najwyraźniej jesteś obcy, przynajmniej w tej części miasta. Słyszałem, jak pytałeś właściciela o jadłodajnię. To miejsce, o którym mówił, nie jest tak dobre jak to, gdzie jadam. Wybieram się tam właśnie, a jeśli zechcesz mi towarzyszyć, z chęcią cię tam zabiorę.

Miał w sobie coś podejrzanego, co w połączeniu z jego fizjonomią utwierdzało mnie w przekonaniu, że należał do warstwy przestępczej,

a ponieważ zamierzałem działać wśród kryminalistów, jego propozycja idealnie wpisywała się w moje plany. Zgodziłem się bez wahania.

– Na imię mam Rapas – powiedział. – Nazywają mnie też Ulsio – dodał, nie bez dumy.

Nabrałem pewności, że nie pomyliłem się w swojej ocenie, ponieważ *ulsio* oznacza na Marsie szczura.

– Nazywam się Vandor – przedstawiłem się pseudonimem, jaki postanowiłem przybrać na czas tej przygody.

– Po twoich odznakach widzę, że pochodzisz z Zodangi – zagaił w drodze do wind.

– Owszem, ale nie było mnie w mieście od lat. Tak naprawdę, wyjechałem zanim zostało spalone przez Tharków. Tyle się tu zmieniło, że czuję się, jakbym przyjechał do zupełnie obcego kraju.

– Sądząc po wyglądzie, powiedziałbym, że jesteś z zawodu wojownikiem – powiedział.

Skinąłem głową.

– Zgadza się, jestem pantanem. Wiele lat służyłem w innym kraju, ale niedawno zabiłem tam kogoś i musiałem wyjechać.

Wiedziałem, że o ile – jak myślałem – był przestępcą, to usłyszawszy, jak przyznaje się do morderstwa, poczuje się przy mnie swobodniej.

Omiótł mnie chytrym spojrzeniem i zauważyłem, że moje słowa zrobiły na nim wrażenie. Po drodze do jadłodajni położonej w innej okolicy, niedaleko noclegowni, prowadziliśmy zdawkową rozmowę.

Kiedy usiedliśmy do stołu, Rapas zamówił alkohol, a kiedy tylko wychylił pierwszy kielich, stał się bardziej rozmowny.

– Zamierzasz zostać w Zodandze? – zapytał.

– To zależy od tego czy znajdę tu pracę. Pieniądze nie wystarczą mi na długo, a skoro opuściłem ostatniego pracodawcę w takich a nie innych okolicznościach, nie mam przy sobie dokumentów, więc mogę mieć trudności ze znalezieniem jakiegokolwiek posady.

Kiedy jedliśmy, Rapas pił nadal, a im więcej w siebie wlewał, tym bardziej rozwiązywał mu się język.

– Polubiłem cię, Vandorze – stwierdził po niedługim czasie. – A ponieważ, jak się zdaje, jesteś swój chłop, znajdę ci pracę.

Nachylił się bliżej i szepnął mi do ucha:

– Jestem gortanem.

Co za uśmiech fortuny! Miałem nadzieję nawiązać kontakt z płatnymi zabójcami, a już pierwszy poznany człowiek twierdził, że był jednym z nich.

Wzruszyłem ramionami.

– Niewiele z tego pieniędzy.

– Mnóstwo, o ile masz dobre znajomości – zapewnił.

– Ale ja nie mam żadnych, nawet kiepskich! Nie należę do tutejszej gildii, a mówiłem ci już, że musiałem wyjechać bez dokumentów.

Rozejrzał się ukradkowo, jakby sprawdzał czy ktoś go nie podsłuchiwał.

– Nie musisz być członkiem gildii – szepnął. – Nie wszyscy do niej należymy.

– Niezły sposób na samobójstwo – stwierdziłem.

– Nie dla kogoś z głową na karku. Spójrz na mnie! Jestem płatnym zabójcą, choć nie należę do gildii. Na dodatek dobrze zarabiam i nie muszę się z nikim dzielić. – Napił się znowu. – Niewielu jest takich spryciarzy.

Nachylił się do mnie. – Lubię cię Vandorze. Dobry z ciebie gość. – Od picia głos zaczynał mu się rozmywać. – Znam bardzo bogatego klienta, który ma mnóstwo zleceń i dobrze płaci. Mogę załatwić ci od czasu do czasu jakąś robótkę u niego. Może nawet znajdę ci stałą pracę. I co ty na to?

Wzruszyłem ramionami.

– Z czegoś trzeba żyć. Kiedy człowiek nie ma pieniędzy, nie może wybrzydzać przy wyborze pracy.

– No to pójdiesz ze mną, dziś wieczór się tam wybieram. Kiedy Fal Sivas porozmawia z tobą, powiem że jesteś dokładnie tym typem

człowieka, na jakim mu zależy.

– A co z tobą? Ostatecznie to twoja posada, a chyba nikt nie potrzebuje dwóch zabójców.

– Mniejsza o mnie – odpowiedział. – Mam inne pomysły. Urwał nagle i obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, zupełnie jakby wytrzeźwiał usłyszawszy, co przed chwilą powiedział. Potrząsnął głową, najwyraźniej próbując rozjaśnić myśli. – Co takiego powiedziałem? Chyba się upiłem.

– Mówiłeś, że masz inne plany. Pewnie chcesz powiedzieć, że masz na oku lepszą pracę.

– Tylko tyle?

– Mówiłeś, że zaprowadzisz mnie do kogoś imieniem Fal Sivas, kto da mi pracę.

Wyglądał, jakby poczuł nagłą ulgę. – Tak – powiedział. – Zaprowadzę cię tam dziś wieczór.

FALSIVAS

Przez resztę dnia Rapas spał, zaś ja zabijałem czas, grzebiąc przy statku na dachu. Miejsce zapewniało mi o wiele więcej prywatności niż noclegownia czy ulice, gdzie jakiś przypadek mógł zdemaskować moje przebranie i zdradzić moją tożsamość.

Gmerając przy silniku, przypomniałem sobie nagłą obawę Rapasa, że pod wpływem alkoholu powiedział mi za dużo, i zastanawiałem się od niechcenia, cóż to mogło być. Zaczęło się od stwierdzenia, że miał inne plany. Ale jakie? Jakie by nie były, widocznie były nikczemne, inaczej nie martwiłby się tak bardzo, że je wyjawiał.

Krótką znajomość z Rapasem przekonała mnie, że nie myliłem się w pierwszej ocenie jego charakteru i że zasługiwał w pełni na swój szcurzy przydomek.

Wymuszona bezczynność długiego oczekiwania nużyła mnie, ale wreszcie nadszedł wieczór i opuściłem zajazd z Rapasem, udając się po raz kolejny do gospody.

Mój nowy kompan był trzeźwy i tym razem w ogóle nie pił. – Rozmawiając ze starym Fal Sivasem trzeba mieć jasną głowę – powiedział. – Na przodków! Nie wyklął się jeszcze na tym świecie ktoś bystrzejszy od niego!

Zjadłszy, wyszliśmy w noc. Rapas prowadził mnie szerokimi ulicami i wąskimi alejkami, aż dotarliśmy do wielkiego budynku nieopodal wschodnich murów miasta.

Gmach był posępny i mroczny, a ulica, przy której stał, była nieoświetlona. Okolica, zajęta przede wszystkim przez magazyny, o tej porze nocy była opustoszała.

Rapas podszedł do drzwiczek ukrytych za przyporą muru. Zobaczyłem, jak dotknął czegoś z boku drzwi, po czym odsunął się i czekał.

– Nie każdy może tu wejść – zauważył nie bez dumy w głosie. – Trzeba znać odpowiedni sygnał, a to oznacza, że człowiek cieszy się sporym zaufaniem staruszka.

Przez dwie lub trzy minuty czekaliśmy w ciszy. Zza drzwi nie rozległ się żaden dźwięk, ale po krótkim czasie otworzyło się w nich okrągłe okienko i w słabym świetle Clurosa zobaczyłem przyglądające się nam uważnie oko. Następnie ktoś odezwał się szeptem:

– Toż to szlachetny Rapas!

Drzwi otworzyły się do środka.

Korytarz za nimi był wąski, a człowiek, który nam je otworzył, przycisnął się do ściany, żeby nas wpuścić. Następnie zamknął drzwi i poszedł za nami ciemnym korytarzem, aż wyszliśmy do niewielkiego, słabo oświetlonego pomieszczenia.

Tu nasz przewodnik zatrzymał się. – Pan nie wspominał, że przyprowadzisz kogoś ze sobą – powiedział do Rapasa.

– Nie wiedział o tym. Właściwie to aż do dzisiaj sam o tym nie wiedziałem, ale wszystko w porządku. Fał Sivas ucieszy się i przyjmie go na służbę, kiedy wytłumaczę mu, dlaczego go przyprowadziłem.

– To musi rozstrzygnąć osobiście – stwierdził odźwierny. – Może lepiej będzie, jeśli wejdiesz najpierw sam i porozmawiasz z nim. Obcy zostanie tu ze mną.

– Bardzo dobrze. Zostań tu, dopóki nie wrócę, Vandorze.

Niewolnik otworzył drzwi po drugiej stronie pomieszczenia, a kiedy Rapas za nimi zniknął, wszedł za nim do środka i zamknął je.

Wydało mi się to nieco dziwne, ponieważ przed chwilą słyszałem, jak mówił, że miałem zostać z nim, i pewnie nie myślałbym nawet o tym, gdybym wkrótce nie zaczął odczuwać, że ktoś mnie obserwuje.

Nie potrafię wyjaśnić tego ogarniającego mnie czasami odczucia. Ziemiańskie, którzy znajdują się na tym, twierdzą że podobna forma telepatii jest z naukowego punktu widzenia niemożliwa, a mimo to nieraz zdarzało mi się czuć, że ktoś mnie ukradkiem obserwował, aby później potwierdzić to odkrycie.

Wędrując oczami po pomieszczeniu, zatrzymałem spojrzenie na drzwiach, za którymi zniknął niewolnik z Rapasem. Wbiłem wzrok w niewielki okrągły otwór w drzwiach i jasny punkt, który mógł oznaczać świecące w ciemności oko. Teraz wiedziałem już na pewno, że ktoś mi się przyglądał.

Nie wiedziałem wprawdzie, dlaczego ktoś miałby mnie obserwować, ale jeśli przyglądający mi się człowiek miał nadzieję odkryć coś podejrzanego, musiał się rozczarować, ponieważ zorientowawszy się, że jestem śledzony, podszedłem do stojącej z boku ławy i usiadłem, momentalnie postanawiając nie zdradzać najmniejszego zainteresowania otoczeniem.

Fakt, że byłem obserwowany sam w sobie zapewne niewiele znaczył, ale w zestawieniu z posępnym wyglądem budynku i atmosferze wielkiej tajemnicy, w jakiej wpuszczono mnie o środka, sprawił, że w moich myślach zakiełkowała bardzo niepochebna opinia o tym miejscu i jego właścicielu.

Zza ścian pomieszczenia nie dobiegał żaden dźwięk, do przedpokoju nie docierały też żadne nocne odgłosy miasta. Siedziałem w zupełnej ciszy przez jakieś dziesięć minut, po czym drzwi otworzyły się i ten sam niewolnik przywołał mnie gestem.

– Chodź za mną. Pan chciałby cię zobaczyć. Zaprowadzę cię do niego.

Podążyłem za nim ciemnym korytarzem i spiralną pochylnią na kolejne piętro. Następnie wprowadził mnie do łagodnie oświetlonego pokoju urządzonego z sybaryckim przepychem, gdzie ujrzałem Rapasa stojącego przed sofą, na której leżał, czy raczej czał się jakiś mężczyzna. Na swój

sposób przypominał obserwującego zdobywcę, gotowego do skoku wielkiego kota.

– To właśnie Vandor, Fal Sivasie – przedstawił mnie Rapas.

Pochyliłem głowę w pozdrowieniu i czekałem, stojąc.

– Rapas opowiadał mi o tobie – powiedział Fal Sivas. – Skąd pochodzisz?

– Kiedyś mieszkałem w Zodandze – odpowiedziałem. – Ale to było dawno temu, jeszcze przed splądrowaniem miasta.

– A gdzie mieszkałeś potem? Komu służyłeś?

– To nie ma znaczenia dla nikogo poza mną. Wystarczy, że nie było mnie tutaj i nie mogę wrócić do kraju, z którego dopiero co uciekłem.

– A zatem nie masz tu żadnych przyjaciół ani znajomych? – Tego nie wiem. Oczywiście, może niektórzy moi dawni znajomi żyją, ale rodzina i większość przyjaciół zginęli podczas najazdu zielonoskórych.

– I od kiedy wyjechałeś nie miałeś kontaktu z Zodangą?

– Żadnego.

– Możliwe, że potrzebuję właśnie kogoś takiego, jak ty. Rapas jest tego pewny, ale ja nie jestem jeszcze przekonany. Nikomu nie można ufać.

– Ależ, panie – wtrącił Rapas. – Czy nie służyłem ci wiernie?

Wargi Fal Sivasa wykrzywił lekki grymas szyderstwa.

– Ależ oczywiście, Rapasie. Mógłbym postawić cię za wzór człowieka honoru.

Rapas nadął się z dumy. Pokłady egotyzmu były w nim zbyt głębokie, żeby zauważył nutę sarkazmu w głosie właściciela domu.

– Czy mogę uznać, że mam pracę? – zapytałem.

– Rozumiesz, że częściej niż miecza przyjdzie ci może używać sztyletu, a trucizna okaże się czasami przydatniejsza niż pistolet?

– Rozumiem.

Zmierzył mnie uważnie wzrokiem.

– Możliwe, że przyjdzie chwila, kiedy będziesz musiał sięgnąć w mojej obronie po miecz. Potrafisz się nim sprawnie posługiwać?

– Jestem pantanem, a ponieważ miecz najemnika to jego źródło utrzymania, sam fakt, że stoję tu przed tobą, wystarczy za odpowiedź.

– Nie do końca. Potrzebuję mistrza fechtunku. Rapas radzi sobie dobrze z krótkim mieczem. Zobaczymy, jak ci z nim pójdzie.

– Mamy walczyć na śmierć i życie?

Rapas zarechotał głośno.

– Nie sprowadziłem cię tu, żeby cię zabić.

– Ależ skąd, oczywiście, że nie – powiedział Fal Sivas. – Wystarczy krótki pojedynek. Przekonamy się, kto pierwszy zadraśnię drugiego.

Pomysł nie przypadł mi do gustu. Zwykle dobywam ostrza tylko po to, by zabić, rozumiałem jednak, że odgrywałem przed nim rolę i może, zanim mój występ dobiegnie końca, będę musiał robić wiele rzeczy, których nie pochwalam. Skinąłem głową i czekałem, aż Rapas sięgnie po miecz.

Ostrze jego broni błysnęło, wyskakując z pochwy. – Postaram się nie zranić cię zbyt mocno, Vandorze – powiedział. – Zdążyłem cię polubić.

Podziękowałem mu i sięgnąłem po miecz.

Ruszył do starcia z pewnym siebie uśmiechem na wargach. Po chwili jego miecz przeleciał przez pokój. Był bezbronny i zdany na moją łaskę. Cofnął się z niepewnym grymasem na twarzy. Fal Sivas roześmiał się.

– To wypadek – stwierdził Rapas. – Nie byłem gotowy.

– Przepraszam – powiedziałem. – Podnieś broń.

Podniósł miecz z podłogi i ruszył na mnie po raz kolejny, tym razem zajadle. Gdyby udało mu się teraz zadać mi cios, na pewno nie skończyłoby się na draśnięciu. Przebiłby mi serce. Odparowałem cios i wyprowadziłem kontrę. Broń Szczura znowu przeleciała przez pokój, uderzając ze szczękiem w przeciwną ścianę.

Fal Sivas roześmiał się głośno. Rapas był wściekły. – Dostyc – powiedział gospodarz. – To mi wystarczy. Schowajcie broń.

Wiedziałem, że zyskałem w Rapasie nowego wroga, ale nie przejmowałem się tym zbyt, ponieważ wiedząc o tym, mogłem mieć się przed nim na baczności. I tak nigdy mu nie ufałem.

– Byłbyś gotów wstąpić od razu na moją służbę? – zapytał Fal Sivas.

– Właśnie to zrobiłem.

Uśmiechnął się.

– Chyba kogoś takiego właśnie potrzebowałem. Rapas chce mnie chwilowo opuścić, żeby zająć się własnymi sprawami. Pod jego nieobecność, zostaniesz tu jako mój osobisty strażnik. Kiedy wróci, pewnie znajdę dla ciebie takie czy inne zajęcie. Fakt, że nikt cię tu nie zna, może okazać się jeszcze bardzo przydatny.

Odwrócił się do Rapasa.

– Możesz już iść. A przed powrotem weź może parę lekcji fechtunku.

Mówiąc to, uśmiechnął się szeroko, ale na twarzy Rapasa nie było humoru. Wyglądał na skwaszonego i wychodząc, nie pożegnał się ze mną.

– Obawiam się, że uraziłeś jego godność – stwierdził Fal Sivas, kiedy drzwi zamknęły się za nim.

– Nie powiem, żeby spędzało mi to sen z powiek. Poza tym to nie moja wina, a jego.

– Co masz na myśli?

– Kiepski z niego szermierz.

– Cieszy się opinią wyborczego – zapewnił Fal Sivas.

– Sądzę, że jako płatny zabójca ma większą wprawę w używaniu sztyletu i trucizny.

– A ty?

– Naturalnie, wolę miecz, jak każdy wojownik.

Wzruszył ramionami.

– Mniejsza z tym. Skoro wolisz uśmiercać moich wrogów mieczem, niech będzie, dopóki będziesz ich zabijał.

– Masz wielu wrogów?

– Wielu chciałoby się mnie pozbyć. Jestem wynalazcą i są ludzie, którzy chcieliby ukraść moje wynalazki. Sporej części musiałem się pozbyć. Ich rodziny podejrzewają mnie i szukają zemsty, ale jest ktoś, komu zależy na mojej śmierci bardziej niż innym. To inny wynalazca, który zatrudnił płatnego zabójcę z gildii, żeby mnie zniszczyć. Na jej czele stoi Ur Jan, który osobiście groził, że mnie zabije, ponieważ zatrudniłem w roli płatnego zabójcy kogoś spoza jego podwładnych.

Rozmawialiśmy przez pewien czas, po czym Fal Sivas wezwał niewolnika i kazał mu odprowadzić mnie do kwatery.

– Twoje pokoje są dokładnie pod moimi – powiedział. – Na wezwanie masz się natychmiast u mnie stawić. Dobrej nocy.

Niewolnik zaprowadził mnie do innego pomieszczenia na tym samym piętrze. Właściwie było to mieszkanie, złożone z trzech, prosto, acz wygodnie urządzonych, pokojów.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze, panie? – spytał na odchodnym.

– Nie.

– Jutro przydzielę ci osobistego służącego – powiedział i wyszedł. Nasłuchiwałem, czy zamknie drzwi od zewnątrz na klucz, ale nie zrobił tego, choć nie zdziwiłbym się wcale, gdyby było inaczej, tak złowieszcza i tajemnicza wydawała się atmosfera tego ponurego gmaszyska.

Przez parę chwil oglądałem swoją kwaterę. Składała się z pokoju dziennego, dwóch małych sypialni i łazienki. Na korytarz prowadziły z pokoju dziennego jedne drzwi. W żadnym z pomieszczeń nie było okien, za to w suficie i podłodze każdego pokoju umieszczono niewielkie wentylatory, a podmuch powietrza przy dolnych urządzeniach wskazywał, że pomieszczenia były wietrzone mechanicznie. Do oświetlenia wykorzystano lampy radowe z rodzaju używanego powszechnie na całym Barsoom.

W pokoju dziennym był stół, ława i kilka krzeseł oraz półka z paroma książkami. Przejrzawszy je, odkryłem, że były to wyłącznie prace naukowe

z dziedziny chemii, medycyny, chirurgii, elektryki i mechaniki.

Od czasu do czasu z korytarza dobiegały odgłosy cichych kroków, ale nie sprawdzałem ich źródła, ponieważ zależało mi na tym, żeby zdobyć zaufanie Fal Sivasa i jego domowników, zanim spróbuję dowiedzieć się więcej niż chcieli mi zdradzić. Nie byłem nawet pewny, czy chciałem dowiedzieć się czegoś jeszcze o domu mojego pracodawcy, skoro mój pobyt w Zodandze w żaden sposób się z nim nie wiązał. Przyleciałem tu po to, aby osłabić i w miarę możliwości ostatecznie obalić potęgę Ur Jana i gildii zabójców, i potrzebowałem tylko bazy, z której mógłbym prowadzić działania. W gruncie rzeczy byłem nawet nieco rozczarowany, odkrywszy, że los zetknął mnie z ludźmi usposobionymi wrogo do Ur Jana. Naprawdę miałem bowiem nadzieję, że uda mi się wśliznąć do jego organizacji, ponieważ wierzyłem, że działając od wewnątrz dokonałbym o wiele więcej niż poza nią.

Przede wszystkim, jako członek gildii, poznałbym szybko tożsamość jej przywódców, a na tym zależało mi najbardziej, aby sprowadzić ich przed oblicze sprawiedliwości lub wyciąć im mój znak na sercu czubkiem własnego miecza.

Zaprzątnięty tymi myślami miałem już zdjąć uprząż i udać się na spoczynek, kiedy usłyszałem z góry odgłosy jakiejś szamotaniny, a potem głucho uderzenie, jakby upadającego ciała.

Nienaturalna cisza, jaka panowała wcześniej w olbrzymim domu, podkreślała donośność tych dźwięków, dodając im aury tajemniczości, która oczywiście mogła być zupełnie nieproporcjonalna do ich prawdziwego znaczenia. Uśmiechnąłem się, uświadomiwszy sobie, w jaki sposób otoczenie zaczynało oddziaływać na moje zwykle opanowane usposobienie, i powróciłem do swoich zajęć, kiedy w budynku rozległ się przenikliwy krzyk.

Przerwałem znowu i nasłuchiwałem. Tym razem usłyszałem wyraźnie odgłos biegnących stóp. Dźwięk zbliżał się do mnie i przypuszczałem, że

dochodził z pochylni, prowadzącej z góry do korytarza obok mojej kwatery.

Możliwe, że nie powinienem wtykać nosa w to, co działo się w domu Fal Sivasa, ale nie zdarzyło mi się jeszcze nie zareagować na krzyk kobiety, nie zbadawszy jego przyczyn, podszedłem więc do drzwi pokoju dziennego i otworzyłem je szeroko. Ujrzałem dziewczynę, która biegła co sił w moją stronę. Miała potargane włosy i oglądała się co chwilę za siebie otwartymi szeroko ze zgrozy oczami.

Zanim zdążyła mnie zauważyć, prawie na mnie wpadła, a wtedy zatrzymała się na chwilę, dysząc z zaskoczenia lub strachu. Następnie ominęła mnie, wpadając przez otwarte drzwi do pokoju dziennego.

– Zamknij drzwi! – szepnęła głosem napiętym od tłumionych uczuć. – Nie dopuść, by mnie dostał! Nie może mnie znaleźć!

Nie wyglądało na to, żeby ktoś ją gonił. Niemniej, posłuchałem prośby i zamknąłem drzwi, po czym odwróciłem się, oczekując wyjaśnień.

– Co się stało? – spytałem. – Przed kim uciekałaś?

– Przed nim. – Zadrżała. – To potwór... Proszę, ukryj mnie tu, nie pozwól, żeby mnie dostał!

– O kim mówisz? Kto jest potworem?

Stała, dygocząc i wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami, jak otepiała z przerażenia.

– On – wyszeptała. – Kto inny mógłby to być?

– To znaczy...?

Podeszła do mnie i otworzyła usta, ale zawahała się. – Dlaczego miałabym ci ufać? Ty też do niego należysz. Wszyscy jesteście tacy sami w tym strasznym miejscu.

Stała blisko mnie, drżąc jak liść. – Nie zniosę tego! – zawołała. – Nie pozwolę mu!

Po czym tak szybko, że nie zdążyłem jej powstrzymać, wyrwała mi sztylet z pochwy i obróciła ostrzem do siebie.

Byłem jednak za szybki dla niej i chwyciłem ją za przegub, zanim zdołała spełnić swój zamiar.

Okazała się o wiele silniejsza niż wskazywał jej delikatny wygląd. Mimo to rozbroiłem ją bez trudu, pchnąłem lekko w stronę ławy i zmusiłem, żeby na niej usiadła.

– Uspokój się – powiedziałem. – Z mojej strony niczego nie musisz się obawiać. Nic ci nie grozi, dopóki jesteś ze mną. Opowiedz mi, co się stało i kogo się boisz.

Siedziała przez dłuższą chwilę, patrząc mi w oczy, aż wreszcie zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą. – Chyba rzeczywiście mogę ci zaufać – stwierdziła po pewnym czasie. – Twój głos i wygląd podpowiadają, że nie jesteś złym człowiekiem.

Położyłem jej dłoń na ramieniu, jakbym próbował uspokoić przerażone dziecko. – Nie bój się. Opowiedz mi o sobie. Jak ci na imię?

– Zanda – odpowiedziała.

– Mieszkasz tu?

– Jestem tu więźniem, niewolnicą.

– Dlaczego krzyczałaś?

– To nie ja krzyczałam. To ta druga dziewczyna. Próbował mnie złapać, ale wymknęłam mu się, więc zabrał ją. Ale przyjdzie kolej na mnie. Zabierze mnie tam. Zabierze nas wszystkie.

– Kto? Kto taki?

Wzdrygnęła się. – Fal Sivas – powiedziała głosem pełnym grozy.

Usiadłem obok i położyłem dłoń na jej dłoni. – Uspokój się. Powiedz mi, co to znaczy. Jestem tu nowy. Dopiero dziś wieczór wstąpiłem na jego służbę.

– A zatem nic o nim nie wiesz?

– Tyle, że jest bogatym wynalazcą i obawia się o swoje życie.

– Owszem, jest bogaczem i wielkim wynalazcą, ale jeszcze większym mordercą i złodziejem. Kradnie pomysły innym, po czym każe ich

zamordować, aby nikt nie zabrał mu tego, co ukradł. Ktokolwiek dowie się zbyt dużo o jego wynalazkach, ginie i nigdy nie opuszcza tego domu. Zawsze trzyma w pogotowiu płatnego zabójcę gotowego wykonać jego rozkazy w domu czy w mieście, i stale boi się o swoje życie.

Teraz pracuje dla niego Ulsio Rapas, ale obaj żyją w strachu przed szefem gildii zabójców, Ur Janem, który dowiedział się, że Szczur pracuje dla Fal Sivas za o wiele niższą stawkę niż ta, którą pobiera gildia.

– Nad jakimi wspaniałymi wynalazkami pracuje Fal Sivas?

– Nie wiem wszystkiego, ale stworzył ten statek. Sam w sobie, pojazd byłby cudem, gdyby nie powstał na krwi i zdradzie.

– Co to za statek?

– Taki, który ma przemierzać bezpiecznie przestrzeń między planetami. Fal Sivas twierdzi, że już niedługo będzie można podróżować w ten sposób tak samo, jak teraz latamy z jednego miasta do drugiego.

– Ciekawe – powiedziałem. – I chyba nie takie straszne?

– Poza tym tworzy też inne, potworne rzeczy. Na przykład mechaniczny mózg.

– Mechaniczny mózg?

– Zgadza się, ale niewiele mogę o nim powiedzieć. Nie jestem zbyt wykształcona. Często o nim opowiadał, ale mało z tego rozumiem. Fal Sivas uważa, wszelka materia i życie to skutek działań mechanicznych, a nie chemii. Twierdzi, że wszelkie reakcje chemiczne podlegają mechanice. Pewnie nie zrozumiałam tego, jak trzeba. Gubię się, bo niewiele rozumiem, ale wiem, że pracuje nad mechanicznym mózgiem, który ma być zdolny do jasnego i logicznego rozumowania, niezależnego od wszelkich zewnętrznych wpływów, które zakłócają działanie ludzkiego umysłu.

– Dość dziwny pomysł, ale nie widzę, co w nim straszego.

– To nie sam pomysł jest straszny, ale metody, których używa w pracy nad swoim wynalazkiem. Próbując odtworzyć ludzki mózg, musi go

najpierw zbadać. Dlatego potrzeba mu wielu niewolników. Niektórych kupuje, ale większość z nich została po prostu porwana.

Zaczęła drzeć, a jej głos znowu przerywały westchnienia.

– Nie wiem, tak naprawdę tego nie widziałam, ale mówią że wiąże swoje ofiary tak, żeby nie mogły się poruszyć, po czym otwiera im czaszki i odsłania mózgi, a następnie obserwuje ich działanie za pomocą promieni przenikających tkankę.

– Ale te cierpienia nie mogą trwać długo. Na pewno szybko tracą przytomność i umierają.

Potrząsnęła głową.

– Nie, wstrzykuje im w żyły opracowany przez siebie środek, który podtrzymuje je przy życiu i pozwala im długo zachować przytomność. Całymi godzinami dostarcza im różnych bodźców, obserwując reakcje mózgu. Nie wiem, czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, jak cierpią jego ofiary. Trafia tu wielu niewolników, ale żaden z nich nie zostaje długo. Budynek nie ma okien, a na zewnątrz prowadzi tylko dwoje drzwi – ci, którzy znikają, na pewno nie wychodzą stąd nimi. Spotykam ich, a następnego dnia już ich nie ma. Znikają za drzwiami, które prowadzą do przerażającego laboratorium za pokojami Fal Sivasa.

– Dziś wieczór posłał po mnie i jeszcze jedną dziewczynę – ciągnęła. – Potrzebował tylko jednej. Zawsze ogląda kilka, po czym wybiera tę, która wydaje mu się najlepszym przedmiotem badań. Ale ta selekcja nie opiera się na kryteriach naukowych – zawsze wybiera ładniejszą z wezwanych dziewcząt. Obejrzał nas i wybrał mnie. Byłam przerażona. Próbowałam go odepchnąć. Zaczął gonić mnie po pokoju, ale pośliznął się i upadł, a zanim się podniósł, otworzyłam drzwi i uciekłam. Wtedy usłyszałam, jak ta druga dziewczyna zaczęła krzyczeć. Wiedziałam, że zabrał ją ze sobą, ale mój wyrok został tylko odroczone. Dostanie mnie, stąd nie ma ucieczki. Żadne z nas nie wydobędzie się stąd z życiem.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nikt nie wychodzi stąd żywy.
– A Rapas? Najwyraźniej, przychodzi i wychodzi, kiedy zechce.
– Zgadza się, jemu wolno to robić. To zabójca Fal Sivasa. Poza tym dostarcza mu też nowych ofiar. Dlatego musi móc wychodzić, kiedy zechce. Jest też paru innych, starych i zaufanych domowników Fal Sivasa, którzy tak naprawdę są współnikami jego zbrodni, ale starzec trzyma ich w garści. Zresztą, na pewno niewiele wiedzą o jego wynalazkach. Z chwilą kiedy Fal Sivas obdarzy kogoś swoim zaufaniem, dni tego człowieka są policzone. Wygląda na to, że kieruje nim potrzeba opowiedzenia komuś o swoich wynalazkach. To pewnie wina jego egotyzmu, przez który uwielbia się chwalić. Dlatego właśnie tyle opowiada o swojej pracy tym, których wybierze do swoich eksperymentów. Możesz być pewny, że Rapas nie wie nic ważnego. W gruncie rzeczy słyszałam, jak Fal Sivas mówił, że jedyna cecha Rapasa, która budzi w nim sympatię, to jego doszczętna głupota. Twierdzi, że gdyby wyjaśnił mu jakiś wynalazek ze wszystkim szczegółami, Szczurowi brakłoby rozumu, żeby go pojąć.

Dziewczyna odzyskała już panowanie nad sobą i skończywszy mówić, ruszyła w stronę drzwi.

– Dziękuję, że mnie wpuściłeś – powiedziała. – Pewnie nigdy cię już nie zobaczę, ale chciałabym wiedzieć, kto okazał mi przyjaźń.

– Nazywam się Vandor, ale dlaczego sądzisz, że już nigdy mnie nie zobaczysz? No i dokąd pójdziesz?

– Wrócę do siebie, czekać, aż znowu mnie wezwie, może już jutro.

– Zostaniesz tutaj! Może uda nam się znaleźć jakiś sposób, żebyś tego uniknęła.

Posłała mi zaskoczone spojrzenie i miała już coś powiedzieć, kiedy przechyliła głowę, nasłuchując.

– Ktoś tu idzie! Szukają mnie!

Wziąłem ją za dłoń i pociągnąłem w stronę drzwi do sypialni.

– Wejść tam. Zobaczymy, czy uda mi się cię ukryć.

– Nie, nie! Jeśli mnie znajdą, zabiją nas oboje! Byłeś dla mnie dobry. Nie chcę, żebyś zginął.

– O mnie się nie martw. Potrafię o siebie zadbać. Rób, co mówię.

Wprowadziłem ją do sypialni i kazałem położyć się na małym podwyższeniu, które na Barsoom pełni funkcję łóżka. Następnie narzuciłem na nią bezładnie stertę futer i jedwabnych pościeli. Dopiero przyjrzawszy się im uważnie, można było stwierdzić, że pod spodem było jej drobne ciało.

Wróciłem do pokoju dziennego, zdjąłem pierwszą lepszą książkę z półki, usadowiłem się wygodnie na krześle i otworzyłem ją. Ledwie to zrobiłem, usłyszałem skrobanie w drzwi od strony korytarza.

– Wejź! – zawołałem.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Fal Sivas.

W PUŁAPCE

Opuściłem książkę i podniosłem wzrok, kiedy wszedł do środka. Rozejrzał się szybko podejrzliwym wzrokiem. Drzwi do sypialni pozostawiłem uchylone, żeby nie wzbudzać podejrzeń, gdyby ktoś miał tu myszkować. Drzwi do drugiej sypialni i łazienki również były otwarte. Fal Sivas zerknął na książkę w mojej dłoni.

– Ciężka lektura jak na pantana – zauważył.

Uśmiechnąłem się.

– Niedawno czytałem „Teorię Mechaniki” tego autora. To chyba jakaś wcześniejsza praca i nie do końca tak samo dobra. Przeglądam ją tylko.

Przez chwilę mierzył mnie baczным spojrzeniem.

– Nie za dobrze jesteś wykształcony, jak na swój fach? – zapytał.

– Nie można wiedzieć za dużo.

– Tutaj to możliwe – powiedział. Przypomniałem sobie, co powiedziała mi dziewczyna.

Zmienił ton.

– Wpadłem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy niczego ci nie brakuje.

– Ależ skąd!

– Nikt cię nie nachodził? Nie było tu nikogo?

– W domu jest bardzo cicho. Jakiś czas temu słyszałem czyjś śmiech, ale to wszystko. To mi nie przeszkadza.

– Czy ktoś tu przychodził? – powtórzył.

– Po co miałyby to robić?

– Racja, rzeczywiście nie ma żadnego powodu – zbył mnie, po czym zaczął wypytywać, najwyraźniej próbując zbadać moją znajomość chemii i mechaniki.

– Tak naprawdę, niezbyt się na tym znam – powiedziałem. – Nie jestem naukowcem, a wojownikiem. Oczywiście, posługiwanie się latającymi maszynami wymaga pewnej znajomości mechaniki, ale powiedziałbym, że jestem ledwie początkującym adeptem.

Mierzył mnie przez chwilę zagadkowym spojrzeniem.

– Chciałbym poznać cię lepiej – oznajmił wreszcie. – I przekonać się, czy mogę ci ufać. Wyglądasz na inteligentnego, a w kwestiach intelektu jestem całkowicie osamotniony. Potrzebuję asystenta, kogoś takiego, jak ty.

Potrząsnął głową z wyrazem odrazy na twarzy.

– Ale po co to wszystko? Nikomu nie mogę ufać.

– Nająłeś mnie jako osobistego strażnika. Do tego się nadaję i przy tym zostaniemy.

– Co racja, to racja. Czas pokaże, czy przydasz się do czegoś poza tym.

– Ale jeśli mam cię chronić, muszę wiedzieć więcej o twoich wrogach, kim są i jakie są ich plany.

– Wielu chciałoby widzieć mnie martwym albo zabić mnie osobiście, ale moja śmierć przyniosłaby największe korzyści jednej osobie. To inny wynalazca, Gar Nal. Podniósł na mnie pytające spojrzenie.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Musisz pamiętać, że nie było mnie w mieście od wielu lat.

Skinął głową.

– Podobnie, jak on, pracuję nad statkiem, który będzie podróżował w przestrzeni kosmicznej. Gar Nal nie tylko chciałby mnie zabić, ale i wykraść tajemnice mojego wynalazku, dzięki którym ukończyłby prace nad swoim statkiem. Najbardziej jednak obawiam się Ur Jana, ponieważ mój rywal najął go, aby mnie zabił.

– Nie znają mnie tu. Znajdę tego Ur Jana i zobaczymy, czego się dowiem.

Naprawdę chciałem dowiedzieć się tylko jednego: czy Fal Sivas pozwoli mi opuścić dom, kiedy zechcę, czy nie.

– Niczego byś się nie dowiedział – odparł. – Spotkania gildii są tajne. Nawet gdybyś zdołał się tam dostać, w co wątpię, nie wyszedłbyś żywy.

– Możliwe, ale i tak warto spróbować. Czy wiesz, gdzie odbywają się te narady?

– Owszem, ale jeśli chcesz spróbować się tam dostać, polecę Rapasowi, żeby zaprowadził cię do ich budynku.

– Skoro mam iść, nie chcę, żeby Rapas o tym wiedział.

– Dlaczego?

– Nie ufam mu. Nikomu nie zdradziłbym swoich planów.

– Masz całkowitą rację. Kiedy będziesz gotowy, powiem ci, jak tam trafić i sam tam trafisz.

– Pójdę jutro po zmroku.

Skinął głową z aprobatą. Stał w miejscu, z którego widział sypialnię, gdzie ukrywałem dziewczynę.

– Wystarczy ci posłań? – zapytał.

– Owszem, ale jutro przyniosę własne.

– To nie będzie konieczne. Dostaniesz wszystko, czego ci trzeba.

Stał w miejscu, patrząc nadal w stronę tamtego pokoju. Zastanawiałem się, czy domyślał się prawdy czy też może dziewczyna poruszyła się, albo widać było jej oddech pod stertą narzut, którymi była nakryta.

Nie miałem odwagi odwrócić się i sprawdzić, z obawy, że wzbudzę jeszcze silniejsze podejrzenia. Siedziałem po prostu z dłońmi w pobliżu rękojeści krótkiego miecza. Nawet gdyby Fal Sivas znalazł ją zaraz, podpisałby tym na siebie wyrok śmierci.

Odwrócił się w końcu do zewnętrznych drzwi.

– Jutro powiem ci, jak trafić do gildii zabójców i przyślę ci niewolnika. Wolisz mężczyznę czy kobietę?

Wolałbym mężczyznę, ale uznałem, że nadarza się wspaniała okazja, żeby otoczyć dziewczynę opieką.

– Kobietę – powiedziałem.

Uśmiechnął się.

– I to pewnie ładną?

– O ile mogę, wolałbym wybrać ją osobiście.

– Jak chcesz. Jutro je obejrzysz. Śpij dobrze.

Wyszedł, zamykając drzwi za sobą, ale wiedziałem, że jeszcze długo stał za nimi na zewnątrz, nasłuchując.

Podniosłem książkę i zacząłem ją czytać, ale słowa w ogóle nie docierały do mojej świadomości, ponieważ skupiłem całą uwagę na słuchaniu.

Po dość długim czasie usłyszałem, że odszedł, po czym z góry dobiegł mnie zaraz odgłos zamykanych drzwi. Nie ruszałem się do tej pory, ale teraz wstałem i podszedłem do drzwi. Od wewnątrz wyposażone były w ciężką zasuwę, którą wsunąłem teraz po cichu na miejsce.

Poszedłem do sypialni, w której leżała dziewczyna i zdjąłem z niej pośłania. Nie poruszyła się. Kiedy spojrzała na mnie, położyłem palec na wargach.

– Słyszałaś?

Skinęła głową.

– Jutro wybiorę cię na moją służącą. Może później uda mi się znaleźć jakiś sposób, żeby zwrócić ci wolność.

– Miły jesteś.

Wyciągnąłem w dół rękę i ująłem jej dłoń.

– Przejdź teraz do drugiego pokoju. Dziś spędzisz tu bezpiecznie noc, a rano pomyślimy, jak możemy wcielić w życie nasz plan.

– To chyba nie będzie trudne. Wczesnym rankiem wszyscy poza Fal Sivasem zbierają się w dużej jadalni na tym piętrze. Wyśliznę się niepostrzeżenie i przyłączę się do nich. Przy śniadaniu będziesz miał okazję przyjrzeć się wszystkim niewolnicom, a wtedy, o ile nadal tego chcesz, możesz mnie wybrać.

Oddałem jej jedwabne i futrzane nakrycia i upewniwszy się, że było jej wygodnie, wróciłem do sypialni i dokończyłem przerwane w tak niezwykły sposób przygotowania do snu.

Następnego ranka Zanda obudziła mnie wcześniej.

– Zaraz zejda na śniadanie. Musisz wyjść przede mną. Zostaw otwarte drzwi. Wyśliznę się, kiedy nikogo nie będzie na korytarzu.

Wychodząc z kwatery, zauważyłem dwóch czy trzech ludzi idących korytarzem w kierunku, w którym według słów Zandy leżała jadalnia. Poszedłem za nimi i trafiłem do wielkiego pomieszczenia, gdzie stał stół, przy którym zmieściłoby się może i dwadzieścia osób. Ponad połowa miejsc była już zajęta. Niewolnikami były na ogół młode kobiety, w tym wiele pięknych.

Nikt z obecnych w jadalni nie miał przy sobie broni, z wyjątkiem dwóch mężczyzn siedzących przy przeciwnych końcach stołu.

U szczytu siedział ten sam człowiek, który poprzedniego wieczoru wpuścił do domu mnie i Rapasa. Dowiedziałem się później, że na imię miał Hamas i pełnił rolę zarządcy.

Drugim był Phystal, odpowiedzialny za służbę. Usłyszałem później, że zajmował się również sprowadzeniem wielu niewolników, czy to kupując ich czy porywając.

Kiedy wszedłem, Hamas zauważył mnie i przywołał do siebie gestem.

– Usiądź obok mnie, Vandorze!

Zauważyłem, że jego zachowanie zmieniło się od zeszłej nocy, kiedy sprawiał raczej wrażenie unizonego służącego. Domyśliłem się, że w celach najlepiej znanych jemu samemu lub jego panu, odgrywał dwie role. Obecnie był najwyraźniej ważną osobistością w tym domu.

– Dobrze spałeś? – zapytał.

– Owszem. Wygląda na to, że w nocy jest tu bardzo cicho i spokojnie.

Odchrząknął.

– Gdybyś usłyszał w nocy coś niezwykłego, nie sprawdzaj, co to, chyba że wezwie cię pan albo ja.

Następnie, jakby czuł, że potrzebne było jakieś wyjaśnienie, dodał:

– Fal Sivas pracuje czasami w nocy nad swoimi eksperymentami. Nie wolno mu przeszkadzać, bez względu na to, co usłyszysz.

Do jadalni weszło teraz paru kolejnych niewolników, a tuż za nimi Zanda. Zerknąłem na Hamasa i zauważyłem, jak zmierzył ją wzrokiem spod zmrużonych powiek.

– Przyszła, Phystal – powiedział.

Człowiek po drugiej stronie stołu obrócił się i spojrzał na zbliżającą się dziewczynę. Zmarszczył gniewnie brwi.

– Gdzie byłaś zeszłej nocy, Zando? – zapytał, kiedy podeszła.

– Byłam przerażona i schowałam się.

– Gdzie?

– Spytaj Hamasa.

Phystal zerknął na wspomnianego.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie byłaś? – zapytał zarządca.

Zanda uniosła brwi.

– Och, wybacz – powiedziała głośno. – Nie wiedziałam, że nie chcesz, żeby ktoś się dowiedział.

Hamas nachmurzył się.

– O czym ty mówisz? Do czego zmierzasz?

– Nie powiedziałabym o tym, ale sądziłam, że Fal Sivas rzecz jasna o wszystkim wiedział.

Phystal zmierzył Hamasa podejrzliwym spojrzeniem. Niewolnicy przyglądali się mu, a ich myśli były wyraźnie widoczne na twarzach.

Hamas był wściekły. Phystal nabierał podejrzeń. Tymczasem dziewczyna stała przed nimi z niewinnym, anielskim wyrazem twarzy.

– Dlaczego to powiedziałaś? Co chcesz w ten sposób osiągnąć? – ryknął Hamas.

– Co takiego powiedziałam? – zapytała niewinnym głosem.

– Powiedziałaś... powiedziałaś...

– Powiedziałam „spytaj Hamasa”. Co w tym złego?

– Ale skąd mam to wiedzieć?

Zanda wzruszyła smukłymi ramionami.

– Nic już nie powiem. Nie chcę narobić ci kłopotów.

– Może im mniej powie, tym lepiej – podsunął Phystal.

Hamas miał już odezwać się, ale widocznie przemyślał sprawę. Przez chwilę patrzył na Zandę spode łba, po czym zabrał się za śniadanie.

Zaraz przed końcem posiłku powiedziałem mu, że Fal Sivas polecił mi wybrać sobie niewolnicę.

– Tak, wspominał mi o tym – odparł zarządca. – Porozmawiaj z Phystalem, to on zajmuje się niewolnikami.

– Ale czy wie, że Fal Sivas pozwolił mi wybrać, kogo zechcę?

– Powiem mu o tym.

Chwilę później skończył śniadanie, a wychodząc z jadalni, zatrzymał się i porozmawiał z Phystalem.

Widząc, że on również zamierzał odejść od stołu, podszedłem i oświadczyłem, że chciałbym wybrać sobie służącą.

– Którą?

Rozejrzałem się, udając, że przyglądam się uważnie każdej, aż zatrzymałem spojrzenie na Zandzie.

– Wybieram tę.

Phystal ściągnął brwi, niepewny, co powiedzieć.

– Fal Sivas powiedział, że mogę wybrać, kogo chcę – przypomniałem.

– Ale dlaczego akurat ją?

– Jest ładna i sprawia wrażenie inteligentnej. Nada się równie dobrze, jak każda inna, dopóki nie nabiorę tu doświadczenia.

Tym samym Zanda została moją osobistą służącą. Do jej obowiązków należało utrzymywanie czystości w moich pokojach, załatwienie moich

spraw, czyszczenie uprząży, polerowanie metalu, ostrzenie mieczy i sztyletów, oraz staranie, aby okazać się użyteczną na wszelkie możliwe sposoby.

O wiele bardziej wolałbym kogoś mojej płci, ale los zrządził, że byłem zmuszony obrać rolę jej obrońcy, a wyglądało na to, że był to jedyny sposób, aby ją pełnić. Nie wiedziałem jednak, czy Fal Sivas pozwoli mi ją zatrzymać czy nie. Ta kwestia, o ile w ogóle miała się pojawić, pozostawała do rozstrzygnięcia w przyszłości.

Zabrałem Zandę do siebie, a kiedy zajęła się obowiązkami, wezwał mnie Fal Sivas.

Niewolnik zaprowadził mnie do tego samego pokoju, w którym naukowiec przyjął nas poprzedniej nocy. Kiedy wszedłem, starzec pozdrowił mnie skinieniem głowy. Spodziewałem się, że zacznie od razu wypytywać o Zandę, ponieważ stali przy nim Hamas i Phystal, a nie miałem cienia wątpliwości, że donieśli mu o wszystkim, co zaszło przy śniadaniu.

Spotkało mnie jednak miłe rozczarowanie, ponieważ nawet o tym nie wspomniał; udzielił mi tylko wskazówek co do moich obowiązków.

Miałem stać w pogotowiu przed drzwiami i towarzyszyć mu, gdyby wyszedł. Bez jego pozwolenia nie miałem wpuszczać nikogo poza Hamasem i Phystalem. Pod żadnym warunkiem nie mogłem zapuszczać się na górę, chyba że sam by mi na to pozwolił albo wydał mi takie polecenie. Położył wielki nacisk na ten ostatni punkt i choć nie jestem przesadnie ciekawski, przyznaję, że skoro tylko zabronił mi wchodzić na piętro, od razu nabrałem na to ochoty.

– Mam nadzieję, że zdołam ci zaufać, kiedy spędzisz jakiś czas w mojej służbie i lepiej cię poznam – wyjaśnił. – Tymczasem jednak traktuj to jako próbę.

Dalsza część dnia dłużyła mi się, jak nigdy dotąd – spędziłem ją, stojąc po prostu przed drzwiami pokoiów naukowca i nic nie robiąc. Ostatecznie

moja służba dobiegła końca i przy najbliższej okazji przypomniałem Fal Sivasowi, że miał powiedzieć mi, jak trafić do siedziby Ur Jana, żebym spróbował dostać się tam tej nocy.

Udzielił mi szczegółowych wskazówek na temat drogi do budynku położonego w innej części miasta.

– Możesz ruszyć, kiedy zechcesz – oświadczył na koniec. – Powiedziałem Hamasowi, że możesz wychodzić stąd i wracać, kiedy uznasz za stosowne. Pokaże ci sygnał, dzięki któremu zostaniesz wpuszczony po powrocie. Powodzenia, choć uważam, że w najlepszym wypadku skończysz z ostrzem w sercu. Stajesz do konfrontacji z najbardziej niebezpiecznymi i pozbawionymi skrupułów zabójcami w Zodandze.

– To ryzyko, na które jestem gotów. Dobrej nocy.

Wróciłem do siebie i poleciłem Zandzie, aby po moim wyjściu zamknęła drzwi na klucz i otworzyła je tylko po usłyszeniu umówionego sygnału. Posłusznie spełniła moje zalecenia.

Kiedy miałem opuścić budynek, Hamas zaprowadził mnie do zewnętrznych drzwi. Tam pokazał mi ukryty w murze przycisk i wyjaśnił, że za jego pomocą mogłem powiadomić go o powrocie.

Nie uszedłem daleko, kiedy natknąłem się na Rapasa. Wyglądało na to, że zdążył zapomnieć o złości na mnie albo dobrze udawał, ponieważ przywitał mnie serdecznie.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

– Wychodzę.

– Co będziesz robił?

– Idę do zajazdu, zabrać rzeczy i oddać je do przechowalni, a potem rozejrzę się za jakąś rozrywką.

– Może spotkamy się później?

– W porządku. O której i gdzie?

– O wpół do dziewiątej powinienem być wolny. Może spotkamy się w tej gospodzie, do której cię wczoraj zabrałem?

– Dobrze, ale nie czekaj na mnie zbyt długo. Możliwe, że zmęczone szukaniem przyjemności i wrócę na kwaterę o wiele wcześniej.

Opuściwszy Rapasa, poszedłem do noclegowni, gdzie zostawiłem moje rzeczy. Zebrałem je teraz, zaniósłem do hangaru na dachu i schowałem na statku. Następnie wróciłem na ulicę i ruszyłem w stronę miejsca, do którego skierował mnie Fal Sivas.

Droga prowadziła przez dobrze oświetloną dzielnicę pełną sklepów i dalej, przez mroczną część starego miasta. Okolica była zamieszкана, ale domy były tu w nieco gorszym stanie. Niektóre nadal spoczywały na ziemi, ale większość była już uniesiona na noc na stalowych słupach na dwadzieścia lub trzydzieści stóp ponad poziom chodnika.

Słyszałem śmiech i od czasu do czasu odgłosy awantury: zwykle odgłosy nocnego życia wielkiego miasta na Barsoom. Następnie trafiłem do następnej, z pozoru opuszczonej dzielnicy.

Zbliżałem się do siedziby gildii zabójców. Trzymałem się w cieniu budynków i unikałem nielicznych o tej porze przechodniów, kryjąc się w cieniu bram i zaułków. Nie chciałem, żeby zobaczył mnie ktoś, kto mógłby mnie później rozpoznać. Igrałem ze śmiercią i nie zamierzałem pozbawiać się żadnych szans.

Dotarłem w końcu do budynku, którego szukałem, i znalazłem bramę po drugiej stronie ulicy, skąd mogłem obserwować swój cel, pozostając niezauważonym.

Cluros rzucał na fasadę budynku słaby blask, ale nie zauważyłem w nim nic istotnego. Początkowo nie widziałem w oknach żadnych świateł, ale przyjrząwszy się uważniej, zobaczyłem nikłą poświatę za oknami na najwyższym piętrze. Niewątpliwie to tam odbywało się spotkanie rady gildii, ale jak miałem tam wejść?

Wydawało się oczywiste, że wejście do budynku było zamknięte na klucz, a wszystkie korytarze prowadzące do pokoju, w którym odbywało się spotkanie – strzeżone.

Na kilku piętrach zauważyłem pod oknami balkony, a teraz odnotowałem, że na najwyższym piętrze były aż trzy. Gdybym tylko zdołał do nich dotrzeć, mógłbym dostać się do środka.

Niezwykła siła i zręczność, jakie zapewnia moim ziemskim mięśniom mniejsze marsjańskie ciążenie, wystarczyłyby zapewne, żebym zdołał wspiąć się po ścianie budynku, gdyby nie fakt, że mury były pozbawione wszelkiego oparcia dla stóp aż do piątego piętra, gdzie dopiero zaczynały się rzeźbione zdobienia.

Rozważywszy wszelkie możliwe scenariusze, w drodze eliminacji doszedłem do wniosku, że najłatwiej dostanę się do środka z dachu.

Mimo to, postanowiłem sprawdzić możliwość skorzystania z głównego wejścia przy ulicy i miałem już przejść w tym celu na drugą stronę, kiedy zauważyłem dwóch ludzi zbliżających się do budynku. Ukryłem się znów w cieniu i czekałem, aż mnie miną, ale zamiast tego zatrzymali się przed wejściem do gmachu, który obserwowałem. Po krótkiej chwili drzwi otworzyły się i weszli do środka. Wyglądało na to, że główne wejście było strzeżone i próba prześlizgnięcia się nim do wnętrza byłaby daremna.

Pozostał mi tylko dach, więc ułożyłem szybko w myślach plan, który miał pozwolić mi dostać się do budynku.

Opuściwszy kryjówkę, wróciłem prędko po własnych śladach do noclegowni, gdzie udałem się od razu do hangaru.

Na dachu nie było nikogo i po chwili usiadłem przy sterach statku. Wiedziałem, że narażam się na zatrzymanie przez patrol, ale ryzyko zdawało się dość odległe, ponieważ z wyjątkiem stanu zagrożenia publicznego statkom prywatnym w murach miasta poświęca się zwykle niewiele uwagi.

Na wszelki wypadek leciałem jednak nisko, poniżej poziomu dachów, trzymając się ciemnych ulic i po niedługim czasie dotarłem w poblizę siedziby gildii zabójców. Tu wzbiłem się wyżej i odszukawszy jej dach, wylądowałem delikatnie na nim. Nie zbudowano go wprawdzie z myślą o lądowisku, i nie było na nim hangaru ani pierścieni cumowniczych, ale silne wiatry zdarzają się na Marsie rzadko, zaś ta noc była szczególnie cicha i bezwietrzna.

Wysiadłem i zacząłem szukać drogi do środka budynku. Znalazłem niewielką klapę, ale okazała się zamknięta od wewnątrz i nie zdołałem jej uchylić, a przynajmniej nie zdołałbym tego dokonać, nie robiąc przy tym hałasu.

Podszedłem do krawędzi dachu od ulicy i spojrzałem na balkony w dole. Mógłbym zsunąć się przez brzeg dachu, zawiesić się na dłoniach i zeskoczyć, ale wtedy mógłbym ściągnąć na siebie uwagę hałasem, jakiego narobiłbym przy lądowaniu.

Przyjrzałem się uważnie fasadzie. Podobnie jak w większości marsjańskich budowli, pokrywały ją rzeźby, zapewniające dostateczne oparcie dla stóp i dłoni. Zsunąłem się ukradkiem przez krawędź i macałem palcami stóp, dopóki nie trafiłem na występ, który mógł utrzymać mój ciężar. Następnie puściłem jedną dłoń skraj dachu i poszukałem dla niej nowego punktu oparcia, i tak oto, powoli i ostrożnie, dotarłem na balkon.

Schodziłem tak, żeby znaleźć się naprzeciw nieoświetlonego okna. Przez chwilę stałem, nasłuchując. Z wnętrza dobiegały stłumione głosy. Przerzuciłem nogę przez parapet i zanurzyłem się w mroku pomieszczenia za nim.

Powoli wymacałem sobie drogę do ściany i podążyłem za nią, aż trafiłem na drzwi po drugiej stronie pokoju. Odszukałem ostrożnie zasuwę i podniosłem ją. Pociągnąłem delikatnie za drzwi: nie były zamknięte na klucz i otworzyły się bezgłośnie w moją stronę.

Za nimi był korytarz oświetlony słabą poświatą, zupełnie jakby docierała z otwartych drzwi lub innego korytarza. Głosy przybrały na sile. Zacząłem skradać się w stronę, skąd dobiegały.

Po krótkim czasie dotarłem do korytarza krzyżującego się pod kątem prostym z tym, którym szedłem. Światło było tu silniejsze i zauważyłem, że padało z otwartych drzwi położonych nieco dalej w korytarzu, w który miałem właśnie skręcić. Głosy na pewno nie docierały jednak zza nich, ponieważ wtedy słyszałbym je zdecydowanie wyraźniej.

Znalazłem się w ryzykownym położeniu. Nie znałem rozkładu budynku ani nie wiedziałem, które korytarze były używane. Podchodząc do otwartych drzwi, ryzykowałem, że znajdę się w pozycji, w której na pewno ktoś mnie zauważy.

Wiedziałem, że miałem do czynienia z płatnymi zabójcami, którzy potrafili posługiwać się mieczem i nie łudziłem się nawet, że zdołałbym stawić czoła ich tuzinowi albo jeszcze większej liczbie.

Ludzie, którzy żyją z miecza, są jednak przyzwyczajeni do podejmowania ryzyka, czasem nawet w bardziej rozpaczliwych okolicznościach, niż mogłaby to uzasadniać ich misja.

Możliwe, że tak było i w tej sytuacji, ponieważ przybyłem do Zodangi, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o gildii zabójców, na czele której stał Ur Jan, a skoro fortuna pozwoliła mi dotrzeć w miejsce, gdzie mogłem zdobyć wiele użytecznych informacji, nie zamierzałem wycofywać się tylko dlatego, że trzeba było podjąć pewne ryzyko.

Skradałem się dalej, aż dotarłem do drzwi. Przesuwając się ostrożnie, cal po calu, przez próg, przyjrzałem się uważnie wnętrzu.

Pomieszczenie było niewielkie i całkiem puste: najwyraźniej był to tylko pokój przechodni. Stało w nim kilka mebli: stół, parę ław oraz stara szafa ustawiona na ukos w kącie pomieszczenia, z jednej strony oddalona od ściany mniej więcej o stopę.

Głosy brzmiały już całkiem wyraźnie i byłem przekonany, że ich właściciele przebywali w następnym pomieszczeniu.

Wszedłem cicho i podszedłem do drzwi po drugiej stronie, przy których stała szafa, o której wspominałem. Przyłożyłem do nich ucho, próbując usłyszeć, co mówiono, ale słowa docierały stłumione i niewyraźne. To mi nie wystarczało: ostatecznie nic przecież nie widziałem ani nie słyszałem.

Uznałem, że muszę znaleźć inny sposób, żeby zbliżyć się do tego pokoju i miałem już wyjść, kiedy w korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Byłem w pułapce!

ŚMIERĆ W MROKU

Nieraz bywałem w tarapatach, ale w tej chwili wydawało mi się, że rzadko zdarzało mi się wejść na oślep w taką pułapkę. Kroki zbliżały się szybko. Sądząc po odgłosie, domyśliłem się, że nie należały do jednej osoby.

Gdyby szło tu tylko dwóch ludzi, zdołałbym się pewnie przez nich przebić, ale odgłosy walki ściągnęłyby rozmawiających w pokoju obok, a starcie potrwałoby na pewno dość długo, żeby zaatakowali mnie, zanim zdążyłbym uciec.

Uciec! Czy gdyby mnie odkryto, zdołałbym się stąd wydostać? Nawet gdybym dotarł do balkonu, pogoń byłaby tuż za mną i zostałbym ściągnięty ze ściany, zanim wdrapałbym się na dach, poza zasięg rąk.

Sytuacja wydawała się beznadziejna, kiedy nagle zatrzymałem wzrok na stojącej w rogu szafie i niewielkiej szczelinie dzielącej ją od ściany.

Kroki były już prawie przy drzwiach. Nie było czasu do stracenia. Czym prędzej wśliznąłem się za szafę i czekałem.

Zdążyłem w ostatniej chwili. Prawie równocześnie, idący korytarzem ludzie weszli do środka, tak że przez chwilę wydawało mi się, że na pewno mnie zauważyli. Najwyraźniej było jednak inaczej, ponieważ podeszli prosto do drzwi przy szafie, które jeden z nich otworzył szeroko.

Z ukrycia widziałem wyraźnie jego i pokój za drzwiami, pozostając w ukryciu cienia szafy.

To, co ujrzałem za drzwiami, dało mi do myślenia. Pośrodku pomieszczenia stał wielki stół, przy którym zasiadało co najmniej pół setki ludzi: największych twardzieli, jakich kiedykolwiek widziałem zebranych w jednym miejscu. U szczytu stołu siedział olbrzymiej postury człowiek, w którym rozpoznałem od razu Ur Jana. Potężnie i proporcjonalnie zbudowany, na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie groźnego wojownika.

Widziałem też człowieka, który otworzył drzwi, ale towarzyszących mu ludzi lub jednego człowieka zasłaniała mi szafa.

Kiedy drzwi się otworzyły, Ur Jan podniósł wzrok.

– Czego? Kogo tam masz? A, to on!

– Mówi, że ma dla ciebie wiadomość, Ur Janie – powiedział stojący w drzwiach. – Twierdzi, że to pilne, inaczej bym go tu nie przyprowadził.

– Wpuść go. Przekonamy się, czego chce, a ty wracaj na stanowisko.

– Wejść – powiedział mężczyzna, odwracając się do stojącego za nim człowieka. – I proś przodków, żeby twoja wiadomość zaciekała Ur Jana, inaczej nie wyjdiesz stąd na własnych nogach.

Odsunął się i zobaczyłem, jak ktoś minął go i wszedł do pokoju. Był to Ulsio Rapas.

Nawet widok jego pleców, kiedy zbliżał się do Ur Jana, zdradzał, jak bardzo był zdenerwowany i przerażony. Zastanawiałem się, co mogło go tu sprowadzać, skoro najwyraźniej nie był członkiem gildii. To samo pytanie zadawał sobie widocznie Ur Jan, na co wskazywały jego kolejne słowa.

– Czego tu szukasz, Rapasie?

– Przybywam jako przyjaciel. Przynoszę ci dawno oczekiwaną wiadomość.

– Najlepsza wiadomość, jaką mógłbyś mi przynieść, to ta, że ktoś poderżnął ci to kłamliwe gardło.

Rapas roześmiał się nerwowo i niepewnie.

– Widzę, że lubisz żarty, wielki Ur Janie – wymamrotał unizonym tonem.

Siedzący u szczytu stołu brutal zerwał się na równe nogi i uderzył zaciśniętą pięścią w solidny blat z drewna sorapusa.

– Wydaje ci się, że to żarty, nędzny zbirze? Ale śmiej się, póki możesz, bo jeśli nie masz dla mnie ważnej wiadomości a przyszedłeś tu, gdzie nie wolno wchodzić nikomu spoza gildii, przerywając nam bez słusznego powodu naradę, to wytnę ci nowe usta, którymi się już nie pośmiejesz!

– Chciałem tylko oddać ci przysługę. Sądziłem, że zechcesz usłyszeć informacje, które przynoszę. Inaczej bym nie przyszedł.

– Prędko więc, wyrzuć to z siebie! O co chodzi?

– Wiem, kogo Fal Sivas wynajął jako zabójcę.

Ur Jan roześmiał się paskudnie.

– Też to wiem! – ryknął. – Ciebie!

– Nie, ależ skąd! Źle mnie oceniasz! Wysłuchaj mnie!

– Widziano cię w domu Fal Sivasa i pozostajesz na jego służbie – rzucił oskarżycielskim tonem przywódca gildii. – A po co miałyby zatrudniać kogoś takiego, jeśli nie po to, żebyś zajmował się dla niego brudną robotą?

– To prawda, byłem w domu Fal Sivasa, i to często. Pracowałem dla niego jako osobisty strażnik, ale tylko po to, żeby go szpiegować. Teraz, kiedy dowiedziałem się już tego, czego chciałem, przyszedłem prosto do ciebie.

– A czego się dowiedziałeś?

– Mówiłem już. Wiem, kogo najął jako zabójcę.

– Kogo, skoro nie ciebie?

– Człowieka spoza miasta: pantana imieniem Vandor. To on jest jego płatnym mordercą.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Każdy człowiek uważa się za znawcę charakteru, a kiedy zdarzy się coś, co potwierdzi jego ocenę, czuje tym większą satysfakcję, ponieważ tak naprawdę niewielu z nas zna się dobrze na ludziach, stąd rzadko nadarza się okazja, żeby wieszować sobie pod tym względem.

Nigdy nie ufałem Rapasowi i od początku miałem go za krętacza i zdrajcę. Teraz przekonałem się, że najwyraźniej rzeczywiście nim był.

Ur Jan obrzucił go spode łba sceptycznym wzrokiem.

– Dlaczego przychodzisz z tym do mnie? Nie jesteś jednym z moich ludzi ani o ile wiem przyjacielem któregoś z nas.

– Ale chcę nim zostać. Naraziłem życie, żeby przynieść ci tę wiadomość, ponieważ chcę wstąpić do gildii i służyć wielkiemu Ur Janowi. Gdybyś na to pozwolił, byłby to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Jesteś najpotężniejszym człowiekiem w Zodandze i na całym Barsoom i chcę ci wiernie służyć!

Wszyscy ludzie są podatni na pochlebstwa, często tym bardziej, im większymi są ignorantami. Ur Jan nie był pod tym względem wyjątkiem. Widziałem niemal, jak nadał się w sobie, napinając ogromne barki i wydymając pierś.

– No cóż, przemyślę to – powiedział łagodniejszym tonem. – Możliwe, że nam się przydasz, ale najpierw musisz pomóc nam pozbyć się tego Vandora.

Rozejrzył się po siedzących przy stole.

– Czy ktoś z was go zna?

Rozległ się chór zaprzeczeń: nikt nie przyznawał się do znajomości ze mną.

– Mogę wam go wskazać jeszcze tej nocy – powiedział Rapas.

– Dlaczego?

– Ponieważ umówiłem się z nim na spotkanie w gospodzie, do której chodzi.

– Niezły pomysł – stwierdził Ur Jan. – O której macie się spotkać?

– Około wpół do dziewiątej.

Ur Jan rozejrzył się szybko po zgromadzonych.

– Uldak, pójdiesz z Rapasem i nie wracaj, dopóki nie zabijesz tego Vandora.

Przyjrzałem się dobrze Uldakowi, kiedy Ur Jan powierzył mu tę misję, a kiedy szedł z Rapasem w stronę drzwi, odnotowałem w pamięci każdy szczegół jego wyglądu, włącznie z chodem. Wiedziałem, że choć widziałem go tylko przez chwilę, już go nie zapomnę.

Kiedy przechodzili przez pomieszczenie, w którym się ukrywałem, Rapas objaśnił zabójcy ułożony przez siebie plan.

– Zaprowadzę cię w miejsce, gdzie mam się z nim spotkać. Wrócisz tam później i będziesz wiedział, że człowiek, który będzie ze mną siedział to ten, którego szukasz.

Uśmiechnąłem się, kiedy skręcili w korytarz i znaleźli się poza zasięgiem słuchu. Co pomyśleliby oni i Ur Jan, wiedząc że przedmiot ich zbrodniczych planów znajdował się zaledwie o kilka kroków od nich?

Chciałem pójść za tą dwójką, ponieważ obmyśliłem plan, którego realizacja mogła dostarczyć mi niezłej zabawy, ale nie mogłem wyjść z szafy, nie przechodząc przed drzwiami do pokoju, w którym siedział Ur Jan i pół setki płatnych zabójców.

Wyglądało na to, że będę musiał poczekać z powrotem na dach, dopóki narada się nie skończy i towarzystwo się nie rozejdzie.

Choć doskwierała mi ta wymuszona bezczynność, wykorzystałem ją, żeby przyjrzeć się uważnie twarzom wszystkich zabójców, których widziałem przez otwarte drzwi. Niektórzy siedzieli tyłem do mnie, ale nawet oni pokazywali mi od czasu do czasu swój profil.

Całe szczęście, że wykorzystałem tę okazję, aby utrwalić w pamięci twarze nieprzyjaciół, ponieważ ledwie chwilę czy dwie po tym, jak Rapas i Uldak wyszli z pokoju, Ur Jan podniósł wzrok, zauważył otwarte drzwi i kazał siedzącym w pobliżu zamknąć je.

Ledwie się zatrzasnęły, opuściłem kryjówkę i wyszedłem na korytarz. Nie zobaczyłem w nim nikogo i nie dochodziły mnie z niego żadne odgłosy, a ponieważ moja droga prowadziła w przeciwną stronę, nie obawiałem się zbytnio, że zostanę zatrzymany. Poszedłem czym prędzej do pokoju, do którego wszedłem przez okno, ponieważ powodzenie mojego planu zależało od tego, czy uda mi się dotrzeć do gospody przed Rapasem i Uldakiem.

Bez żadnych przygód wszedłem na balkon i wdrapałem się na dach, a zaraz potem odprowadziłem statek do hangaru na dachu zajazdu. Wyszedłem na ulicę i ruszyłem w okolice gospody, do której Rapas prowadził Uldaka, z uzasadnioną pewnością, że dotrę tam wcześniej od tej uroczej pary.

Znalazłem miejsce, skąd mogłem niezauważony obserwować bezpiecznie wejście i czekałem. Nie trwało to długo, ponieważ wkrótce ich zauważyłem. Zatrzymali się niedaleko gospody, na skrzyżowaniu dwóch ulic, a kiedy Rapas pokazał ją Uldakowi, rozdzielili się. Rapas poszedł w stronę noclegowni, gdzie go poznałem, zaś Uldak zawrócił w ulicę, którą przyszli.

Pozostało pół zoda do umówionego z Rapasem spotkania i przynajmniej na razie nie przejmowałem się nim. Musiałem zająć się Uldakiem.

Kiedy tylko Rapas minął mnie po przeciwnej stronie ulicy, wyszedłem z ukrycia i ruszyłem prędko w stronę, w którą odszedł zabójca.

Dotarwszy do skrzyżowania, zauważyłem go nieco z przodu. Szedł powoli, widocznie zabijając czas przed nadejściem pory, o której miałem spotkać się z Rapasem.

Śledziłem go dość długo, trzymając się drugiej strony ulicy, aż zapuścił się w okolice, która sprawiała wrażenie opuszczonej – do tego, co zamierzałem zrobić, nie potrzebowałem widowni.

Przeszedłem przez ulicę i przyspieszyłem kroku. Odległość między nami zmniejszała się prędko, aż znalazłem się kilka kroków za nim. Szedłem cicho i nie zaważył, że ktoś był w pobliżu. Dzieliło nas ledwie parę kroków, kiedy odezwałem się do niego.

– Szukasz mnie?

Okręcił się momentalnie, sięgając prawą dłonią po miecz. Zmierzył mnie wzrokiem spod przymrużonych powiek.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Może się mylę, ale jesteś chyba Uldak, prawda?

– I co z tego?

Wzruszyłem ramionami.

– Niewiele poza tym, że jak rozumiem, wysłano cię, abyś mnie zabił. Na imię mam Vandor.

Skończywszy mówić, wyjąłem miecz. Uldak sprawiał wrażenie zaskoczonego, kiedy zdradziłem swoje imię, ale musiał się bronić i dobywając broni roześmiał się nieprzyjemnie.

– Głupiec z ciebie! Gdybyś miał choć trochę oleju w głowie, to wiedząc, że cię szukam, uciekłybyś i ukrył się!

Najwyraźniej miał się za wielkiego szermierza. Mogłem zdezorientować go jeszcze bardziej, odkrywając swoją prawdziwą tożsamość, ponieważ nie ma na Barsoom wojownika, który nie straciłby ducha na myśl, że przyszło mu stawić czoła Johnowi Carterowi. Nie powiedziałem mu tego jednak, a ruszyłem do starcia i sprawdzałem przez chwilę, czy za jego przechwałkami stały jakiegokolwiek umiejętności.

Rzeczywiście, był świetnym szermierzem, a przy tym, zgodnie z moimi oczekiwaniami, podstępny i całkowicie pozbawiony skrupułów. Płatni zabójcy na ogół są całkowicie wyprani z honoru; to zwykli mordercy.

Z początku walczył nawet uczciwie, ponieważ wydawało mu się, że z łatwością mnie pokona. Ale kiedy przekonał się, że nie zdoła tego zrobić, zaczął próbować rozmaitych szemranych sztuczek, aż wreszcie zrobił coś niewybaczalnego: swobodną dłonią spróbował sięgnąć po pistolet.

Naturalnie, znając ludzi jego typu, spodziewałem się czegoś takiego i w chwili, kiedy zacisnął palce na kolbie, odbiłem jego ostrze w bok i uderzyłem go czubkiem miecza w lewy przegub, omal nie odcinając mu dłoni.

Cofnął się, krzycząc z wściekłości i bólu, a wtedy natarłem na niego energicznie.

Zaczął błagać głośno o litość, twierdząc że wcale nie miał na imię Uldak, że wziąłem go za kogoś innego i prosząc, abym pozwolił mu odejść.

Następnie tchórzliwie odwrócił się, żeby rzucić się do ucieczki i musiałem zrobić coś, czego wcale nie chciałem. O ile jednak mój plan miał się powieść, nie mogłem zostawić go przy życiu, dogoniłem go więc i przebiłem od tyłu mieczem.

Uldak padł martwy na twarz.

Oswobodziwszy ostrze, rozejrzałem się szybko. W okolicy nikogo nie było widać. Odwróciłem go na plecy i czubkiem miecza wyciąłem mu nad sercem krzyż.

MÓZG

Kiedy wszedłem do gospody, Rapas czekał już na mnie. Sprawiał wrażenie szczęśliwego i zadowolonego z siebie.

– W samą porę – powiedział. – Udało ci się znaleźć w mieście jakąś rozrywkę?

– Owszem, świetnie się bawiłem. A ty?

– Miałem bardzo udany wieczór. Nawiązałem korzystne stosunki, a przy okazji nie zapomniałem i o tobie, mój drogi.

– To miło z twojej strony.

– O tak, zapamiętasz ten wieczór do końca życia – powiedział, wybuchając śmiechem.

– Musisz mi o tym opowiedzieć.

– Nie, nie teraz. Na razie musi to pozostać tajemnicą. Wkrótce dowiesz się wszystkiego, ale teraz zjedzmy coś. Dzisiaj świętuję – płacę za wszystko.

Nędzny szczur, miał się już niemal za pełnoprawnego członka gildii Ur Jana i rozdymało go wręcz poczucie własnej ważności.

– Świetnie! To twoje święto – odpowiedziałem, uznawszy że moja satysfakcja z żartu będzie jeszcze większa, jeśli pozwolę, aby ten nieszczęsny głupiec zapłacił rachunek, po czym dla dodania sobie humoru zamówiłem najdroższe dania.

Kiedy wchodziłem, Rapas siedział twarzą do wejścia, a teraz stał na nie zerkając. Za każdym razem, kiedy ktoś wchodził, widziałem na jego twarzy pełną oczekiwania minę, która po chwili przechodziła w wyraz rozczarowania.

Jedząc, rozmawialiśmy o różnych nieważnych sprawach, a w miarę upływu czasu zauważałem jego rosnące zniecierpliwienie i troskę.

– O co chodzi Rapas? – zapytałem. – Ni stąd ni zowąd, wydajesz się podenerwowany i cały czas obserwujesz wejście. Spodziewasz się kogoś?

Od razu odzyskał panowanie nad sobą, ale rzucił mi badawcze spojrzenie spod zmrużonych powiek.

– Nie, nikogo, ale mam tu wrogów. Zawsze muszę być czujny.

Przeciągał posiłek, jak tylko mógł, a im później było, tym bardziej nerwowy się stawał i tym częściej zatrzymywał wzrok na drzwiach. Podniosłem się w końcu, żeby wyjść, ale zatrzymał mnie.

– Zostańmy jeszcze chwilę. Nie spiesz ci się przecież?

– Powinienem już wracać. Fal Sivas może mnie wezwać.

– Ależ skąd – powiedział. – Nie będziesz mu potrzebny do rana.

– Ale muszę się przespać.

– Nie martw się, zdążysz się wyspać.

– Skoro tak, to im prędzej pójde do łóżka, tym lepiej – stwierdziłem i podniosłem się z ławy.

Próbował mnie zatrzymać, ale zdążyłem już nasycić się tym wieczorem, więc obstawałem przy tym, żeby wyjść.

Wstał niechętnie od stołu.

– Odprowadzę cię kawałek.

Byliśmy przy drzwiach, kiedy do gospody weszło dwóch ludzi. Rozmawiali o czymś z ożywieniem, kiedy pozdrowili właściciela.

– Agenci Wodza znowu działają – powiedział jeden.

– Jak to? – spytał właściciel.

– W Alei Zielonego Gardła znaleźli właśnie ciało jednego z ludzi Ur Jana. Na sercu ktoś wyciął mu znak Wodza.

– Tym więcej władzy dla Johna Cartera – stwierdził właściciel. – Zodanga byłaby o wiele lepszym miejscem bez płatnych zabójców.

– Jak miał na imię nieboszczyk? – zapytał Rapas, z o wiele większą troską niż chciałby dać po sobie poznać.

– No cóż, ktoś w tłumie twierdził, że jego zdaniem był to Uldak – odpowiedział jeden z ludzi, którzy przynieśli wiadomość.

Rapas zbladł.

– Czy to był twój przyjaciel? – zapytałem.

Wzdrygnął się, zaskoczony.

– Nie – powiedział. – Nie znałem go. Chodźmy już.

Wyszliśmy na ulicę i ruszyliśmy w kierunku domu Fal Sivasa. Szliśmy ramię w ramię przez oświetlone okolice gospody. Rapas był bardzo cichy i sprawiał wrażenie podenerwowanego. Obserwowałem go kątem oka i próbowałem czytać mu w myślach, ale pilnował się i zamykał przede mną umysł.

Często mam nad Marsjanami tę przewagę, że potrafię czytać im w myślach, choć mój umysł jest dla nich nieprzenikniony. Nie wiem, dlaczego tak jest. Telepatia jest tam powszechnym zjawiskiem, ale żeby zabezpieczyć się przed wiążącym się z nią zagrożeniem, mieszkańcy Barsoom wykształcili zdolność zamykania umysłów przed innymi. Ten mechanizm obronny jest używany od tak dawna, że stał się powszechny i tylko od czasu do czasu udaje się złapać kogoś z opuszczoną gardą.

Kiedy jednak zapuściliśmy się w ciemniejsze ulice, stało się jasne, że Rapas próbował trzymać się z tyłu i nie musiałem czytać mu w myślach, żeby wiedzieć, co zamierzał. Uldak zawiódł, a Szczurowi nadarzała się okazja okryć się chwałą i zdobyć względy Ur Jana, wykonując jego zadanie.

O ile ktoś ma poczucie humoru, podobna sytuacja może dostarczyć sporej satysfakcji, tak jak mnie w tamtej chwili. Szedłem ciemną ulicą z człowiekiem, który zamierzał zamordować mnie przy pierwszej okazji, i musiałem udaremnić jego plany, nie zdradzając swoich podejrzeń, ponieważ nie chciałem go jeszcze zabijać. Czułem, że Rapas mógł mi się jeszcze przydać w ten czy inny sposób, nie podejrzewając nawet, że mi pomaga.

– Dalej – powiedziałem w końcu. – Czemu się ociągasz? Zmęczyłeś się?
Ująłem go za prawą rękę i w ten sposób szliśmy dalej w stronę domu Fal Sivasa.

Po pewnym czasie wyrwał mi się na jakimś skrzyżowaniu. – Tu cię zostawię – powiedział. – Nie wracam dziś w nocy do staruszka.

– Dobrze, przyjacielu. Ale mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

– Na pewno.

– Może jutro wieczorem, a jeśli nie, to pojutrze. Kiedy tylko będę wolny, wpadnę do gospody i może cię tam złapię?

– Świetnie, jestem tam co wieczór.

– Dobrej nocy, Rapasie.

– Dobranoc, Vandorze.

Skręcił w ulicę po lewej stronie, a ja poszedłem dalej swoją drogą.

Sądziłem że będzie mnie śledził, ale nie zrobił tego, więc koniec końców dotarłem bez kłopotów do siedziby wynalazcy.

Hamas wpuścił mnie do środka, a zamieniwszy z nim parę słów, udałem się prosto do mojej kwatery, gdzie Zanda otworzyła mi drzwi w odpowiedzi na umówiony sygnał.

Powiedziała, że tego wieczoru w domu było bardzo cicho i nikt jej nie nachodził ani nie próbował wdrzeć się do moich pokoi. Przygotowała mi posłanie a ponieważ byłem zmęczony, padłem na nie od razu.

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, stawiałem się na służbie przed drzwiami gabinetu Fal Sivasa. Nie stałem tam długo, kiedy wezwał mnie do siebie.

– Jak ci poszło zeszłej nocy? – zapytał. – Dopisało ci szczęście? Żyjesz, więc zakładam, że nie udało ci się dotrzeć na spotkanie gildii zabójców.

– Przeciwnie, byłem tam – odpowiedziałem. – Stałem w pokoju obok i widziałem ich wszystkich.

– Czego się dowiedziałeś?

– Niewiele. Kiedy zamknęli drzwi, nic nie słyszałem. Tylko przez chwilę były otwarte.

– Co zdążyłeś usłyszeć?

– Wiedzieli, że pracuję dla ciebie jako osobisty strażnik.

– Co?! Skąd mogli się o tym dowiedzieć?

Potrząsnąłem głową.

– Musi być jakiś przeciek – stwierdziłem.

– Zdrajca?!

Nie powiedziałem mu o Rapasie. Obawiałem się, że kazałby mi go zabić, a nie zależało mi na jego śmierci, dopóki mógł okazać się przydatny.

– Co jeszcze słyszałeś?

– Ur Jan kazał mnie zabić.

– Musisz uważać. Może lepiej nie wychodzić znów w nocy.

– Potrafię o siebie zadbać, a będziesz miał ze mnie więcej pożytku, jeśli będę mógł wychodzić w nocy i rozmawiać z ludźmi z miasta niż gdybym po służbie zostawał w domu.

Skinął głową.

– Pewnie masz rację – powiedział, po czym siedział przez chwilę pogrążony w myślach. Wreszcie podniósł głowę. – Mam! Wiem, kto jest zdrajcą!

– Tak?

– Ulsio Rapas! Szczur! Trafne imię!

– Jesteś tego pewny?

– To musi być on – stwierdził z naciskiem. – Nikt inny poza wami nie wychodził stąd, od kiedy się tu zjawiłeś. Ale dokończymy sprawę, kiedy wróci. Zabijesz go wtedy. Rozumiesz?

Przytaknąłem.

– To rozkaz – powiedział – i lepiej go wykonaj.

Przez pewien czas siedział w milczeniu i widziałem, że przyglądał mi się badawczym wzrokiem. Wreszcie odezwał się.

– Sądząc po twoim zainteresowaniu książkami, liznąłeś trochę nauki?
– To tylko powierzchowna znajomość – zapewniłem.
– Potrzebny mi ktoś taki, jak ty, komu mógłbym zaufać. Ale czy to możliwe?

Wyglądało na to, że myślał głośno.

– Rzadko się mylę – ciągnął zamyślonym tonem. – Charakter Rapasa czytam, jak książkę. Wiedziałem, że to szubrawiec i nieuk, a w głębi serca – zdrajca.

Obrócił się nagle w moją stronę.

– Ale ty jesteś inny. Uważam, że mogę podjąć ryzyko i zawierzyć ci, ale jeśli mnie sprawisz mi zawód...

Podniósł się i stanął przede mną. Jeszcze nigdy nie widziałem na ludzkiej twarzy tak złowróżbnego wyrazu.

– Jeśli sprawisz mi zawód, Vandorze, czeka cię śmierć, jaką może wymyślić tylko mój geniusz.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Możesz mnie zabić tylko raz – powiedziałem.

– Ale jeśli podejść do tego w naukowy sposób, może to potrwać bardzo długo.

Uspokoił się już jednak, a jego głos brzmiał nieco żartobliwie. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak napawałby się widokiem straszliwej śmierci osobistego wroga.

– Wprowadzę cię w moje sekrety, ale uchylę ci tylko ich rąbka – powiedział.

– Pamiętaj, że wcale o to nie prosiłem i nie próbowałem poznać twoich tajemnic.

– Obydwoj coś ryzykujemy: ty życie – ja, moje sekrety. Chodź, chcę ci coś pokazać.

Poprowadził mnie korytarzem obok mojej kwatery i po pochylni na zakazane piętro. Na górze przeszliśmy przez urządzone z przepychem

apartament mieszkalny, a następnie ukrytymi za kotarą niewielkimi drzwiami wyszliśmy na ogromne poddasze wysokości kilku pięter.

Całą długość olbrzymiego pomieszczenia zajmował wsparty na rusztowaniu najdziwniejszy statek, jaki w życiu widziałem. Elipsoidalny nos stanowił najszerszy punkt kadłuba, który zaraz za nim zaczynał zwężać się stopniowo, aż po szpic na rufie.

– Oto on! – oznajmił z dumą Fal Sivas. – Dzieło mojego życia, prawie kompletne.

– Takiego statku jeszcze nie widziałem – zauważyłem. – Czy przewyższa pod jakimś względem obecnie używane?

– Zbudowałem go, żeby dokonał tego, czego inne nie potrafią. Ma rozwijać prędkość przekraczającą najśmielsze ludzkie wyobrażenia i podróżować tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden statek ani człowiek! Mogę polecieć nim na Clurosa i Thurię, Vandorze! Mogę przemierzać nim kosmos i odwiedzać inne planety!

– To cudowne!

– Ale to jeszcze nie wszystko. Jak widzisz, zbudowałem go z myślą o rozwijaniu wielkich prędkości, ale zapewniam, że wytrzyma również ogromne ciśnienie i zniesie straszliwe temperatury. Możliwe, że jakiś inny wynalazca osiągnąłby to samo, właściwie jestem nawet przekonany, że Gar Nal już to zrobił, ale tylko jeden człowiek na Barsoom... ba! w całym układzie słonecznym, mógł dokonać tego, co ja i wyposażyć ten z pozoru bezduszny mechanizm w kierujący nim mózg! Stworzyłem mechaniczny mózg, Vandorze, i potrzeba mi już tylko trochę czasu i paru poprawek, żeby wysłać ten statek w podróż, w trakcie której samodzielnie uda się tam, gdzie zechcę, i wróci. Pewnie wydaje ci się, że to niemożliwe i że oszalałem, ale spójrz tylko! Patrz uważnie!

Skupił spojrzenie na nosie niezwykłego pojazdu, który po chwili uniósł się powoli z rusztowania na około dziesięć stóp, po czym zawisł

w powietrzu. Następnie nos wzniósł się o kilka stóp, a za nim ogon, a wreszcie cały statek osiadł z powrotem na rusztowaniu.

Czułem się oszołomiony. Nigdy w życiu nie widziałem podobnego cudu i nie kryłem podziwu dla geniuszu Fal Sivasa.

– Jak sam widzisz, nie musiałem nawet do niego mówić – wyjaśnił. – Mechaniczny mózg, w który go wyposażyłem, reaguje na fale mózgowe. Wystarczy, że pomyślę o tym, co chcę, żeby zrobił, i wysłę impuls w jego stronę. Mózg działa wtedy dokładnie tak samo jak ludzki i uruchamia mechanizm, który kieruje precyzyjnie statkiem, podobnie jak umysł pilota kierowałby jego dłońmi przy przesuwaniu dźwigni, wduszaniu przycisków i hamowaniu czy dodawaniu prędkości. Aby stworzyć ten mechanizm musiałem stoczyć długą i straszną walkę, dopuszczając się rzeczy, które wydałyby się odrażające delikatniejszej części ludzkiej natury. Uważam jednak, że było warto. Moje największe dzieło usprawiedliwia wszelkie koszty życia i cierpień ludzkich. Sam również zapłaciłem za jego stworzenie. Odało mnie to z czegoś, czego nie da się zastąpić. Pozbawiło mnie wszelkich ludzkich instynktów. Oprócz tego, że pozostaję istotą śmiertelną, jestem złożony z zimnych, bezdusznych równań, tak samo jak ten przedmiot, który widzisz przed sobą. Czasami nienawidzę go z tego powodu, a jednak oddałbym za niego życie. Zabiłbym dla niego niezliczoną ilość ludzi, zresztą już to zrobiłem. Moje dzieło, największa zdobycz myśli ludzkiej, musi przetrwać!

STATEK

Sądzę, że każdy z nas posiada dwa charaktery. Często są tak do siebie podobne, że ta dwoistość jest wręcz niewykrywalna, ale zdarzają się rozbieżności tak wielkie, że w jednym człowieku mamy do czynienia ze zjawiskiem podobnym do przypadku doktora Jekylla i pana Hyde'a. Ta krótka odsłona charakteru Fal Sivas sugerowała, że mógł stanowić przykład takiego właśnie rozdwojenia osobowości.

Sprawił wrażenie, jakby od razu pożałował wcześniejszego wybuchu emocji, i zajął się znowu objaśnianiem swojego wynalazku.

– Chciałbyś zobaczyć go od środka?

– I to bardzo.

Ponownie skupił wzrok na nosie statku i po chwili w burcie otworzyły się drzwi, z których na posadzkę opadła drabina sznurowa.

Widok był niesamowity, zupełnie jakby wszystkie czynności wykonywały jakieś widmowe dłonie.

Fal Sivas wskazał, abym wszedł przed nim po drabinie. Zwykle miał się na baczności, aby nie mieć nikogo za plecami, co pokazywało, w jakim napięciu żył, obawiając się stale skrytobójców.

Drzwi prowadziły prosto do niewielkiej kabiny, urządzonej wygodnie, a nawet luksusowo.

– Na rufie są ładownie, gdzie można zabrać żywność na długą podróż – opowiadał Fal Sivas. – Tam też umieściłem napęd, generatory tlenu i wody, oraz termostat. Z przodu jest sterownia, która, jak sądzę, zaciekawi cię.

Zaprosił mnie gestem do przejścia przez niewielkie drzwi w przedniej grodzi kabiny.

Całe wnętrze sterowni, zajmującej cały przód statku, składało się z masy skomplikowanych urządzeń mechanicznych i elektrycznych.

Po obu stronach osadzono w burtach spore, okrągłe okna wykonane z grubych tafli kryształu.

Z zewnątrz przypominały one olbrzymie ślepie jakiegoś gigantycznego potwora, i prawdę mówiąc, tym właśnie były.

Fal Sivas zwrócił moją uwagę na niewielki, okrągły przedmiot z metalu, wielkości sporego grapefruita, zamocowany między oknami i nieco wyżej od nich. Prowadził od niego gruby przewód, złożony z ogromnej ilości drobnych, izolowanych kabli. Zauważyłem, że niektóre z nich były połączone z innymi urządzeniami w sterowni, z kolei inne przechodziły przez wywiercone w tym celu otwory na część rufową.

Fal Sivas wyciągnął rękę do góry i niemal pieścotliwym gestem położył dłoń na kuli.

– To właśnie mózg statku – powiedział, po czym kazał mi przyjrzeć się dwóm punktom położonym dokładnie w środku każdego okna. Nie zauważyłem ich wcześniej, ale teraz widziałem, że fakturą różniły się od reszty kryształu.

– Te soczewki są skupione na otworze w podstawie mózgu – tu wskazał niewielki otwór w dolnej części kuli – przekazując mu, wszystko, co widzą oczy statku. Mózg działa wtedy mechanicznie, dokładnie tak samo jak ludzki, tyle że z większą dokładnością.

– To niewiarygodne!

– Niemniej to prawda. Moje dzieło tylko pod jednym względem nie dorównuje ludzkiemu umysłowi. Nie jest zdolne do samodzielnego myślenia. Może to i dobrze, bo gdyby posiadało tę umiejętność, stworzyłbym na zgubę własną i całego świata bezdusznego potwora, który dokonałby nieobliczalnych zniszczeń, zanim zdołalibyśmy go unicestwić. Statek wyposażony jest bowiem w potężne działka radowe, z których może prowadzić ogień z o wiele bardziej zabójczą precyzją niż potrafiłby to zrobić człowiek.

– Nie zauważyłem od zewnątrz żadnej broni.

– Rzeczywiście. Działka są ukryte w kadłubie i jedyną ich widoczną częścią są niewielkie okrągłe otwory w poszyciu. Ale jak już mówiłem, jedyna słabość mechanicznego mózgu to ta, dzięki której jest tak przydatny dla człowieka. Do działania potrzebuje ludzkich fal mózgowych. Innymi słowy, muszę przesłać do niego własne myśli, które dostarczą mu bodźca. Mogę kazać mu na przykład unieść się na dziesięć stóp w powietrze, zawisnąć na kilka sekund, i osiąść z powrotem na rusztowaniu. Aby rozbudować nieco ten przykład, mógłbym polecić mu lecieć na Thurię, znaleźć odpowiednie miejsce i wylądować. Dodatkowo, mógłbym przestrzec go, aby w razie napaści odparł wrogów ogniem działek i manewrując tak, aby uniknąć katastrofy, raczej wrócić niezwłocznie na Barsoom niż narażać się na zniszczenie.

Statek ma też aparaty fotograficzne, którymi mógłbym polecić mu robić zdjęcia podczas pobytu na powierzchni Thurii.

– I naprawdę sądzisz, że zrobiłby to wszystko?

– Oczywiście, że tak – warknął zniecierpliwiony. – Jeszcze parę dni i dopracuję ostatnie szczegóły. Pozostała mi drobnostka związana z układem przekładni, z którego nie jestem do końca zadowolony.

– Możliwe, że mógłbym pomóc – zasugerowałem. – Przez lata spędzone w powietrzu dowiedziałem się o nich to i owo.

Od razu nabrał zainteresowania i polecił mi wrócić na do hangaru. Zszedł zaraz za mną i wkrótce ślęczeliśmy we dwójkę nad schematami napędu.

Po krótkim czasie odkryłem, na czym polegała niesprawność i w jaki sposób można ją było usunąć. Fal Sivas był zachwycony. Z miejsca uznał wartość moich spostrzeżeń.

– Chodź ze mną – powiedział. – Weźmy się od razu do pracy nad tymi poprawkami.

Zaprowadził mnie do drzwi na końcu hangaru i otworzywszy je szeroko, wprowadził do ukrytego za nimi pomieszczenia.

Ujrzałem szereg sąsiadujących ze sobą pomieszczeń, w których znajdowały się najlepiej wyposażone warsztaty mechaniczne i elektryczne, jakie w życiu widziałem. Zobaczyłem też coś jeszcze, na widok czego wzdrygnąłem się, zastanawiając się nad skalą szkodliwości obsesji starego naukowca na punkcie zachowania swoich prac w tajemnicy.

Warsztaty obsługiwał liczny zespół mechaników, przykutych do swoich biurek i maszyn. Od długiego przebywania w zamknięciu ich cera stała się ziemista, a w oczach widać było tylko rozpacz i brak nadziei.

Fal Sivas musiał zauważyć moją minę, ponieważ ni stąd ni zowąd powiedział coś, co mogło odnosić się tylko do moich myśli.

– To naprawdę konieczne, Vandorze. Nie mogę ryzykować, że któryś z nich ucieknie i zdradzi moje tajemnice świata, zanim będę gotowy.

– A kiedy nadejdzie ten czas?

– Nigdy – warknął w odpowiedzi. – Kiedy umrę, moje tajemnice umrą wraz ze mną, a dopóki żyję, uczynią mnie najpotężniejszym człowiekiem we wszechświecie. Nawet sam Wódz Marsa będzie musiał paść przede mną na kolana!

– Ale w takim razie ci nieszczęśnicy spędzą tu chyba całe życie?

– Powinni być dumni i szczęśliwi: ostatecznie pracują nad najwspanialszym wynalazkiem, jaki stworzył ludzki umysł.

– Nie ma nic wspanialszego od wolności – zauważyłem.

– Zatrzymaj dla siebie ten nedorzeczny sentymentalizm. W moim domu nie ma miejsca na współczucie. Jeśli chcesz mi się przydać, musisz myśleć stale o celu, nie bacząc na środki, za pomocą których go osiągniemy.

Widziałem, że nastawiając go wrogo do siebie, nie wskórałbym nic – ani dla mnie ani dla jego nieszczęsnych ofiar, wobec czego zmilczałem sprawę, wzruszając ramionami.

– Oczywiście, masz rację – powiedziałem.

– Tak lepiej – odparł, po czym wezwał przełożonego warsztatu i objaśniliśmy mu zmiany, jakie trzeba było wprowadzić w napędzie.

Kiedy wyszliśmy z pomieszczenia, Fal Sivas westchnął.

– Gdybym tylko mógł stworzyć większą ilość mechanicznych mózgów, pozbyłbym się tych głupich ludzi. Wystarczyłoby jedno takie urządzenie, aby wykonywać wszystkie czynności, do których trzeba teraz od pięciu do dwudziestu ludzi, i robiłoby to o wiele lepiej.

Następnie udał się do prywatnego laboratorium na tym samym piętrze, mówiąc, że przez jakiś czas nie będę mu potrzebny, miałem jednak pozostać w swojej kwaterze przy otwartych drzwiach, pilnując, aby nikt niepowołany nie szedł w stronę pochylni prowadzącej do laboratoriów.

Kiedy wróciłem do siebie, Zanda polerowała właśnie zapasową uprząż, przyslaną według jej słów przez Fal Sivas.

– Rozmawiałam niedawno z niewolnicą Hamasa – powiedziała po jakimś czasie. – Twierdzi, że jej pan martwi się z twojego powodu.

– Dlaczego?

– Wydaje mu się, że Fal Sivas cię polubił, i jest zazdrosny o swoją władzę. Od wielu lat jest w tym domu kimś bardzo ważnym.

Roześmiałem się.

– Nie zabiegam o jego stanowisko.

– Ale on o tym nie wie. I nie uwierzyłby ci, gdyby to usłyszał. To twój wróg i to potężny. Chciałam cię tylko ostrzec.

– Dziękuję, Zando. Będę na niego uważał, ale mam wielu wrogów i tak się już do tego przyzwyczaiłem, że jeden więcej niewiele dla mnie znaczy.

– Hamas może okazać się aż nadto ważny. Fal Sivas go słucha. Martwię się o ciebie, Vandorze.

– Nie powinnaś, ale jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, to pamiętaj, że dzięki tej niewolnicy ty również możesz dotrzeć do uszu Hamasa. Mogłabyś dać jej do zrozumienia, że nie żywię ambicji, aby go zastąpić.

– Dobry pomysł, ale obawiam się, że na niewiele się zda. Na twoim miejscu nie wracałabym, kiedy znowu wyjdiesz z budynku. Wypuścili cię ostatniej nocy, więc pewnie wolno ci wychodzić stąd, kiedy zechcesz.

– Zgadza się.

– Pewnie tak będzie nadal, dopóki Fal Sivas nie zabierze cię na górę i nie pokaże ci któregoś ze swoich sekretów, chyba że Hamas uprze się, aby przekonać go, żeby pozbawił cię tego przywileju.

– Ale byłem już na górze i widziałem wiele cudownych wynalazków Fal Sivasa.

Usłyszawszy to, wydała cichy okrzyk trwogi.

– Jesteś zgubiony, Vandorze! Teraz nigdy już nie opuścisz tego straszego miejsca!

– Wręcz przeciwnie, wyjdę dziś wieczór. Fal Sivas udzielił mi zgody.

Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem i nie uwierzę, dopóki rzeczywiście cię nie wypuszczą.

Pod wieczór mój gospodarz przysłał po mnie. Twierdził, że chciał porozmawiać o kolejnych modyfikacjach przekładni, więc tego wieczoru nie wyszedłem. Następnego dnia zatrzymał mnie w warsztatach, abym kierował mechanikami pracującymi nad nowym układem przekładni, a tym samym znów sprawił, że nie mogłem opuścić budynku.

Noc po nocy uniemożliwiał mi to w ten czy inny sposób, a choć tak naprawdę nie zabraniał mi tego, nabrałem wrażenia, że właściwie stałem się więźniem.

Praca w warsztatach wciągnęła mnie jednak i nie przeszkadzało mi zbytnio, czy mogłem wyjść czy nie.

Od kiedy zobaczyłem cudowny statek naukowca i wysłuchałem jego objaśnień na temat kierującego nim mechanicznego mózgu, nie przestawałem o nim myśleć. Dostrzegałem wszystkie jego dobre i złe zastosowania, jakie nakreślił przede mną Fal Sivas, i ciekawiło mnie, co mógłby zdziałać kierujący nim człowiek.

Gdyby służył dobru ludzkości, wynalazek mógłby okazać się bezcennym darem dla Barsoom. Obawiałem się jednak, że Fal Sivas był zbyt samolubny i żądny władzy, aby użyć go dla dobra publicznego.

Podobne rozważania doprowadziły mnie naturalnie do pytania, czy mózgiem mógł pokierować ktoś poza Fal Sivasem. Spekulacje te intrygowały mnie niezmiernie i postanowiłem przekonać się przy pierwszej okazji, czy bezduszne urządzenie zareaguje na moje polecenia.

Tego popołudnia Fal Sivas przebywał w swoim laboratorium, a ja pracowałem w warsztatach z nieszczęsnymi uwięzionymi tam robotnikami. Statek spoczywał na rusztowaniu w sąsiednim pomieszczeniu. Pomyślałem, że oto właśnie nadarzyła się dobra okazja, aby przeprowadzić mój eksperyment.

Wszyscy w warsztacie byli niewolnikami. Na dodatek szczerze nienawidzili Fal Sivas, więc było im zupełnie obojętne, co robiłem.

Okazywałem im uprzejmość, a nawet próbowałem obudzić w nich nadzieję, choć nie wierzyli, żeby cokolwiek mogło jeszcze zmienić ich położenie. Zbyt często widzieli umierających w łańcuchach towarzyszy, aby choćby myśleć o ucieczce. Całe ich życie było ogarnięte apatią i wątpliwością, czy którykolwiek zauważył nawet, kiedy opuściłem warsztat i wszedłem do hangaru.

Zamknawszy za sobą drzwi, podszedłem do statku i skupiłem myśli na mechanicznym mózgu. Podobnie jak wcześniej Fal Sivas, wydałem mu polecenie, aby podniósł się z rusztowania i osiadł na nim z powrotem. Uznałem, że jeśli uda mi się tego dokonać, zdołam zmusić go do tego samego, co wynalazca.

Niełatwo ulegam ekscytacji, ale muszę przyznać, że obserwowałem wznoszący się nade mną statek ze spiętymi nerwami, zastanawiając się, czy zareaguje na wysyłane przeze mnie w jego stronę niewidzialne fale mózgowe.

Naturalnie, podobne skupienie na jednej rzeczy znacznie ograniczało pozostałe funkcje umysłu, ale mimo to oczami wyobraźni widziałem już, co mógłbym osiągnąć, gdyby eksperyment zakończył się powodzeniem.

Podejrzewam, że stałem tam tylko chwilę, która zdawała jednak ciągnąć się w nieskończoność, aż wreszcie wielki kadłub drgnął i uniósł się powoli, jakby podniesiony niewidzialną ręką. Zawisł na chwilę o dziesięć stóp nad rusztowaniem, po czym znów oparł się na nim.

Kiedy to zrobił, usłyszałem z tyłu jakiś odgłos i odwróciwszy się niezwłocznie, ujrzałem stojącego w drzwiach hangaru Fal Sivasa.

TWARZ W DRZWIACH

Pewności siebie towarzyszy zawsze pewna nonszalancja. Czułem wdzięczność, że geny jakiegoś odległego przodka odpowiadające za panowanie nad sobą zachowały się w mojej linii i zostały mi przekazane. Nie wiedziałem, czy Fal Sivas wszedł, zanim statek spoczął znów na rusztowaniu czy nie. W tym drugim wypadku, spóźniłby się ledwie o ułamek sekundy. Najlepszą obroną zdawało się w tej chwili wyjść z założenia, że nie widział tego, i tak też postanowiłem się zachowywać.

Stary wynalazca zmierzył mnie surowym wzrokiem, stojąc w drzwiach.

– Co tu robisz?

– Twój wynalazek nie przestaje mnie intrygować. Przyszedłem, żeby przyrzeć mu się jeszcze raz. Nie mówiłeś, że to zabronione.

Ściągnął brwi w zadumie.

– Może i nie – stwierdził w końcu – ale teraz mówię. Nikomu nie wolno tu wchodzić bez mojego wyraźnego polecenia.

– Będę o tym pamiętał.

– Lepiej będzie dla ciebie, jeśli tak będzie, Vandorze.

Podszedłem do drzwi, zamierzając wrócić do warsztatu, ale nadal zagradzał mi drogę.

– Zaczekaj. Zastanawiałeś się może, czy mózg zareaguje na twoje fale mózgowe?

– Szczerze mówiąc, tak – odpowiedziałem.

Zastanawiałem się ile wiedział i widział. Może bawił się ze mną tylko, wiedząc swoje, a może po prostu był podejrzliwy i próbował potwierdzić swoje wątpliwości. Jakkolwiek by nie było, postanowiłem nie dać się wciągnąć w pułapkę i uznać, że wszystko jednak widział i wiedział.

– Nie próbowałeś przypadkiem sprawdzić, czy zareaguje?

– Chyba tylko skończony idiota nie pomyślałby o tym, zobaczywszy go choć raz?

– Owszem, racja. To wręcz naturalne, ale czy ci się udało?

Żrenice zwęziły mu się i przymknął powieki, zmieniając oczy w złowrózne szparki. Sprawiał wrażenie, jakby próbował wwiercić się w moją duszę, a bez wątpienia próbował czytać mi w myślach, choć wiedziałem, że bez powodzenia.

Machnąłem dłonią w kierunku statku.

– A poruszył się? – powiedziałem ze śmiechem.

Wydawało mi się, że zauważyłem cień ulgi w wyrazie jego twarzy i nabrałem pewności, że jednak nic nie widział.

– Ciekawie byłoby jednak przekonać się, czy mechanizm zareaguje na komendy wydane przez kogoś poza mną. Może spróbujesz?

– To byłby arcyciekawy eksperyment. Chętnie go przeprowadzę. Co mam robić?

– Pomysł musi wyjść od ciebie, ponieważ jeśli to ja coś wymyślę i podzielę się tym z tobą, nie będziemy mogli być definitywnie pewni, czy impuls inicjujący czynność pochodził z twojego mózgu czy mojego.

– Czy nie ryzykujemy, że uszkodzę go niechcący?

– Chyba nie. Pewnie trudno ci zrozumieć, że ten statek naprawdę widzi i myśli. Oczywiście, tylko w czysto mechaniczny sposób, ale za to dokładnie. W gruncie rzeczy powiedziałbym, że właśnie z tego bierze się ta dokładność. Mógłbyś, na przykład, polecić, żeby statek wyleciał stąd. Nie może tego zrobić, ponieważ wielka brama, przez którą ostatecznie opuści budynek, jest zamknięta na klucz. Może podlecieć do ściany, ale wtedy odkryje, że nie może przejść przez bramę bez uszkodzeń, czy też raczej oczy statku wykryją przeszkodę i przekażą jej obraz do mózgu, a ten wyciągnie logiczne wnioski i zatrzyma pojazd lub, co bardziej prawdopodobne, wykona zwrot w poszukiwaniu bezpiecznej drogi wyjścia. Ale przekonajmy się, co uda ci się zdziałać!

Nie miałem zamiaru zdradzać przed nim, że potrafiłem kierować jego wynalazkiem, jeśli jeszcze tego nie wiedział, próbowałem więc trzymać się myślami jak najdalej od statku. Przypomniałem sobie oglądane mecze futbolu, popisy akrobatów i pokaz piękności w parku Midway podczas Światowych Targów w Chicago w 1893 roku. Próbowałem myśleć o wszystkim, tylko nie o Fal Sivasie i jego mechanicznym mózgu.

Ostatecznie odwróciłem się do niego z gestem rezygnacji.

– Nic się nie dzieje.

Wyglądał, jakby poczuł wielką ulgę.

– Jesteś inteligentnym człowiekiem. Skoro nie słucha ciebie, to można rozsądnie założyć, że nie posłucha nikogo poza mną.

Przez kilka chwil stał pogrążony w myślach, po czym wyprostował się i spojrzał na mnie, a w jego oczach płonął piekielny blask.

– Mogę być panem świata, a nawet wszechświata! – powiedział dobitnie.

– Dzięki niemu? – zapytałem, wskazując głową statek.

– Dzięki idei, którą symbolizuje! Idei martwych przedmiotów obdarzonych przez naukę energią i kierowanych mechanicznym mózgiem! Gdybym tylko miał środki... majątek... mógłbym zbudować wielką ilość tych urządzeń i umieścić je na mniejszych statkach, które ważyłyby mniej od człowieka. Mógłbym obdarzyć je możliwością poruszania się w powietrzu lub po powierzchni planety. Mógłbym wyposażyć je w ręce i dłonie. Mógłbym uzbroić je i wysłać całe hordy na podbój świata. Mógłbym wysłać je na inne planety. Nie znałyby strachu ani bólu, nadziei, aspiracji czy ambicji, które mogłyby zmusić je do porzucenia mojej służby. Podlegałyby wyłącznie mojej woli, wykonując niezmordowanie moje rozkazy, aż do unicestwienia. Ale nawet gdyby moim wrogom udało się je zniszczyć, nic by to im nie dało, ponieważ moje wielkie zakłady tworzyłyby je tak szybko, że nie nadążyliby ich niszczyć. Rozumiesz, o czym mówię?

Podszedł do mnie i zaczął mówić niemal szeptem.

– Pierwszych mechanicznych ludzi zbudowałbym własnymi rękami, po czym kazałbym im stworzyć kolejne maszyny. Pracowałyby bez wytchnienia dzień i noc w moich fabrykach, budując stale kolejne automaty. Pomyśl tylko, jak prędko rozrosłaby się ich liczba.

Zastanowiłem się nad tym. Możliwości były wręcz oszałamiające.

– Ale to wymagałoby ogromnego majątku! – powiedziałem.

– Owszem, całej fortuny. I właśnie aby ją zdobyć zbudowałem ten statek.

– Zamierzasz obrabować skarbcze wielkich miast? – zapytałem z uśmiechem.

– Ależ skąd! Człowiek, który dysponuje tym statkiem, może sięgnąć po jeszcze większe bogactwo. Nie słyszałeś, co ujawniło badanie spektroskopowe Thurii?

– Owszem, ale nigdy w to zbytnio nie wierzyłem. Cała historia wydawała się zbyt bajkowa.

– Niemniej, jest prawdziwa. Na naszym bliższym satelicie znajdują się na pewno całe góry złota i platyny, oraz wielkie równiny wysłane drogocennymi kamieniami.

Przedsięwzięcie wydawało się śmiałe, ale widząc przed sobą statek i znając niezwykły geniusz Fal Sivasa, nie wątpiłem ani przez chwilę, że było wykonalne.

Ni stąd ni zowąd, jak to mu się zdarzało, zaczął sprawiać wrażenie, jakby pożałował momentu szczerości i szorstkim głosem polecił mi wracać do obowiązków w warsztacie.

Zdążył powiedzieć mi już tak wiele, że zacząłem zastanawiać cię, czy uzna za rozsądne pozostawić mnie przy życiu i stale miałem się na baczności. Wydawało się teraz wielce nieprawdopodobne, że zgodziłby się na moje wyjście, ale postanowiłem przekonać się o tym od razu, ponieważ chciałem spotkać się z Rapasem, zanim odwiedzi ponownie dom naukowca, zmuszając mnie tym samym do zabicia go. Dni mijały jeden po drugim

a Fal Sivasowi udawało się zatrzymać mnie w domu, choć za każdym razem robił to tak w tak sprytny sposób, że nigdy tak naprawdę nie dał po sobie poznać, że zależało mu na tym.

Tego wieczoru, po skończeniu służby powiadomiłem go, że zamierzałem wyjść, żeby znaleźć Rapasa i spróbować skontaktować się ponownie z zabójcami Ur Jana.

Zanim odpowiedział, wahał się tak długo, że uznałem już, iż zabroni mi wyjścia. Ostatecznie skinął jednak głową na zgodę.

– Może to i dobrze – stwierdził. – Rapas przestał tu przychodzić, a za dużo wie, żeby puścić go wolno, jeśli nie dochowa mi lojalności i nie zostanie na mojej służbie. Skoro już muszę zaufać któremuś z was, wolę ciebie.

Nie poszedłem na kolację z pozostałymi, ponieważ zamierzałem zjeść w gospodzie, gdzie planowaliśmy spotkać się z Rapasem, kiedy znajdę wolną chwilę.

Musiałem powiedzieć Hamasowi o moim wyjściu, ponieważ tylko on mógł otworzyć zewnętrzne drzwi. Tym razem nie zachowywał się w stosunku do mnie grubiańsko, jak przez ostatnich kilka dni. Właściwie stał się prawie uprzejmy. Ta zmiana zachowania kazała mi jeszcze bardziej na niego uważać, czułem bowiem, że nie zwiastowała nic dobrego – Hamas nie miał żadnych powodów, żeby darzyć mnie większą sympatią niż wczoraj. Jeśli wzbudzałem w nim przyjazne uczucia, to chyba tylko dlatego, że spodziewał się, iż spotka mnie coś nieprzyjemnego.

Z domu Fal Sivasa udałem się prosto do gospody, gdzie zapytałem właściciela o Rapasa.

– Przychodzi tu co wieczór, zwykle mniej więcej o tej porze, potem jeszcze raz wpół do dziewiątej, i za każdym razem pyta, czy tu byłeś.

– Zaczekam na niego – powiedziałem i poszedłem do stołu, przy którym siadaliśmy zwykle ze Szczurem.

Ledwie zdążyłem usiąść, kiedy wszedł. Podeszedł prosto do stołu i usiadł naprzeciw mnie.

– Gdzie byłeś? Zacząłem już myśleć, że stary pozbył się ciebie albo uwięził. Prawie byłem gotów złożyć mu dziś wizytę i dowiedzieć się, co się z tobą stało.

– A zatem dobrze się złożyło, że wyszedłem, zanim to zrobiłeś.

– Dlaczego?

– Ponieważ wizyta w domu Fal Sivasa nie byłaby dla ciebie bezpieczna. Nie idź tam już, jeśli cenisz sobie życie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie mogę powiedzieć, ale wierz mi na słowo i trzymaj się z dala od tego miejsca.

Nie chciałem, żeby wiedział, że Fal Sivas kazał mi go zabić. Mógłby nabrać w stosunku do mnie podejrzeń i obaw, przez co stałby się bezużyteczny.

– To dziwne – powiedział. – Zanim cię tam zabrałem, staruszek był do mnie całkiem przyjaźnie nastawiony.

Myślał widocznie, że z jakiegoś powodu próbowałem powstrzymać go od kontaktów z Fal Sivasem, ale ponieważ nic nie mogłem na to poradzić, zmieniłem temat rozmowy.

– Co u ciebie? Wszystko w porządku, od kiedy ostatnio cię widziałem?

– Owszem, nieźle.

– Co słyhać na mieście? Od naszego ostatniego spotkania nigdzie nie wychodziłem, a do domu starego dociera niewiele wiadomości... ba, nie wiemy wręcz wcale o tym, co się dzieje na zewnątrz.

– Mówią, że Wódz pojawił się w mieście. Pamiętasz pewnie, że ostatniej nocy, kiedy się widzieliśmy, zginął Uldak, jeden z ludzi Ur Jana. Na sercu wycięto mu znak ludzi Cartera, ale Ur Jan jest zdania, że Uldaka nie mógł pokonać zwykły szermierz. Od swojego szpiega w Helium dowiedział się,

że John Carter opuścił miasto, a kiedy dodać dwa do dwóch, wynika z tego, że Wódz musi być tutaj.

– Bardzo ciekawe. Co Ur Jan zamierza z tym zrobić?

– Zemści się na pewno, nie w ten to w inny sposób. Ma już pewien plan, a kiedy uderzy, John Carter pożałuje, że zaczął wtykać nos w nie swoje sprawy i nie zostawił go w spokoju.

Tuż zanim skończyliśmy posiłek, ktoś wszedł do gospody i usiadł samotnie przy stole po drugiej stronie pomieszczenia. Zauważyłem, że zerkał w naszą stronę, a kiedy spojrzałem na Rapasa, zauważyłem w jego oczach błysk potwierdzenia, kiedy pochylił lekko głowę. I bez tego wiedziałbym jednak, dlaczego nowy gość usiadł właśnie tam, ponieważ rozpoznałem w nim jednego z zabójców obecnych podczas narady u Ur Jana. Udając, że nic nie zauważyłem, powędrowałem leniwie wzrokiem do wejścia, w stronę dwóch wychodzących właśnie klientów.

W tej samej chwili ponownie zauważyłem coś ciekawego i niezmiernie ważnego: kiedy drzwi otworzyły się szeroko, spostrzegłem człowieka, który zaglądał przez nie do środka. Był to Hamas.

Zabójca po drugiej stronie pomieszczenia zamówił szklanekę wina, a wypiwszy je, wstał od razu i wyszedł. Zaraz po tym, Rapas podniósł się z ławy.

– Muszę iść. Mam ważne spotkanie.

– Zobaczymy się jutro wieczorem?

Widziałem, jak próbował ukryć uśmiech.

– Będę tu czekał – oznajmił.

Wyszliśmy na ulicę i pożegnaliśmy się, po czym skierowałem się samotnie w stronę domu Fal Sivasa. Na oświetlonych ulicach nie musiałem zachowywać szczególnej ostrożności, ale kiedy dotarłem w ciemniejsze okolice, nabrałem czujności i wkrótce zauważyłem zaczajoną w bramie postać. Wiedziałem, że był to czekający na mnie zabójca.

PODEJRZENIE

Cluros wisiał wysoko na niebie, rzucając słaby blask na ulice Zodangi, jak zakurzona żarówka na wielkim poddaszu, ale nie potrzebowałem lepszego oświetlenia, żeby zauważyć ciemną sylwetkę czyhającego na mnie człowieka.

Dokładnie wiedziałem, co zamierzał i uśmiechnąłem się mimowolnie. Sądził, że nie zdawałem sobie sprawy z jego obecności ani z tego, że ktoś zamierzał mnie dziś zabić. Myślał zapewne, że kiedy go minę, po prostu wyskoczy z bramy i przebije mnie od tyłu mieczem, po czym wróci złożyć Ur Janowi meldunek.

Kiedy zbliżyłem się do bramy, przystanąłem i obejrzałem się szybko za siebie. Chciałem w miarę możliwości upewnić się, że nie szedł za mną Rapas. Gdybym zabił czekającego w bramie mordercę, nie chciałem, żeby o tym wiedział.

Po chwili ruszyłem dalej. Trzymałem się o kilka kroków od budynku, żeby nie znaleźć się zbyt blisko zabójcy, przechodząc obok jego kryjówki.

Kiedy doszedłem do bramy, odwróciłem się nagle i stanąłem twarzą do niej.

– Wyjdź stamtąd, głupcze – powiedziałem cicho.

Przez chwilę zabójca nie ruszał się. Wyglądało na to, że był całkowicie zbity z tropu tym, że go odkryłem, i moimi słowami.

– Obaj z Rapasem myśleliście, że uda się wam mnie oszukać? Ty, Rapas i Ur Jan! No cóż, zdradzę ci pewną tajemnicę, o której nawet im się nie śniło. Wybrałeś niewłaściwą metodę, ponieważ próbujesz zabić niewłaściwego człowieka. Wydaje ci się, że chcesz zabić Vandora, ale jest inaczej. Nikt o tym imieniu nie istnieje. Człowiek, który przed tobą stoi, to Wódz Marsa, John Carter.

Dobyłem miecza.

– A teraz wyjdź i giń, jeśli jesteś gotowy.

Wysunął się powoli z bramy, ściskając w dłoni długi miecz. Wydawało mi się, że widzę w jego wzroku ślad zaskoczenia, a już na pewno słyszałem je w jego głosie, kiedy wyszeptał:

– John Carter!

Nie okazywał strachu, co mnie ucieszyło, ponieważ nie lubię walczyć z kimś, kto naprawdę się mnie boi, mam bowiem wtedy nad przeciwnikiem straszliwą przewagę, której nie ma żadnych szans wyrównać.

– A więc to ty jesteś John Carter! – powiedział, wychodząc na ulicę, po czym roześmiał się. – Wydaje ci się, że mnie nastraszysz? Pierwszorzędny z ciebie kłamca, Vandorze, ale nawet gdybyś kłamał jak pięciu najlepszych łgarzy Barsoom naraz, nie przestraszyłbyś Povaka.

Najwyraźniej mi nie uwierzył. Właściwie ucieszyłem się z tego, ponieważ starcie mogło dostarczyć mi o wiele lepszej rozrywki w miarę jak do mojego oponenta zaczęłoby docierać, że stanął do walki z mistrzem miecza.

Kiedy na mnie natarł, zobaczyłem od razu, że choć nie był kiepskim szermierzem, nie miał takiej wprawy jak Uldak. Z przyjemnością zabawiłbym się z nim dłużej, ale nie mogłem narażać się na możliwe konsekwencje zauważenia nas.

Natarłem wściekle, przypierając go do ściany budynku. Niewiele mógł teraz zrobić poza rozpaczliwymi próbami obrony, zdany całkowicie na moją łaskę.

Mogłem uśmiercić go w jednej chwili; zamiast tego jednak zrobiłem wypad do przodu i ciąłem go krótko przez pierś, po czym powtórzyłem cięcie w drugą stronę.

Cofnąłem się i opuściłem miecz.

– Spójrz na swoją pierś. Co widzisz?

Spojrzał w dół i zadrzał.

– Znak Wodza! – wyrzucił zdyszczanym głosem. – Zlituj się nade mną!
Nie wiedziałem, że to ty!

– Mówiłem ci, ale nie chciałeś mi wierzyć, a gdybyś nawet uwierzył, jeszcze bardziej zależałoby ci na tym, żeby mnie zabić. Ur Jan nagrodziłby cię sownicą.

– Puść mnie! – błagał. – Daruj mi życie, a zostanę na zawsze twoim niewolnikiem!

Przekonałem się, że był nędznym tchórzem i nie czułem dla niego żadnej litości, a tylko pogardę.

– Podnieś miecz – uciałem – i broń się, albo zabiję cię tam, gdzie stoisz.

Wyglądało na to, że w obliczu śmierci wpadł nagle w szal. Rzucił się na mnie z szaleńczą furją, spychając mnie o kilka kroków w tył, aż wreszcie odbiłem jego potężne pchnięcie i przebiłem mu mieczem serce.

Widziałem już w pewnej odległości nadbiegających ludzi, przyciągniętych szczękiem stali. Paroma krokami dopadłem wejścia do ciemnego zaułka i poszedłem okrężną drogą do domu Fal Sivasa.

Hamas wpuścił mnie do środka. Zachowywał się przy tym wręcz przesadnie serdecznie. Ponieważ dysponowałem wiedzą, o jaką mnie nie podejrzewał, miałem ochotę roześmiać mu się w twarz, ale odpowiedziałem tylko uprzejmie na pozdrowienie i udałem się do swoich pokojów.

Zanda czekała na mnie. Podałem jej miecz.

– Rapas? – zapytała. Słyszała ode mnie wcześniej, że Fal Sivas kazał mi uśmiercić Szczura.

– Nie, nie on. Kolejny z ludzi Ur Jana.

– To już dwóch.

– Zgadza się. Ale pamiętaj, nie wolno ci mówić nikomu, że to ja ich zabiłem.

– Nikomu nie powiem, panie. Możesz mi ufać.

Otarła ostrze z krwi, po czym osuszyła je i wypolerowała.

Przyglądałem się jej podczas pracy, odnotowując po raz pierwszy kształtne dłonie i zgrabne palce. Nigdy wcześniej nie zwróciłem na nią większej uwagi. Widziałem, oczywiście, że była młoda, zgrabna i bardzo ładna, ale ni stąd ni zowąd zaczęła wydawać mi się piękna i pomyślałem, że w odpowiednim stroju, z klejnotami i stosowną dla wielkiej damy fryzurą, byłaby bardziej niż zauważalna w każdym towarzystwie.

– Nie urodziłaś się niewolnicą, prawda? – zapytałem w końcu.

– Nie, panie.

– Fal Sivas kupił cię czy porwał?

– Phystal z dwoma niewolnikami porwali mnie pewnej nocy, kiedy szłam po ulicy z towarzyszem. Zabili go i sprowadzili mnie tutaj.

– Czy twoja rodzina żyje?

– Nie. Ojciec był oficerem floty starej Zodangi. Należał do niższej szlachty. Zginął, kiedy John Carter najechał miasto z hordami zielonoskórych Tharków. Moja matka, pogrążona w żałobie, udała się w ostatnią podróż na falach świętej Iss do Doliny Dor i Zaginionego Morza Korus.

– John Carter! – powtórzyła z namysłem głosem zabarwionym odrazą. – To on odpowiada za wszystkie moje nieszczęścia i smutki! Gdyby nie pozbawił mnie rodziców, nie byłoby mnie tutaj, ponieważ otaczaliby mnie nadal swoją troskliwością, chroniąc mnie przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

– Chyba czujesz do niego sporą urazę?

– Nienawidzę go.

– Pewnie z chęcią zobaczyłabyś, jak umiera.

– Tak.

– Wiesz, że Ur Jan poprzysiągł go zniszczyć?

– Owszem, i modłę się stale, aby mu się udało. Gdybym była mężczyzną, zaciągnęłabym się od razu do jego gildii, zostałabym zabójcą i sama znalazłabym Johna Cartera.

– Słyszałem, że to groźny przeciwnik.
– Znalazłabym sposób, żeby go zabić, nawet gdybym musiała zniżyć się do sztyletu lub trucizny.

Roześmiałem się.

– Dla jego dobra, mam nadzieję, że nie rozpoznasz go, kiedy go spotkasz.

– Rozpoznam. Biała skóra zdradzi go wszędzie.

– No cóż, wobec tego miejmy nadzieję, że zdoła ci uciec – powiedziałem ze śmiechem, życząc jej dobrej nocy, po czym udałem się na spoczynek.

Następnego rana Fal Sivas posłał po mnie zaraz po śniadaniu. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, ujrzałem obok niego Hamasa i dwóch niewolników.

Starzec spojrział na mnie spod zmarszczonych gniewnie brwi. Nie przywitał mnie uprzejmie, jak miał w zwyczaju.

– No i jak? – warknął – Zabiłeś wczoraj Rapasa?

– Nie.

– A widziałeś go?

– Owszem, widziałem się z nim i rozmawiałem. Zjadłem z nim nawet kolację.

Widać było, że to otwarte wyznanie zaskoczyło Fal Sivasa i Hamasa. Najwyraźniej pokrzyżowało to ich kalkulacje, ponieważ spodziewali się zapewne, że wyprę się spotkania z Rapasem, co może bym i zrobił, gdybym szczęśliwym trafem nie zauważył, że zarządca domu mnie śledził.

– Dlaczego go nie zabiłeś? Przecież poleciłem ci to zrobić!

– Zatrudniłeś mnie, żebym cię chronił – odpowiedziałem – i musisz zdać się na mój osąd, kiedy robię to w sposób, jaki uznam za stosowny. Nie jestem dzieckiem ani niewolnikiem. Uważam, że Rapas nawiązał relacje, które będą dla ciebie o wiele bardziej szkodliwe niż on sam. Pozostawiając go życiu i utrzymując z nim kontakt, mogę zdobyć wiele korzystnych informacji, co nie byłoby możliwe, gdybym go zabił. Skoro nie

odpowiadają ci moje metody, zatrudnij na moje miejsce kogoś innego, a jeśli chcesz mnie zabić, sugeruję, żebyś zatrudnił do tego wojowników. Ci niewolnicy nie są dla mnie godnym przeciwnikiem.

Widziałem, że usłyszawszy te słowa, Hamas zadrżał z tłumionego gniewu, ale nie ośmielił się nic powiedzieć ani zrobić bez pozwolenia Fal Sivasa. Stał tylko, gładząc palcami rękojeść miecza i patrząc pytająco na starca, jakby czekał na sygnał.

Ale nie dostał go. Zamiast tego, wynalazca mierzył mnie przez kilka chwil uważnym spojrzeniem. W końcu westchnął i potrząsnął głową.

– Dzielny z ciebie człowiek, Vandorze, ale może nieco zbyt pewny siebie i głupi. Nikt nie odzywa się do mnie w ten sposób – wszyscy się mnie boją. Nie zdajesz sobie sprawy, że w każdej chwili mogę kazać cię zabić?

– Mógłbym spodziewać się śmierci w tej chwili, gdybyś był głupcem, Fal Sivasie, ale nim nie jesteś. Wiesz, że żywy przydam ci się bardziej niż martwy, a może nawet domyślasz się tego, czego ja jestem pewny – że odchodząc, nie byłbym sam. Zabrałbym cię ze sobą.

Hamas sprawiał wrażenie przerażonego i ścisnął mocniej rękojeść miecza, jakby zamierzał go dobyć, ale Fal Sivas oparł się o oparcie krzesła i uśmiechnął.

– Masz rację, Vandorze, i możesz być pewny, że jeśli uznam kiedyś, że trzeba cię zabić, to kiedy przyjdzie ta smutna chwila, nie znajdziesz mnie w zasięgu twojego miecza. A teraz powiedz, co takiego spodziewasz się wyciągnąć z Rapasa i dlaczego uważasz, że posiada cenne dla mnie informacje?

– To rzecz wyłącznie dla twoich uszu – powiedziałem, zerkając w stronę Hamasa i niewolników.

Skinął na nich głową.

– Możecie iść.

– Ależ panie! – zaprotestował Hamas. – Zostaniesz sam na sam z tym człowiekiem. Mógłby cię zabić.

– Nie będę wcale bezpieczniejszy niż teraz. Obaj widzieliśmy, z jaką wprawą posługuje się mieczem.

Na to oblicze Hamasa spochmurniało i wyszedł bez słowa, zabierając ze sobą niewolników.

– A teraz powiedz mi, czego się dowiedziałeś lub co podejrzewasz – powiedział wynalazca.

– Mam powody wierzyć, że Rapas nawiązał kontakt z Ur Janem. Sam mówiłeś, że Gar Nal wynajął go, aby cię zabił. Możliwe, że dzięki kontaktom z Rapasem, uda mi się poznać część planów Ur Jana. Oczywiście, nie mogę być tego pewny, ale to nasz jedyny kontakt z gildią i pozbycie się go w tej chwili nie byłoby dobrym zagranieniem.

– Całkowita racja Vandorze. Spotykaj się z Rapasem jak często możesz i nie zabijaj go, dopóki nie przestanie być dla nas wartościowy. A wtedy...

– Twarz wykrzywił mu upiorny grymas.

– Wiedziałem, że zgodzisz się z moją oceną sytuacji. Szczególnie zależy mi na tym, żeby spotkać się z nim dziś wieczór.

– Dobrze, a teraz chodźmy do warsztatu. Praca nad nowym napędem robi postępy, ale chcę, żebyś sprawdził to, co zrobiono do tej pory.

Poszliśmy do warsztatu, a przyjrząwszy się efektom pracy mechaników, oznajmiłem, że chciałem zajść do siłowni statku, żeby dokonać pewnych pomiarów.

Poszedł ze mną i obaj weszliśmy na pokład. Kiedy skończyłem pomiary, znalazłem powód, żeby zostać jeszcze chwilę w hangarze, ponieważ zacząłem formułować w myślach plan, który wymagał lepszej znajomości pomieszczenia, na wypadek gdyby okazało się konieczne wprowadzenie go w życie.

Udając, że podziwiam statek, obszedłem go, przyglądając mu się ze wszystkich stron, a równocześnie rozglądając się bacznie po hangarze.

Moją uwagę przyciągnęła zwłaszcza wielka brama, przez którą statek miał ostatecznie opuścić budynek. Odnotowałem w pamięci jej konstrukcję i sposób otwierania, a zrobiwszy to, na chwilę obecną straciłem zainteresowanie statkiem.

Resztę dnia spędziłem w warsztacie z mechanikami, zaś noc zastała mnie znowu w gospodzie przy Alei Wojowników.

Rapasa nie było. Zamówiłem posiłek i prawie go skończyłem, choć jadłem bardzo powoli, a on nadal się nie pojawiał. Ociągałem się jednak z wyjściem, ponieważ zależało mi na tym, żeby spotkać się z nim tego wieczoru.

Pojawił się w końcu, kiedy prawie już zrezygnowałem. Sprawiał wrażenie mocno podenerwowanego a minę miał jeszcze bardziej chytrą i skrytą niż zwykle.

– Kaor! – powiedziałem, kiedy podszedł do stołu. – Późno dziś przychodzisz.

– Owszem, coś mnie zatrzymało.

Zamówił posiłek i wiercił się niespokojnie.

– Trafiłeś wczoraj bezpiecznie do domu?

– Oczywiście.

– Trochę się o ciebie martwiłem. Słyszałem, że ktoś zginął wczoraj na ulicy, którą musiałeś przechodzić.

– Naprawdę? To musiało się stać już po moim przejściu.

– To bardzo dziwne. To był jeden z zabójców Ur Jana i znów miał na piersi znak Johna Cartera.

Przyglądał mi się podejrzliwie, ale widziałem, że bał się powiedzieć głośno, o czym myślał. W gruncie rzeczy bał się chyba nawet o tym myśleć.

– Ur Jan jest pewny, że w mieście jest sam John Carter.

– Dlaczego tak się tym martwisz? Przecież nie dotyczy to żadnego z nas.

NA BALKONIE

Oczy mówią prawdę częściej niż wargi, a wzrok Rapasa mówił właśnie, że nie zgadzał się z moją opinią, że śmierć jednego z ludzi Ur Jana nie obchodziła jego ani mnie. Wargami powiedział jednak co innego.

– No jasne. Dla nas to nic nie znaczy, ale Ur Jan jest wściekły. Wyznaczył olbrzymią nagrodę dla człowieka, który rozpoznałby zabójcę Uldaka i Povaka. Dziś wieczór spotka się ze swoimi najważniejszymi ludźmi, żeby dopracować szczegółowo plan, który ich zdaniem definitywnie i na zawsze zakończy wojnę Cartera z gildią zabójców. Chcą...

Urwał nagle, a w jego oczach pojawiła się podejrzliwość zmieszana z grozą, zupełnie jakby przez chwilę we własnej głupocie zapomniał o swoim podejrzeniu, że mógłbym okazać się Johnem Carterem, i przypomniał sobie o tym dopiero zdradziwszy część tajemnic swego mistrza, na co zdjęło go nagle przerażenie.

– Wygląda na to, że sporo wiesz o Ur Janie – zauważyłem od niechcenia.
– Można by pomyśleć, że zostałeś pełnoprawnym członkiem gildii.

Przez chwilę był zmieszany. Odchrząknął kilka razy, jakby chciał coś powiedzieć, najwyraźniej jednak nie potrafił nic wymyśleć ani spojrzeć mi prosto w twarz. Niezmiernie bawiła mnie ta jego konsternacja.

– Nic podobnego – powiedział po jakimś czasie. – To tylko plotki zasłyszane na ulicy. Zwykle pogłoski. Nic dziwnego, że powtarzam je przyjacielowi.

Przyjacielowi! To dopiero był żart! Wiedziałem, komu teraz służył oraz że wraz z kompanami otrzymał polecenie, aby mnie zgładzić. Z kolei ja otrzymałem od Fal Sivasa rozkaz, aby go zabić, a oto siedzieliśmy tu razem, jedząc i plotkując. Sytuacja była doprawdy przezabawna.

Kiedy skończyliśmy jeść, do gospody weszło dwóch gości o wyglądzie skończonych łotrów. Usiedli przy stole i choć nie zamienili z Rapasem żadnego znaku, rozpoznałem obu i wiedziałem, dlaczego przyszli. Widziałem ich na spotkaniu zabójców, a nieczęsto zdarza mi się zapomnieć czyjąś twarz. Ich obecność była dla mnie komplementem i potwierdzeniem, że Ur Jan zrozumiał, że aby się mnie pozbyć nie wystarczy jeden zabójca.

Z radością nakreśliłbym im mój znak na piersi, ale wiedziałem, że zabijając ich potwierdziłbym ostatecznie domysły Ur Jana na temat mojej tożsamości. Śmierć Uldaka i Povaka, których naznaczono znakiem Wodza, mogła być zbiegiem okoliczności, ale gdyby ten sam los spotkał kolejną dwójkę wysłaną, aby mnie zabić, nawet głupiec nie miałby żadnych wątpliwości, że cała czwórka zginęła z rąk Johna Cartera.

Zaledwie usiedli, podniosłem się z ławy.

– Muszę już iść. Mam dziś ważną pracę. Mam nadzieję, że wybaczysz mi, że uciekam w ten sposób, ale może zobaczymy się jutro.

Próbował mnie zatrzymać.

– Nie spiesz się. Posiedź jeszcze chwilę. Chciałbym pogadać z tobą o paru sprawach.

– Będą musiały poczekać do jutra. Dobrej nocy, Rapasie! – z tymi słowami odwróciłem się i wyszedłem z budynku.

Oddaliłem się na niewielką odległość w kierunku przeciwnym do tego, który prowadził do domu Fal Sivasa, po czym ukryłem się w cieniu bramy i czekałem. Nie upłynęło wiele czasu, kiedy obaj zabójcy wyszli z gospody i pobiegli w stronę, w którą zgodnie z ich przypuszczeniami odszedłem. Po paru chwilach z budynku wyszedł Rapas. Wahał się przez chwilę, po czym ruszył powoli ulicą, którą popędzili zabójcy.

Kiedy cała trójka zniknęła, wyszedłem z kryjówki i poszedłem od razu do budynku, gdzie w hangarze na dachu stał mój statek.

Kiedy wyszedłem na dach, właściciel kręcił się właśnie przy jednym z hangarów. Wolalbym, żeby go tam nie było, ponieważ nie chciałem, aby

ktokolwiek mnie widział.

– Rzadko cię tu widać – rzucił.

– Owszem. Byłem bardzo zajęty. – odpowiedziałem, idąc w stronę boksu, w którym stał mój pojazd.

– Lecisz gdzieś?

– Tak.

– O ile w jakiejś sprawie, o której lepiej, żeby nie dowiedziały się władze, to uważaj na patrole. Przez ostatnich parę nocy wszędzie było ich pełno.

Nie wiedziałem, czy chciał udzielić mi przyjacielskiej rady czy wyciągnąć ode mnie jakieś informacje. Wiele organizacji, w tym władze, korzysta z usług tajnych agentów. Na ile wiedziałem, właściciel hangaru mógł być nawet na usługach gildii zabójców.

– No cóż, mam nadzieję, że dziś za mną nie polecą – powiedziałem.

Nastawił uszu.

– Do tego, co będę robił, niepotrzebna mi pomoc. A swoją drogą prawdziwa z niej ślicznotka.

Mrugnąłem do niego i przechodząc, dałem mu kuksańca, licząc na to, że zrozumie to w sposób charakterystyczny dla jego mentalności, co też zrobił.

Roześmiał się i klepnął mnie w plecy.

– Pewnie bardziej martwisz się jej ojcem niż patrolami, co?

– Słuchaj! – zawołał w ślad za mną, kiedy wspinałem się na pokład statku. – A może ma siostrę?

Wzbijając się w ciszy nad miasto, słyszałem jeszcze, jak zaśmiewał się z własnego dowcipu, i wiedziałem, że jeśli nawet żywił jakieś podejrzenia, udało mi się je uśpić.

Było dość ciemno; na niebie nie świecił żaden księżyc, ale dzięki temu, lecąc nad oświetloną częścią miasta byłbym tym lepiej widoczny dla krążących w górze patroli. Trzymałem się więc ciemnych okolic, lecąc nisko w gęstym cieniu budynków.

Dotarcie do celu zabrało mi zaledwie kilka minut. Posadziłem statek delikatnie na dachu budynku, który obrała na siedzibę gildia zabójców.

Zwabiła mnie tu wyciągnięta z Rapasa informacja, że Ur Jan i jego pomocnicy pracowali nad planem, który miał mi zaszkodzić.

Postanowiłem nie próbować po raz kolejny korzystać z przedpokoju sali narad, ponieważ z jednej strony droga była najeżona niebezpieczeństwami, z drugiej zaś – nawet gdyby udało mi się dotrzeć do zacienionej wnęki za szafą, i tak nie słyszałbym nic przez zamknięte drzwi.

Miałem inny plan, który niezwłocznie zacząłem spełniać. Wylądowałem na skraju dachu, dokładnie nad pokojem, w którym spotykali się zabójcy, po czym uwiązałem linę do pierścienia w okężnicy.

Położyłem się na brzuchu i wyjrzałem przez krawędź, żeby sprawdzić pozycję. Okazało się, że wymierzyłem ją idealnie. Dokładnie pod sobą miałem brzeg balkonu przy oświetlonym oknie. Lina zwisała tuż obok niego, niewidoczna ze środka budynku.

Ustawiłem ostrożnie stery statku, po czym uwiązałem do dźwigni startu końcówkę cienkiego sznurka. Następnie chwyciłem linę i ześliznąłem się przez krawędź dachu, ściskając w jednej dłoni sznurek.

Udało mi się zachować ciszę, ponieważ zostawiłem broń, na statku, aby szcęk metalu o metal lub drapanie o ścianę budynku nie ściągnęły na mnie uwagi.

Zsuwałem się bardzo ostrożnie po linie, aż znalazłem się naprzeciw okna, gdzie mogłem wyciągnąć dłoń i uchwycić się balustrady balkonu. Przyciągnąłem się do niej powoli, aż stanąłem bezpiecznie.

Ledwo zacząłem schodzić z dachu, zaczęły docierać do mnie głosy, a teraz odkryłem z niezmierną radością, że okno na balkon było otwarte i słyszałem wyraźnie wszystko, co działo się w pokoju. Kiedy przysunąłem się do balkonu, rozpoznałem głos Ur Jana, który przemawiał właśnie do swoich podwładnych.

– Nawet jeśli dopadniemy go dziś w nocy i okaże się tym, kim myślę, możemy dostać okup od jej ojca lub dziadka.

– I to spory – powiedział jakiś inny głos.

– Ile tylko zmieści się na wielkim statku – odpowiedział Ur Jan. – A do tego gwarancje nietykalności dla wszystkich płatnych zabójców z Zodangi i obietnicę, że nie będą nas już prześladować.

Zastanawiałem się, przeciw komu spiskowali. Możliwe, że mówili o zamożnym arystokracie, nie rozumiałem jednak, co mogło łączyć moją śmierć z porwaniem jakiejś dziewczyny, chyba że uwaga Ur Jana nie dotyczyła mnie, a kogoś innego.

W tej chwili usłyszałem pukanie.

– Wejść! – powiedział Ur Jan.

Otworzyły się drzwi i do środka weszli jacyś ludzie.

– Dopadliście go! – zawołał Ur Jan, klaszcząc w dłonie. – Waszej dwójce nie dał już rady, co?

– Nie udało nam się – odburknął ktoś w odpowiedzi.

– Co? Czyżby nie przyszedł dziś do gospody?

– Owszem, przyszedł – powiedział kolejny głos, w którym rozpoznałem momentalnie Rapasa. – Ściągnąłem go tam, jak obiecałem.

– No to dlaczego go nie zabiliście? – zapytał gniewnie Ur Jan.

– Kiedy wyszedł, od razu za nim poszliśmy – wyjaśnił któryś z pozostałych – ale zniknął, zanim wyszliśmy na ulicę. Nigdzie nie było go widać, a choć przeszliśmy szybko całą drogę do domu Fal Sivasa, nie znaleźliśmy go.

– Nabrał podejrzeń? – spytał Ur Jan. – Sądzicie, że domyślił się, że przyszliście po niego?

– Nie, na pewno nie. Wyglądało na to, że wcale nas nie zauważył. Nie widziałem nawet, żeby na nas spojrzął.

– Nie rozumiem, w jaki sposób udało mu się tak szybko zniknąć – powiedział Rapas. – Ale możemy dopaść go jutro wieczorem. Obiecał, że

spotka się tam ze mną.

– Posłuchaj, Szczurze – powiedział Ur Jan. – Nie możesz mnie jutro zawieść. Teraz jestem pewny, że ten człowiek to John Carter. Mimo wszystko cieszę się, że go nie zabiliście. Wymyśliłem właśnie lepszy plan. Poślę jutro czterech z was, żebyście zasadzili się na niego przy domu Fal Sivasa. Macie ująć go żywcem i sprowadzić tutaj. Mając go, dostaniemy za jego księżniczkę podwójny okup.

– Ale wtedy będziemy musieli ukrywać się przez całe życie w podziemiach Zodangi – zaprotestował któryś z zabójców.

Ur Jan roześmiał się.

– Kiedy odbierzemy okup, John Carter przestanie sprawiać nam kłopoty.

– To znaczy...?

– Chyba jestem zabójcą, prawda? Sądzisz, że pozostawiłbym przy życiu niebezpiecznego przeciwnika?

Teraz zrozumiałem związek między moją śmiercią, a uprowadzeniem dziewczyny, o której mówili. Łotry planowały porwanie mojej boskiej Dejah Thoris! Chcieli uzyskać przy tym ode mnie, Mors Kajaka i Tardosa Morsa dwa statki okupu, a wiedzieli równie dobrze jak ja, że nie mylili się zbyt w swoich kalkulacjach. Nasza trójka z chęcią wymieniłaby niezliczone skarby za bezpieczeństwo księżniczki Helium.

Zrozumiałem, że musiałem wracać natychmiast do domu i zapewnić jej bezpieczeństwo, ale zostałem jeszcze przez chwilę na balkonie, podsłuchując ich plany.

– Ale nawet jeśli uda nam się porwać Dejah Thoris... – zaproponował któryś z pomocników Ur Jana.

– Nie ma żadnego „jeśli”. Rzecz już się właściwie dokonała. Od dłuższego czasu przygotowywałem się do tego w wielkiej tajemnicy, żeby uniknąć przecieków, ale skoro jesteśmy gotowi do zadania ciosu, to już nieważne. Musicie wiedzieć, że dwóch naszych przeniknęło do straży w pałacu księżniczki.

– Zakładając nawet, że uda ci się ją porwać – zaczął sceptycznym tonem ten sam, który mówił wcześniej – to gdzie ją ukryjesz? Nawet jeśli uda ci się pozbyć Johna Cartera, to gdzie na Barsoom ukryjesz księżniczkę przed wielkim Tardosem Morsesem?

– Nie ukryję jej na Barsoom – odparł Ur Jan.

– Czyżby? W takim razie gdzie?

– Na Thurii.

– Na Thurii! – rozległ się śmiech. – A to dobre! Schowasz ją na księżycu. Wspaniała kryjówka: o ile zdołasz ją tam zabrać.

– Zrobię to bez problemu. Nie od parady utrzymuję kontakty z Gar Nalem.

– Mówisz o tym jego niedorzecznym statku? Tym, który jego zdaniem poleci na inne planety? Nie sądzisz chyba, że będzie działał, nawet jeśli uda mu się go skończyć, o ile to kiedykolwiek nastąpi?

– Statek jest gotowy. I poleci na Thurię.

– Nawet gdyby tak było, to nie wiemy, jak nim sterować.

– Poleci nim dla nas sam Gar Nal. Potrzebuje wielkiego majątku, żeby zbudować inne statki i zgodził się zostać naszym pilotem za część okupu.

Dopiero teraz dotarło do mnie naprawdę, z jaką starannością Ur Jan zaplanował wszystko i jakie niebezpieczeństwo groziło mojej księżniczce. W każdej chwili mogło dojść do porwania, a wiedziałem, że jeśli w straży pałacowej byli zdrajcy, nie było to wcale niewykonalne.

Postanowiłem nie tracić ani chwili. Musiałem wracać natychmiast do Helium! Fortuna postanowiła jednak zaingerować właśnie w tej chwili, omal nie kończąc przedwcześnie tej historii.

Odepchnąłem się od balkonu i zacząłem wspinać po linie, kiedy zaczepiłem elementem uprząży o żelazną ozdobę balustrady. Próbowałem odczepić go, a wtedy ornament oderwał się i spadł na balkon.

– Co to było? – usłyszałem głos Ur Jana i ciężkie kroki zmierzające szybko w stronę okna. Po chwili ujrzałem w nim jego postać.

– Szpieg! – zawołał i wyskoczył na balkon.

JAT OR

Gdybym miał skłonność do doszukiwania się przyczyn spadających na mnie nieszczęść poza sobą, zapytałbym w tej chwili, dlaczego fortuna obróciła się przeciw mnie, a zaczęła sprzyjać złoczyńcom. Działiałem przecież niewątpliwie w słusznej sprawie, a mimo to błahostka w rodzaju obluzowanego ornamentu balustrady i fakt, że zaczepiłem o nią przypadkiem uprzążą, postawiły mnie w sytuacji, z której ze sporym prawdopodobieństwem mogłem nie ujść z życiem.

Ale jeszcze żyłem i nie miałem zamiaru poddawać się bez walki wyrokowi nieprzychylnego i niesprawiedliwego fatum. Co więcej, jak mówią nasi amerykańscy gracze, miałem jeszcze asa w rękawie.

Kiedy Ur Jan znalazł się na balkonie, odepchnąłem się znowu od balustrady, trzymając się liny umocowanej do stojącego na dachu statku, a równocześnie zacząłem się po niej wspinać.

Zakołysałem się jak wahadło, a opisawszy pełny łuk, zawróciłem – na pozór prosto w ramiona Ur Jana.

Wszystko działo się bardzo szybko, o wiele szybciej niż jestem w stanie to opowiedzieć. Ur Jan chwycił za rękojeść miecza. Podciągnąłem kolana, lecąc w jego stronę, po czym, kiedy byłem blisko, odbiłem się z całej siły stopami od jego piersi.

Zatoczył się w tył na jakiegoś zabójcę, który wypadł za nim na balkon, i obaj upadli bezładnie.

Równocześnie pociągnąłem za sznurek umocowany do dźwigni startu. Na to statek wzbił się w powietrze, a ja wraz z nim – dyndając na końcu liny.

Znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Oczywiście, w tej pozycji nie mogłem kierować statkiem, a gdyby nie wzniósł się

dostatecznie szybko, miałem wszelkie szanse, aby podczas lotu przez miasto roztrzaskać się o jakiś budynek. Ta groźba nie była jednak największa, ponieważ usłyszałem wystrzał i obok przemknął z wizgiem pocisk: to zabójcy próbowali mnie zestrzelić.

Próbowałem wdrapać się jak najszybciej na pokład, ale wspinaczka po niewielkiej linie wiszącej pod wznoszącym się statkiem powietrznym to niełatwe zadanie, nawet bez dodatkowych utrudnień w rodzaju bycia ostrzeliwanym przez grupę zabójców.

Statek niósł mnie prędko na ukos przez ulicę, przy której stała siedziba gildii. Wydawało mi się, że uderzę na pewno o brzeg dachu budynku naprzeciwko i uwierz mi, że włożyłem każdą uncję siły i zwinności w pracę moich mięśni.

Tym razem los okazał mi jednak przychylność i przemknąłem tuż nad dachem.

Zabójcy nadal do mnie strzelali, ale wyglądało na to, że większość dawnych morderstw popełnili przy użyciu sztyletu lub trucizny, ponieważ bronią palną posługiwali się doprawdy fatalnie.

Zacisnąłem w końcu palce na okrężnicy i chwilę później wciągnąłem się na pokład. Dopadłem sterów, otworzyłem szeroko przepustnicę i ustawiłem dziób na Helium.

Możliwe, że działałem nieroztropnie, ignorując zagrożenie ze strony patroli i nie próbując w żaden sposób uniknąć ich uwagi, ale w tej chwili nie liczyło się dla mnie nic poza tym, żeby dotrzeć do domu na czas, aby zapewnić bezpieczeństwo mojej ukochanej.

Moi wrogowie dobrze wiedzieli, gdzie zadać cios i znali mój czuły punkt! Wiedzieli, że nie szczędziłbym niczego, nawet życia, aby ją ratować. Musieli też znać cenę, jaką przysłoby im zapłacić, gdyby wyrządzili jej krzywdę. To samo świadczyło o tym, jakimi byli desperatami. Zagroziłem ich bezpieczeństwu i życiu, postanowili więc postawić wszystko na jedną kartę, aby zniszczyć mnie w ten sposób.

Zastanawiałem się, czy któryś z nich mnie rozpoznał. Nie widziałem Rapasa przy oknie i wydawało mi się mało prawdopodobne, aby w mroku któryś z pozostałych zabójców, którzy widzieli mnie przelotnie w gospodzie, rozpoznał mnie w widzianym przez chwilę człowieku wiszącym na końcu obracającej się liny. Mogli podejrzewać, że szpiegiem był Vandor, miałem jednak nadzieję, że nie byli wcale przekonani, że był Johnem Carterem.

Statek pędził nad miastem i myślałem już, że uda mi się opuścić Zodangę bez komplikacji, kiedy usłyszałem ostrzegawcze zawrodożenie statku patrolowego, wzywające mnie do zatrzymania.

Kiedy mnie zauważyli, byli sporo wyżej i nieco z przodu od sterburty. Leciałem z pełną prędkością w rzadkim powietrzu dogorywającej planety i najwyraźniej zrozumieli błyskawicznie, że nie zamierzałem wcale zatrzymać się, ponieważ wystrzelili do przodu, równocześnie nurkując w moją stronę. Patrolowiec nabrał ogromnej prędkości, a choć jego zwykła prędkość nie dorównywała możliwościom mojego pojazdu, w locie nurkowym uzyskał nade mną przewagę.

Leciałem za nisko, żeby przyspieszyć w ten sam sposób, zresztą i tak nie prześcignąłbym o wiele większego patrolowca, którego masa dodawała mu pędu. Schodził dokładnie na mnie, doganiając mnie prędko i zbliżając się na ukos od sterburty.

Wszelka nadzieja na ucieczkę zdawała się daremna, a kiedy otworzyli do mnie ogień z dział na dziobie, zacząłem rozważać porzucenie walki i poddanie się, bowiem wtedy przynajmniej bym przeżył, a martwy nie mógłbym przecież pomóc Dejah Thoris. Dotarło do mnie jednak, że wtedy zapewne nie dotarłbym do Helium na czas. Na pewno zostałbym zatrzymany i prawie na pewno zamknięto by mnie za próbę ucieczki przed patrolem. Nie miałem przy sobie dokumentów, a to jeszcze bardziej pogorszyłoby moją sytuację. Miałem wszelkie szanse, aby zostać

sprzedanym jako niewolnik lub trafić do lochu, gdzie oczekiwałbym na nadchodzące igrzyska.

Ryzyko było zbyt wielkie. Musiałem niezwłocznie dotrzeć do Helium.

Nagle zakręciłem sterem w prawo, a mój drobny statek posłuchał mnie tak szybko, że omal nie spadłem z pokładu, kiedy obrał nowy kurs.

Znalazłem się dokładnie pod kadłubem patrolowca, który przemknął nade mną, nie mogąc kontynuować ostrzału, ponieważ osłaniał mnie przed działami jego własny kadłub.

Ciężar i większa prędkość patrolowca w locie nurkowym działały teraz na moją korzyść. Strażnicy nie mogli zahamować i wejść na nowy kurs z tą samą sprawnością, z jaką manewrowałem lżejszym jednoosobowym pojazdem. Skutek był taki, że zanim znowu podjęli pościg, zdążyłem oddalić się od murów Zodangi, a ponieważ leciałem bez świateł, już mnie nie znaleźli.

Przez kilka chwil widziałem jeszcze światła ich statku, ale wiedziałem, że polecili w niewłaściwą stronę. Z westchnieniem ulgi obrałem kurs na Helium.

Kiedy pędziłem w rzadkim powietrzu Marsa, z przodu, nad zachodnim horyzontem wzniosła się Thuria, zalewając blaskiem rozległą równinę, po której przetaczały się kiedyś fale potężnego oceanu, niosąc wielkie statki wspaniałej rasy rządzącej wtedy młodą jeszcze planetą.

Przeleciałem nad ruinami ich miast na brzegach starożytnych mórz, zaludniając je w wyobraźni beztroskimi, szczęśliwymi tłumami. Rządzili nimi wtedy wielcy władcy i broniły ich rody wojowników. Teraz wszyscy zniknęli, a ciemne zakamarki ich majestatycznych siedzib zamieszkiwały niewątpliwie dzikie plemiona okrutnych i posępnych zielonoskórych.

Mknąłem nad pustkowiem w kierunku bliźniaczych miast i ukochanej kobiety, której nieśmiertelne piękno było ozdobą świata.

Ustawiłem kompas nawigujący, wyciągnąłem się na pokładzie i zasnąłem.

Droga z Zodangi do Helium była długa i samotna, a tym razem przez niepokój o bezpieczeństwo mojej księżniczki zdawała się ciągnąć w nieskończoność, w końcu jednak dotarłem do celu i ujrzałem przed sobą szkarłatną wieżę Wielkiego Helium.

Kiedy zbliżałem się do miasta, zatrzymał mnie statek patrolowy, który kazał mi podejść bliżej.

Po drodze zdążyłem zetrzeć ze skóry czerwony pigment i zanim zdążyłem podać swoje imię, dowódca statku rozpoznał mnie.

Wydawało mi się, że dostrzegam w jego zachowaniu pewną powściągliwość i skrupowanie, ale nie powiedział mi nic poza tym, że pozdrowił mnie z szacunkiem i spytał, czy może eskortować mnie do pałacu.

Podziękowałem i poprosiłem, żeby leciał za mną, aby nie zatrzymały mnie inne patrole, a kiedy znalazłem się nad własnym hangarem, opuścił na pożegnanie dziób i odleciał.

Kiedy wylądowałem, strażnicy wybiegli mi na spotkanie, żeby odebrać pojazd i wprowadzić go do hangaru.

Doświadczeni i lojalni wojownicy, którzy służyli mi od lat, po każdej nieobecności witali mnie zwykle z entuzjazmem, choć ich zachowanie – zawsze pełne szacunku – przypominało raczej starych służących niż czysto wojskowych podwładnych. Tego wieczoru odwracali jednak przede mną wzrok i wydawali się skrupowani.

Nie wypytywałem ich, choć wyczuwałem podskórnie, że stało się coś złego. Zbiegłem po rampie do pałacu i udałem się od razu do pokojów księżniczki.

Kiedy zbliżałem się do nich, natknąłem się na młodego oficera jej osobistej straży. Na mój widok podszedł prędko. Twarz miał zmartwioną i pobruźdowaną, i widać było, że tłumił w sobie emocje.

– Co się stało, Jat Orze? Najpierw dowódca patrolu, potem strażnicy hangaru, a teraz ty – wyglądacie wszyscy, jakbyście stracili ostatniego

przyjaciela.

– Tak się stało, książę – odpowiedział.

Wiedziałem, o czym mówił, ale nie domagałem się jeszcze pełnych wyjaśnień. Nie chciałem ich słyszeć. Nigdy w życiu nie broniłem się jeszcze przed czymś – nawet przed śmiercią – jak przed słowami, które musiały paść z jego ust.

Obaj byliśmy jednak żołnierzami i wiedzieliśmy, że musimy odważnie stawić czoła powinności, bez względu na to, jak bolesna mogła się okazać.

– Kiedy doszło do porwania? – zapytałem.

Spojrzał na mnie otwartymi szeroko ze zdumienia oczami. – Ty wiesz, panie?

Skinąłem głową.

– Przyleciałem tu jak najszybciej z Zodangi, aby je udaremnić, ale spóźniłem się, prawda?

Potwierdził.

– Opowiedz mi, jak do tego doszło.

– Porwano ją zeszłej nocy, nie wiemy dokładnie o której godzinie. Drzwi księżniczki pilnowało dwóch ludzi. Byli nowi, ale przeszli to samo drobiazgowo badanie, co wszyscy, którzy chcą wstąpić na twoją służbę. Dziś rano, kiedy przyszły niewolnice, aby zmienić kobiety, które towarzyszyły księżniczce ostatniej nocy, odkryły że Dejah Thoris zniknęła. Służące leżały na swoich posłaniach, widocznie zabite we śnie. Obaj strażnicy zniknęli. Nie możemy być pewni, ale uważamy, że to oni porwali księżniczkę.

– Zgadza się. To byli szpiegzy Ur Jana, płatni zabójcy z Zodangi. Co zrobiliście?

– Dziadek księżniczki, Tardos Mors i jej ojciec, Mors Kajak, wysłali już tysiąc statków na poszukiwania.

– To dziwne. Przez całą drogę z Zodangi nie zauważyłem ani jednego.

– Na pewno wylecieli, księżę – twierdził Jat Or. – Wiem o tym, bo prosiłem, aby pozwolili mi ze sobą lecieć, gdyż czułem się odpowiedzialny za porwanie i w pewnej mierze ponoszę za nie winę.

– Gdziekolwiek jej szukają, tracą czas. Zanieś ode mnie wiadomość Tardosowi Morsowi. Powiedz, żeby odwołał flotę. Tylko jeden statek może dotrzeć tam, gdzie ją zabrali, i tylko dwóch ludzi na świecie potrafi nim sterować. Pierwszy to nasz wróg, drugim jestem ja sam. Muszę niezwłocznie wracać do Zodangi. Nie ma czasu do stracenia, w przeciwnym wypadku sam spotkałbym się z jeddakiem, zanim tam się udam.

– Ale czy nie możemy nic zrobić? Czy mogę w jakiś sposób pomóc? Nie doszłoby do tego, gdybym był bardziej czujny. Powinienem był spać przed drzwiami księżniczki. Pozwól mi ze sobą lecieć. Mam dobrą broń, a może jeszcze przyjsć chwila, kiedy nawet tobie przyda się pomoc.

Zastanowiłem się przez chwilę nad jego prośbą. Dlaczego nie miałbym go zabrać? Przez całe długie życie tak często działałem sam, że nauczyłem się polegać na własnych siłach, a jednak cieszyłem się, kiedy u mego boku walczyli wspaniali wojownicy, tacy jak Carthoris, Kantos Kan i Tars Tarkas. Wiedziałem, że młody padwar potrafił posługiwać się z mieczem, a na dodatek był oddany mnie i księżniczce. Nawet gdyby nie okazał się pomocny, przynajmniej nie zawadzałby.

– Świetnie, Jat Orze – powiedziałem. – Przebierz się w prostą uprząż. Od tej pory nie jesteś padwarem floty Helium, a pozbawionym kraju pantanem, gotowym służyć każdemu, kto cię najmie. Poproś dowódcę straży, żeby przyszedł natychmiast do moich pokojów i sam udaj się tam, kiedy się przebierzesz. Pospiesz się!

Dowódca straży dotarł do moich komnat zaraz po mnie. Oznajmiłem mu, że ruszam na poszukiwania Dejah Thoris i do mojego powrotu powierzam mu odpowiedzialność za dom.

– Zanim przyjdzie Jat Or, chciałbym żebyś poszedł na lądowisko i wezwał patrolowic. Chciałbym, żeby odeskortowali mnie za mury miasta, aby nikt mnie nie zatrzymywał w drodze.

Zasalutował i wyszedł, a kiedy zniknął za drzwiami, napisałem krótkie wiadomości do Tardosa Morsa, Mors Kajaka i Carthorisa.

Kiedy skończyłem, wszedł Jat Or. Wyglądał na zadbanego i sprawnego wojownika, i jego wygląd napełnił mnie satysfakcją. Choć służył nam od jakiegoś czasu, nie zdążyłem go bliżej poznać, ponieważ był tylko przydzielonym do świty Dejah Thoris młodszym padwarem, odpowiednikiem mniej więcej naszego porucznika.

Pokazałem mu gestem, żeby poszedł za mną i udaliśmy się na lądowisko. Wybrałem szybki dwuosobowy statek, a kiedy wyprowadzałem go z hangaru, na platformie wylądował wezwany przez dowódcę straży patrolowic.

Chwilę później lecieliśmy w jego towarzystwie w kierunku zewnętrznych murów miasta, a kiedy znaleźliśmy się za nimi, pochyliliśmy na pożegnanie dzioby statków. Obrąłem kurs na Zodangę i dodałem prędkości, podczas gdy patrol wrócił nad miasto.

Podróż powrotna do Zodangi przebiegła bez przygód. Wykorzystałem ten czas, aby zapoznać Jat Ora ze wszystkim, co zaszło podczas mojego pobytu w tym mieście i wszystkim, czego się tam dowiedziałem, aby przygotować go na wszelkie nagłe wypadki, jakie mogły nas czekać. Ponownie natarłem też ciało czerwonym pigmentem, który był moim jedynym przebraniem.

Naturalnie martwiłem się bardzo o los Dejah Thoris i wiele czasu poświęcałem na czcze dociekania na temat tego, gdzie mogli zabrać ją porywacze.

Nie wierzyłem, że międzyplanetarny statek Gar Nala mógłby zbliżyć się do Helium niezauważony. Wobec tego, rozsądniej było założyć, że

księżniczkę wywieziono do Zodangi i dopiero stamtąd porywacze planowali przetransportować ją na Thurię.

Nie da się opisać stanu, w jakim był mój umysł podczas tej podróży. Widziałem moją ukochaną we władzy zbirów Ur Jana, i czułem jej wewnętrzną udrękę, choć wiedziałem, że na zewnątrz pozostała na pewno odważna i spokojna. Jakim upokorzeniom i zniewagom chcieli ją poddać? Kiedy podobne myśli pędziły mi przez głowę, zacząłem widzieć przed oczami krwawą mgiełkę i owładnęła mną do reszty żądza krwi, obawiam się więc, że przez ostatnie kilka godzin lotu Jat Or miał we mnie dość opryskliwego i niekomunikatywnego kompana.

W końcu jednak dotarliśmy do Zodangi. Znowu była noc. Może byłoby bezpieczniej poczekać, jak poprzednim razem, z przeniknięciem do miasta aż do świtu, ale najważniejszy był teraz czas.

Zgasiwszy światła, podlecieliśmy powoli do murów i wypatrując stale patroli, przesunęliśmy się nisko nad nimi, schodząc zaraz w biegnącą obok ciemną ulicę.

Trzymając się nieoświetlonych arterii, dotarliśmy bezpiecznie do płatnego hangaru, z którego wcześniej korzystałem.

Postawiliśmy pierwsze kroki w poszukiwaniu Dejah Thoris.

DOM GAR NALA

Ignorancja i głupota mają czasami zalety, które podnoszą je do godności cnoty. Pozbawieni rozumu ludzie rzadko posiadają dość wyobraźni, żeby odczuwać intelektualną ciekawość.

Właściciel hangaru widział mnie, jak odlatywałem sam jednoosobowym statkiem. Teraz wróciłem z towarzyszem, dwuosobowym pojazdem, a mimo to nie okazywał kłopotliwego zainteresowania.

Wprowadziłem statek do hangaru i pouczyłem właściciela, żeby nie dopuszczał do niego nikogo poza nami, po czym zaprowadziłem Jat Ora do noclegowni w tym samym budynku i przedstawivszy go właścicielowi, pozostawiłem go tam, ponieważ dochodzenie, jakie zamierzałem przeprowadzić, jeden człowiek mógł przeprowadzić o wiele sprawniej niż dwóch.

Przede wszystkim chciałem dowiedzieć się, czy statek Gar Nala opuścił Zodangę. Niestety, nie wiedziałem, gdzie znajdował się hangar, w którym go budował. Wiedziałem, że nie wyciągnąłbym tej informacji z Rapasa, który zaczął mnie już podejrzewać, więc jedyna nadzieja spoczywała w Fal Sivasie.

Byłem całkiem pewny, że musiał to wiedzieć, ponieważ z jego uwag na boku można było wywnioskować, że obaj wynalazcy szpiegowali się stale nawzajem. Udałem się więc do domu starca, pouczywszy przedtem Jat Ora, żeby nie oddalał się od noclegowni, żebym mógł znaleźć go bez problemu, gdyby jego usługi okazały się potrzebne.

Kiedy dotarłem do domu starego naukowca, wieczór był jeszcze wczesny. Usłyszawszy sygnał, Hamas wpuścił mnie do środka. Kiedy mnie rozpoznał, sprawiał wrażenie zdziwionego i niezbyt zadowolonego.

– Myśleliśmy, że Ur Jan w końcu się ciebie pozbył.

– Nie miał aż tyle szczęścia. Gdzie jest Fal Sivas?

– W laboratorium na górze, ale nie wiem, czy chciałby, aby mu przeszkadzano, choć pewnie będzie chciał się z tobą widzieć.

Ostatnie słowa powiedział nieprzyjemnym tonem, który nie przypadł mi do gustu.

– Pójdę od razu do niego.

– Nie, zaczekasz tutaj. Pójdę i zapytam go, co postanowi.

Przecisnąłem się obok niego do korytarza.

– Możesz iść ze mną, jeśli chcesz. Ale czy zrobisz to czy nie, muszę natychmiast się z nim widzieć.

Burknął na to jawne zlekceważenie jego autorytetu, i pobiegł korytarzem o krok czy dwa przede mną.

Mijając moją dawną kwaterę zauważyłem, że drzwi były otwarte, choć nie zauważyłem w środku Zandy. Teraz jednak nie zastanawiałem się nad tym.

Weszliśmy na górę, gdzie Hamas zapukał do drzwi wynalazcy.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał i miałem już wejść do pokoju, kiedy usłyszałem zrzędlivy głos Fal Sivasas:

– Kto tam?

– To ja, Hamas. I Vandor. Właśnie wrócił.

– Wprowadź go, wprowadź!

Kiedy Hamas otworzył drzwi, przecisnąłem się obok niego i odwróciwszy się, wypchnąłem go na korytarz.

– Powiedział tylko, żebyś mnie wprowadził – powiedziałem, zamykając mu drzwi przed nosem.

Fal Sivas najwyraźniej wyszedł z innego pomieszczenia, żeby sprawdzić kto pukał, ponieważ trzymał nadal dłoń na klamce drzwi po drugiej stronie pokoju, marszcząc gniewnie brwi.

– Gdzie byłeś?

Oczywiście, nie przywykłem do tego, aby zwracano się do mnie w ten sposób i nie spodobał mi się jego ton. Nie jestem aktorem, a wojownikiem, i przez chwilę trudno mi było pamiętać, że odgrywałem przed nim rolę.

Posunąłem się nawet do tego, że zrobiłem już kilka kroków w jego stronę, zamierzając złapać go za kark i nauczyć dobrych manier, ale w porę się pohamowałem. Zatrzymałem się, uśmiechając się mimowolnie.

– Dlaczego nie odpowiadasz? – powiedział głośno starzec. – Masz czelność śmiać się ze mnie?

– Nie wolno mi śmiać się z własnej głupoty?

– Twojej głupoty? Nie rozumiem. Co chcesz przez to powiedzieć?

– Miałem cię za inteligentnego człowieka, Fal Sivasie. Teraz jednak odkryłem, że myliłem się. Dlatego się śmieję.

Myślałem, że zaraz wybuchnie, ale opanował się.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytał gniewnym głosem.

– To, że bez względu na podejrzenia nikt inteligentny nie zwróciłby się do swojego przybocznego tonem, jakiego użyłeś przed chwilą w stosunku do mnie, dopóki nie zbadałby dogłębnie sprawy. Pewnie podczas mojej nieobecności nasłuchiłeś się słów Hamasa, więc to jasne, że skazałeś mnie bez przesłuchania.

Zamrugął, po czym odpowiedział nieco bardziej uprzejmie:

– No dobrze, wyjaśnij, gdzie byłeś i co robiłeś.

– Przyglądałem się niektórym działaniom Ur Jana, ale nie mam teraz czasu zagłębiać się w wyjaśnienia. Najważniejsze, że muszę udać się do hangaru Gar Nala, a nie wiem gdzie on jest. Przyszedłem do ciebie po tę informację.

– Dlaczego chcesz tam iść?

– Ponieważ słyszałem, że jego statek opuścił Zodangę w misji związanej z Ur Janem.

Usłyszawszy to, Fal Sivasa wpadł we wzburzenie graniczące z atakiem apopleksji.

– Calot! Ten kundel ukradł wszystkie moje pomysły, a teraz jego statek wystartował przed moim!

– Uspokój się. Nie wiemy jeszcze, czy wyleciał czy nie. Powiedz mi, gdzie go budował, a pójdę tam i zbadam sprawę.

– Tak, racja. Oczywiście, zaraz to zrobię, ale czy wiesz, dokąd zamierzał się udać? Dowiedziałeś się tego?

– Chyba na Thurię.

Teraz ogarnął go istny paroksyzm wściekłości, w porównaniu z którym poprzedni wybuch zdawał się niemal entuzjastyczną aprobatą dla rywala do laurów arcywynałazcy. Obrzucał najgorszymi wyzwiskami, jakie przysły mu na język, Gar Nala i wszystkich jego przodków, aż do drzewa życia, od którego pochodziły podobno wszystkie formy życia na Marsie.

– Leci po bogactwo! – wrzasnął w końcu. – Nawet ten pomysł mi ukradł!

– Nie czas na rozpacz – uciąłem. – To do niczego nie prowadzi. Powiedz mi, gdzie jest hangar Gar Nala, żebyśmy przekonali się ostatecznie, czy opuścił miasto.

Z trudem odzyskał panowanie nad sobą, po czym udzielił mi dokładnych wskazówek, jak trafić do pracowni Gar Nala. Powiedział mi nawet, jak wejść do środka, zdradzając tym samym znajomość siedziby przeciwnika wskazującą, że szpiedzy Fal Sivasa również nie próżnowali.

Kiedy skończył, wydało mi się, że usłyszałem z pokoju za nim jakiś stłumiony odgłos: westchnienie, może szloch, nie byłem pewny. Dźwięk był cichy i mógł znaczyć wszystko, ale wynalazca podszedł już do mnie i – jak mi się zdawało – nieco pospiesznie wyprowadził mnie do korytarza. Ostatecznie mogło mi się tylko wydawać. Zastanawiałem się, czy on również słyszał te dźwięki.

– Lepiej już idź – powiedział. – A kiedy dowiesz się prawdy, wracaj szybko i wszystko mi powiedz.

Po drodze wstąpiłem do siebie, żeby porozmawiać z Zandą, ale nie zastałem jej, udałem się więc do drzwi wejściowych.

Hamas już przy nich stał. Na mój widok sprawiał wrażenie rozczarowanego.

– Wychodzisz? – zapytał.

– Tak.

– Wrócisz dziś w nocy?

– Tak przypuszczam. A przy okazji, gdzie jest Zanda? Nie było jej u mnie.

– Uznaliśmy, że już nie wrócisz, i Fal Sivas znalazł dla niej inne zajęcie. Powiem jutro Phystalowi, żeby przysłał ci inną niewolnicę.

– Chcę odzyskać Zandę. Dobrze wywiązuje się z obowiązków i wolę ją od całej reszty.

– O tym będziesz musiał porozmawiać z Fal Sivasem.

Wyszedłem w noc, nie myśląc o tym dalej, ponieważ głowę zaprzętały mi o wiele ważniejsze sprawy.

Droga prowadziła obok zajazdu, gdzie zostawiłem Jat Ora, i dalej, do innej dzielnicy. Tam bez trudu znalazłem opisany przez Fal Sivasa budynek.

Po jednej stronie siedziby Gar Nala leżał wąski, ciemny zaułek. Zagłębiłem się w niego, idąc po omacku, aż po drugiej stronie trafiłem na niski mur.

Zatrzymałem się na chwilę i nasłuchiwałem czujnie, ale z budynku nie docierały żadne dźwięki. Wskoczyłem z łatwością na szczyt muru, a stamtąd na dach niskiej przybudówki. Po drugiej stronie dachu widać było ścianę hangaru, w którym Gar Nal budował swój statek. Rozpoznałem budynek po osadzonej w murze wielkiej bramie.

Fal Sivas powiedział, że przez szczelinę między skrzydłami bramy widać było wewnątrz hangaru i mogłem w ten sposób stwierdzić szybko, czy statek nadal był w środku. Ale światła w budynku były zgaszone, a wewnątrz

spowijała nieprzenikniona ciemność, i przyłożywszy oko do szpary nic nie zobaczyłem.

Spróbowałem przesunąć bramę, ale była zamknięta. Zacząłem przesuwać się ostrożnie wzdłuż muru, szukając kolejnego otworu.

Około czterdziestu stóp na prawo od bramy trafiłem na okienko umieszczone jakieś dziesięć stóp nad poziomem dachu, na którym stałem. Podskoczyłem do niego, uchwyciłem się palcami parapetu i podciągnąłem się z nadzieją, że uda mi się stamtąd coś zobaczyć.

Ze zdziwieniem i niemałą radością stwierdziłem, że okno było otwarte. W środku panowała kompletna cisza i mrok, jak na Erebusie.

Usiadłem na parapecie i przerzuciłem nogi do środka, po czym odwróciłem się na brzuch i przesunąłem w ślad za nimi całe ciało. Następnie puściłem parapet i zeskoczyłem.

Naturalnie, ten manewr zawsze jest ryzykowny, ponieważ nigdy nie wiadomo, na co się spadnie.

Trafiłem na przesuwaną ławę, pełną metalowych części i narzędzi. Przeważylem ją swoim ciężarem i przewróciła się na podłogę ze straszliwym łoskotem.

Podniosłem się niezgrabnie i czekałem w mroku, nasłuchując. Choć budynek wydawał się wielki, jeśli ktoś był w środku, to wydawało się mało prawdopodobne, aby nie słyszał hałasu, jakiego narobiłem.

Rzeczywiście, wkrótce usłyszałem kroki. Zdawały się dobiegać ze sporej odległości, ale zbliżały się prędko, po czym zwolniły. Wyglądało na to, że ktokolwiek nadchodził, w miarę zbliżania się do hangaru zachowywał coraz większą ostrożność.

Po krótkim czasie drzwi na drugim końcu hangaru otworzyły się szeroko i ujrzałem dwóch uzbrojonych ludzi, których sylwetki rysowały się wyraźnie na tle światła.

Sąsiednie pomieszczenie nie było wprawdzie dobrze oświetlone, ale światło wystarczyło, żeby rozproszyć częściowo mrok przepastnego

wnętrza. Dopiero teraz zobaczyłem, że nie było w nim statku. Gar Nal nim odleciał!

Najwyraźniej wbrew sobie żywiłem jeszcze jakąś nadzieję, ponieważ to odkrycie oszołomiło mnie. Gar Nal zniknął, niewątpliwie zabierając ze sobą Dejah Thoris!

Obaj strażnicy weszli ostrożnie do hangaru.

– Widzisz kogoś? – zapytał idący z tyłu.

– Nie – odpowiedział jego towarzysz. Donośnym głosem zawołał: – Kto tu jest?

Podłoga hangaru była mocno zagracona. Rozrzucano na niej bezładnie beczki, skrzynki, butle, narzędzia i części – tysiąc i jeden rzeczy. Może dobrze się dla mnie złożyło, ponieważ wśród tak wielu gratów trudno byłoby im mnie znaleźć, dopóki stałem bez ruchu, chyba że strażnicy weszliby po omacku prosto na mnie.

Kłęczałem w cieniu wielkiego pudła, planując następny krok na wypadek, gdyby mnie zauważyli.

Szli powoli środkiem hangaru. Znaleźli się naprzeciw mojej kryjówki i minęli ją. Zerknąłem na otwarte drzwi. Wyglądało na to, że nikogo przy nich nie było. Najwyraźniej to oni pilnowali hangaru i nikt poza nimi nie słyszał rumoru, jakiego narobiłem.

Nagle do głowy przyszedł mi pewien plan. Wyszedłem z ukrycia i stanąłem przed otwartymi drzwiami, którymi weszli.

Poruszałem się cicho i nie usłyszeli mnie, dopóki się nie odezwałem.

– Ani drgnąć! Zostańcie, gdzie jesteście, a przeżyjecie!

Stanęli, jak trafieni gromem, i obrócili się w moją stronę.

– Nie ruszać się! – poleciłem.

– Coś ty za jeden?

– To nieważne. Odpowiedzcie na moje pytania, a nic wam nie zrobię.

Nagle jeden z nich roześmiał się.

– I tak nic nam nie zrobisz! Jesteś sam, a nas jest dwóch. Naprzód! – szepnęła do towarzysza i wyciągnąwszy miecze, natarli na mnie.

Cofnąłem się, trzymając ostrze w gotowości do odbicia ich ciosów.

– Zaczekajcie! – zawołałem. – Nie chcę was zabić. Chcę tylko paru informacji. Udzielicie mi ich, a potem sobie pójdę.

– Coś takiego! Nie chce nas zabić! – zawołał jeden. – Dalej, zajdź go od lewej, a ja od prawej. Nie chce nas zabić, co?

Czasami mam wrażenie, że nie powinienem przypisywać sobie zasług za niezliczone sukcesy w walce. Za każdym razem odnoszę wrażenie, które tym bardziej muszą podzielać przeciwnicy, że moje ostrze zmienia się w żywą istotę, zdolną do nadprzyrodzonych czynów pozostających poza możliwościami śmiertelnego człowieka. Tak też było tego wieczoru.

Kiedy natarli na mnie z przeciwnych stron, mój miecz zabłyśł, z taką szybkością odbijając ich ciosy i zadając własne, że z pewnością nie nadążali za nim wzrokiem.

Pierwszy strażnik padł z rozłupaną czaszką w chwili, kiedy znalazł się w zasięgu ostrza. Niemal równocześnie przebiłem bark jego towarzysza i cofnąłem się.

Okaleczone prawe ramię zwisało mu bezwładnie u boku. Nie mógł uciec. Zagradzałem mu drogę do drzwi i czekał tylko, aż przebiję mu serce.

– Nie chcę cię zabijać – powtórzyłem. – Odpowiedz na moje pytania, a daruję ci życie.

– Kim jesteś i co chcesz wiedzieć?

– Nieważne, kim jestem. Odpowiedz na pytania i postaraj się mówić prawdę. Kiedy Gar Nal stąd odleciał?

– Dwie noce temu.

– Kto był z nim na pokładzie?

– Ur Jan.

– I nikt poza tym?

– Tak.

- Dokąd poleciecieli?
 - Skąd mam wiedzieć?
 - Lepiej byłoby, żebyś wiedział. Dalej, gadaj, gdzie poleciecieli i kogo mieli zabrać?
 - Mieli spotkać się z innym statkiem gdzieś w pobliżu Helium i wziąć na pokład kogoś, kogo nie wspominali z imienia.
 - Chcieli kogoś porwać dla okupu?
- Skinął głową.
- Chyba właśnie o to chodziło.
 - I nie wiesz kto to był?
 - Nie.
 - Gdzie zamierzali ukryć porwaną osobę?
 - Gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie.
 - Czyli gdzie?
 - Słyszałem jak Gar Nal mówił, że polecą na Thurię.

Wyciągnąłem z niego już chyba wszystkie użyteczne informacje, jakimi mógł się podzielić, poleciłem mu więc, żeby odprowadził mnie do drzwiczek wychodzących na dach, po którym dostałem się do hangaru. Wyszedłem i odczekałem, aż je zamknął, po czym przeszedłem na drugą stronę dachu i zeskoczyłem na mur, a stamtąd na ulicę.

Idąc w stronę domu Fal Sivasa, w myślach układałem pospiesznie plan. Wiedziałem, że musiałem podjąć wielkie ryzyko oraz że bez względu na rezultat tej przygody, odpowiedzialność za jej sukces lub niepowodzenie spoczywała całkowicie na moich barkach.

Zatrzymałem się w noclegowni, gdzie zostawiłem Jat Ora. Okazało się, że czekał niespokojnie na mój powrót.

Miejsce było o tej porze tak pełne gości, że nie mogliśmy porozmawiać na osobności, zabrałem go więc do gospody, w której jadaliśmy z Rapasem. Znaleźliśmy wolny stół i opowiedziałem mu o wszystkim, co wydarzyło się, od kiedy opuściłem go po przybyciu do Zodangi.

– Mam nadzieję, że jeszcze dziś wieczór uda nam się polecieć na Thurię
– powiedziałem. – Kiedy się rozdzielimy, udasz się prosto do hangaru
i zabierzesz stamtąd statek. Uważaj na patrole i jeśli uda ci się opuścić
miasto, leć prosto na zachód przez sto haadów nad trzydziestym
równoleżnikiem. Zaczekaj tam na mnie. Jeśli nie przylecę za dwa dni,
możesz zrobić, co uznasz za stosowne.

„ZGINIEMY OBYDWOJE!”

Thuria! Zawsze intrygowała moją wyobraźnię, a teraz, kiedy ujrzałem ją na niebie nad sobą po tym, jak rozdzieliliśmy się z Jat Orem po wyjściu z gospody, zawładnęła całkowicie moimi myślami.

Gdzieś między tą kulą światła a Barsoom, niezwykle statek przecinał przestrzeń, unosząc moją ukochaną na spotkanie nieznanego losu.

Jaką rozpacz musiała ją odczuwać, nie domyślając się nawet, że któraś z kochających ją osób wiedziała, co się z nią stało i dokąd zabierali ją porywacze. Możliwe, że sama tego nie wiedziała. Żałowałem, że nie mogłem dodać jej w tej chwili choćby odrobiny otuchy.

Szedłem w stronę domu Fal Sivasa pochłonięty podobnymi rozważaniami, ale mimo mojego zaabsorbowania, moje zmysły nawykłe od dawna do niebezpieczeństw, zachowały pełną czujność, dzięki czemu odnotowałem odgłos kroków, które wystartowały z ulicy, którą właśnie minąłem. Niedługo zauważyłem, że skręciły w moją stronę i podążały za mną dalej, ale nie dawałem poznać po sobie, że je usłyszałem, dopóki nie stało się jasne, że doganiały mnie prędko.

Obróciłem się, kładąc dłoń na rękojeści miecza, na co śledzący mnie człowiek odezwał się do mnie.

– Myślałem że to ty, ale nie byłem pewny – powiedział.

– To ja, Rapasie.

– Gdzie się podziewałeś. Szukam cię od dwóch dni.

– Naprawdę? Czego chcesz? Mów szybko, spiesz mi się.

Zawahał się. Widział, że jestem podenerwowany. Zachowywał się, jakby miał coś powiedzieć, ale bał się albo nie wiedział, jak zacząć.

– No widzisz, nie widzieliśmy się od paru dni – zaczął łamiącym się głosem. – Chciałem tylko spotkać się z tobą, no i wiesz, pogawędzić trochę.

Chodźmy coś razem zjeść.

– Dopiero co jadłem.

– A co tam u starego Fal Sivasa? Słyszałeś się czegoś nowego?

– Nie – skłamałem. – A ty?

– Zwykle plotki. Mówią, że Ur Jan uprowadził księżniczkę Helium.

Widziałem, że przyglądał mi się bacznie, wypatrując mojej reakcji.

– Naprawdę? Nie chciałbym być w jego skórze, kiedy dorwą go ludzie z Helium.

– Nie złapią go nigdy. Zabrał ją tam, gdzie jej nie znajdą.

– Jeśli ją skrzywdzi, mam nadzieję, że dostanie to, co mu się należy.

I tak pewnie będzie.

Odwróciłem się, zamierzając odejść.

– Ur Jan nic jej nie zrobi, jeśli dostanie okup – powiedział Rapas.

– Okup? A ile ich zdaniem warta jest księżniczka Helium dla swojej rodziny?

– Ur Jan nie żąda wiele. Chce tylko tyle złota, platyny i klejnotów, ile zmieści się na dwóch wielkich statkach.

– A czy powiadomił jej rodzinę o swoich żądaniach?

– Mój przyjaciel zna człowieka, który zna jednego z zabójców Ur Jana – wyjaśnił Rapas. – W ten sposób można skontaktować się z jego gildią.

Nareszcie to z siebie wyrzucił. Roześmiałybym się, gdybym nie martwił się tak bardzo o Dejah Thoris. Sprawa była jasna. Ur Jan i Rapas byli pewni, że byłem Johnem Carterem lub jednym z jego agentów, a Rapas został wyznaczony na pośrednika między mną a porywaczami.

– To bardzo ciekawe, ale oczywiście nic dla mnie nie znaczy. Muszę już iść. Dobranoc, Rapasie.

Okręciłem się na pięcie i poszedłem dalej w stronę domu Fal Sivasa, zostawiając go z kompletnie oszołomioną miną. Podejrzewam, że nie był już tak pewny, że byłem Johnem Carterem czy choćby jego agentem, ponieważ wtedy na pewno okazałbym większe zainteresowanie jego

informacjami. Oczywiście, nie powiedział mi nic, czego już nie wiedziałem, stąd nie mógł zaskoczyć mnie lub wywołać we mnie wzburzenia.

Możliwe, że nie miałyby większego znaczenia nawet gdyby Rapas znał moją prawdziwą tożsamość, ale w walce z ludźmi jego pokroju sprawiało mi rozkosz utrzymywanie ich w niepewności i wyprzedzanie ich stale o krok.

Kiedy dotarłem do posępnej siedziby Fal Sivasa, Hamas wpuścił mnie do środka, a kiedy minąłem go i ruszyłem korytarzem w stronę pochylni prowadzącej na górę do pokojów wynalazcy, poszedł za mną.

– Idziesz do siebie? – zapytał.

– Nie, prosto do Fal Sivasa.

– Jest bardzo zajęty. Nie wolno mu przeszkadzać.

– Mam dla niego ważne informacje.

– Będziesz musiał z tym poczekać do jutra.

Odwróciłem się i wbiłem niego wzrok.

– Zaczynasz mnie drażnić, Hamasie. Uciekaj i zajmij się własnymi sprawami.

Rozwścieczony, chwycił mnie za ramię.

– Zarządzam tym domem i musisz okazywać mi posłuszeństwo! Jesteś tylko... tylko...

– Zabójcą – podsunąłem znaczącym tonem, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

Cofnął się.

– Nie ośmielisz się! Nie możesz!

– Czyżby? Nie znasz mnie, Hamasie. Fal Sivas wynajął mnie, a zawsze słucham zleceniodawcy. Mówił mi, żebym stawił się u niego od razu po powrocie. Jeśli muszę cię zabić, żeby to zrobić, to niech będzie – zrobię to.

Jego postawa zmieniła się od razu i widać było, że zaczął się mnie bać.

– Ostrzegłem cię dla twojego własnego dobra – powiedział. – Fal Sivas jest w laboratorium. Będzie wściekły, jeśli przeszkodzisz mu w pracy – może nawet cię zabić. O ile masz trochę oleju w głowie, zaczekasz, aż po ciebie przyśle.

– Dziękuję, ale spotkam się z nim teraz. Śpij dobrze – powiedziałem, po czym odwróciłem się i ruszyłem w stronę rampy. Nie poszedł za mną.

Poszedłem prosto do pokojów Fal Sivas. Zapukałem raz do drzwi i otworzyłem je. Wynalazcy nie było w środku, ale słyszałem jego głos zza drzwi po drugiej stronie pomieszczenia.

– Kto tam? Czego chcesz? Wynoś się stąd i nie przeszkadzaj!

– To ja, Vandor. Muszę się z tobą natychmiast widzieć.

– Nie, idź sobie. Przyjdź rano.

– Spotkamy się teraz. Wchodzę!

Byłem już w połowie drogi przez pokój, kiedy drzwi otworzyły się i starzec, siny z gniewu, wyszedł przez nie, zamykając je za sobą.

– Jak śmiesz?! – zawołał.

– Statku Gar Nala nie ma w hangarze.

Wyglądało na to, że wiadomość przywróciła mu rozum, ale nie zmniejszyła wcale wściekłości, kierując ją po prostu w inną stronę.

– Calot! Syn miliarda calotów! Pokonał mnie. Leci na Thurię, a za bogactwa, które przywiezie, dokona wszystkiego, co ja miałem nadzieję osiągnąć!

– Owszem, na dodatek towarzyszy mu Ur Jan, a nie sposób przewidzieć czego może dokonać sojusz tego łotra z wybitnym i pozbawionym skrupułów naukowcem. Ale masz przecież swój statek! Pojazd jest gotów do lotu. Możemy polecieć za nimi, a nie podejrzewają przecież nawet, że to możliwe. Mielibyśmy nad nimi przewagę. Moglibyśmy zniszczyć Gar Nala i jego statek, a wtedy to ty zyskałbyś tytuł najlepszego wynalazcy!

Pobladł.

– Nie, nie, nie mogę. To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Thuria jest tak daleko. Nie wiadomo, co może się stać. Statek mógłby się zepsuć. Może nie działać tak dobrze, jak w teorii. Możemy natknąć się na dziwne stwory i przerażające ludy.

– Przecież zbudowałeś go po to, żeby polecieć na Thurię! Sam mi to powiedziałeś.

– To tylko marzenie – wymamrotał. – Marzenia nie niosą ze sobą żadnego ryzyka i niczym mi nie grożą, ale lot na Thurię... To tak daleko! A jeśli coś się stanie?

Teraz wszystko zrozumiałem. Ten człowiek był wierutnym tchórzem. Pozwalał, aby jego wielkie marzenie obracało się w pył na jego oczach, ponieważ brakło mu odwagi, aby wyjść na spotkanie wielkiej przygody.

Co miałem robić? Moje plany zależały od niego, a teraz zawiódł mnie.

– Nie rozumiem cię – powiedziałem. – Przekonałeś mnie, że dotarcie tym statkiem na Thurię będzie dziecinnie proste. Co za niepokonane niebezpieczeństwa mogą nam tam grozić? Dla stworzeń z Thurii będziemy przecież istnymi gigantami, żadne nie zdoła nam się, oprzeć. Największe z nich moglibyśmy zmiażdżyć pod stopami.

Zastanawiałem się sporo nad tą kwestią, od kiedy tylko pojawiła się możliwość lotu na Thurię. Nie jestem naukowcem i moje obliczenia mogą nie być dokładne, ale były z grubsza poprawne. Wiedziałem, że Thuria miała około siedmiu mil średnicy, więc jej objętość mogła stanowić zaledwie około dwóch procent objętości Ziemi, żeby posłużyć się bardziej dla ciebie zrozumiałym punktem odniesienia.

Oszacowałem, że jeśli istniały tam istoty ludzkie o tych samych względnych proporcjach do swojego środowiska, co Ziemianie, miałyby około dziewięciu i pół cala wysokości i od czterech do pięciu funtów wagi. Tymczasem Ziemianin przeniesiony na Marsa może podskoczyć na wysokość 225 stóp, skoczyć w dal z miejsca 450 stóp, a po rozbiegu – na 725 stóp, zaś o ile nie brak mu siły zdolny jest unieść ciężar odpowiadający

4,5 ziemskim tonom. Przeciw takiemu tytanowi maleńkie istoty zamieszkujące Thurię nie mogłyby nic zdziałać; pod warunkiem, rzecz jasna, że księżyc w ogóle był zamieszkały.

Powiedziałem o tym wszystkim Fal Sivasowi, ale potrząsnął niecierpliwie głową.

– Jest coś, czego nie wiesz. Może nawet Gar Nal nie ma o tym pojęcia. Między Barsoom a jego księżycami istnieje szczególny związek, różniący się od wszystkich relacji między pozostałymi planetami Układu Słonecznego a ich satelitami. Hipotezę tę postawił przed tysiącami lat pewien zapomniany uczonek, i wygląda na to, że od tamtej pory popadła w zapomnienie. Trafiłem na nią w odkrytym przypadkowo starożytnym rękopisie. Zapisano go charakterem pisma tego badacza i możliwe, że w ogóle nie był rozpowszechniany. Myśl zaintrygowała mnie jednak i przez dwadzieścia lat próbowałem udowodnić ją lub obalić, aż ostatecznie udało mi się przeprowadzić rozstrzygający dowód.

– Co to za hipoteza?

– Między Barsoom a jego satelitami istnieje szczególna relacja, którą nazwałem kompensacją masy. Weźmy, na przykład, pewną masę przemieszczającą się stąd na Thurię. W miarę zbliżania się do księżyca będzie ulegać zmianom proporcjonalnym do zmian oddziałujących na nią sił ciężenia planety i satelity. Dlatego stosunek danej masy na powierzchni Barsoom do masy planety będzie taki sam, jak stosunek tej samej masy do masy Thurii na jej powierzchni.

Nie myliłeś się, zakładając, że mieszkańcy Thurii – o ile w ogóle oni istnieją – przy zachowaniu tych samych proporcji w stosunku do ich świata, co nasze względem Barsoom, mają około ośmiu sofów wzrostu. Co za tym idzie, o ile moja teoria jest słuszna, a nie mam powodu w nią wątpić, to podczas lotu na Thurię, po dotarciu na jej powierzchnię byłbyś mniej więcej tego samego wzrostu.

– Toż to absurd!

Oblał się rumieńcem gniewu.

– Ty niedouczony zabójco! Jak śmiesz kwestionować moją wiedzę? Wystarczy tego! Wracaj do siebie i daj mi pracować.

– Polecę na Thurię, a jeśli nie chcesz lecieć ze mną, zrobię to sam.

Odwrócił się, żeby wejść do laboratorium, ale poszedłem za nim i stanąłem tuż za jego plecami.

– Odejdź! Wyjdź albo każę cię zabić.

W tej samej chwili usłyszałem ze środka kobiecy głos, który wołał:

– Vandor! Ratuj mnie, Vandorze!

Fal Sivas pobladł z wściekłości. Próbował wpaść do środka i zamknąć mi drzwi przed nosem, ale byłem dla niego za szybki. Skoczyłem do drzwi i wszedłem do środka, odpychając go na bok.

Moim oczom ukazał się straszny widok. Na marmurowych blatach wzniesionych o jakieś cztery stopy nad podłogę leżały cztery kobiety, umocowane w ten sposób, że nie mogły ruszać kończynami ani podnieść głowy. Trzem usunięto część czaszki, ale nadal były przytomne. Widziałem jak zwróciły w naszą stronę wylękniony, pełen trwogi wzrok.

Odwróciłem się do Fal Sivasa.

– Co to znaczy? Co to za diabelstwo?

– Wyjdź! Precz stąd! Jak śmiesz wchodzić do świętego przybytku nauki? Kim ty jesteś, robaku, żeby kwestionować moje działania i wtrącać się w pracę umysłu, którego wielkości nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić? Wyjdź! Albo każę cię zabić.

– A kto to robi? Uwolnij te nieszczęsne stworzenia z ich niedoli, a potem zajmę się tobą.

Ogarnęła go tak wielka wściekłość lub groza, a może obie naraz, że drżał cały, jak porażony. Po czym, zanim zdołałem go zatrzymać, odwrócił się i wypadł z pomieszczenia.

Wiedziałem, że pobiegł po pomoc i że wkrótce miałem pewnie mieć na wszystkich mieszkańców jego piekielnej siedziby.

Mógłbym puścić się za nim w pogoń, ale obawiałem się, że pod moją nieobecność coś mogłoby stać się w laboratorium, odwróciłem się więc z powrotem do dziewczyny na czwartym blacie. Była nią Zanda.

Podszedłem do niej szybko. Widziałem, że Fal Sivas nie zdążył jeszcze poddać jej odrażającej operacji, wyjąłem więc sztylet i przeciąłem krępujące ją rzemienie. Zsunęła się ze stołu na podłogę i zarzuciła mi ramiona na szyję.

– Och, Vandorze! Zginiemy obydwójcie! Idą tu! Słyszę ich!

ŚCIGANI

Rzeczywiście, szczęk metalu świadczył o tym, że do laboratorium zbliżali się uzbrojeni ludzie. Nie wiedziałem, ilu ich było, ale byłem sam, a od śmierci dzielił mnie tylko mój miecz.

Zanda porzuciła nadzieję, ale zachowała panowanie nad sobą i nie traciła głowy. Wystarczyło kilka chwil, żebym przekonał się o jej odwadze.

– Daj mi sztylet – powiedziała.

– Po co?

– Zabiją cię, ale Fal Sivas nie będzie już dręczyć mnie ani żadnej z tych dziewczyn.

– Na razie jeszcze żyję – przypomniałem.

– I dopóki nie zginiesz, nie zamierzam się zabić, ale dla nich nie ma już nadziei. Proszą tylko o miłosierną śmierć. Pozwól mi przerwać ich mękę.

Na myśl o tym skrzywiłem się, ale wiedziałem, że miała rację, więc oddałem jej sztylet. Powinienem wykonać to upiorne zadanie sam, ale wymagało o wiele więcej odwagi niż konfrontacja ze zbrojnymi i z radością uwolniłem się od niego.

Zanda była za moimi plecami. Nie widziałem, co robiła i nie pytałem jej o to.

Nasi wrogowie zatrzymali się na zewnątrz. Słyszałem jak szepczą, po czym Fal Sivas krzyknął do mnie.

– Wyjdź i poddaj się, albo wejdziemy tam i cię zabijemy!

Nie odpowiedziałem. Stałem, po prostu czekając. Zanda podeszła zaraz do mnie i szepnęła:

– Po drugiej stronie laboratorium są ukryte za parawanem drzwi. Jeśli będziesz zwlekał, stary wyśle tam ludzi i zaatakują cię z dwóch stron jednocześnie.

– W takim razie nie będę czekał – powiedziałem, przesuając się w stronę drzwi prowadzących do przedsionka, skąd dochodziły szepty wrogów.

Zanda położyła mi dłoń na ramieniu.

– Chwileczkę, Vandorze. Stań twarzą do drzwi, a ja podejść tam i otworzę je szeroko. Wtedy cię nie zaskoczą, co byłoby możliwe, gdybyś sam to zrobił.

Drzwi otwierały się do środka, dzięki czemu Zanda mogła zasłonić się nimi, otwierając je zniemacka. Zrobiła krok do przodu i chwyciła za klamkę, podczas gdy ustawiłem się o parę kroków przed drzwiami, ściskając w dłoni długi miecz.

Kiedy otworzyła, do środka wpadł miecz, wymierzając potężny cios, który gdybym stał w progu rozłupałby mi niechybnie czaszkę. Trzymał go Hamas. Zaraz za nim stał Phystal i jeszcze jeden uzbrojony człowiek, podczas gdy wynalazca trzymał się z tyłu.

Fal Sivas zaczął krzyczeć i ponaglać ich, ale nie spieszyli się z atakiem, ponieważ w drzwiach mieścił się tylko jeden człowiek, a żaden z nich nie wydawał cieszyć się na myśl, że to on miałby być pierwszy. Właściwie, Hamas cofnął się zaraz po zadaniu ciosu, a teraz dołączył do Fal Sivas, zachęcając pozostałą dwójkę, żeby weszli do laboratorium i zabili mnie.

– Dalej! – wołał. – Nas jest trzech, a on jeden! Naprzód, Phystal! Zabij tego psa!

– Sam spróbuj! – warknął Phystal.

– Do środka! Brać go! – wrzeszczał Fal Sivas. – Dalej, tchórze!

Ale żaden z nich nie wszedł do laboratorium. Stali po prostu, ponaglając się nawzajem.

Nie podobała mi się ta strata czasu z dwóch powodów. Przede wszystkim, nie mogłem znieść myśli o choćby najmniejszym niepotrzebnym opóźnieniu w ratowaniu Dejah Thoris; po drugie zaś,

zawsze istniało ryzyko, że zjawią się posiłki. Skoro nie chcieli przyjść do mnie, musiałem sam wyjść do nich.

Zrobiłem to więc i to z takim impetem, że nie wiedzieli, co robić. Próbując mnie uniknąć, Hamas i Phystal cofnęli się, wpadając na stojącego za nimi człowieka. Był tylko niewolnikiem, ale za to odważnym: najodważniejszym ze stojącej przede mną czwórki.

Odepchnął obu brutalnie na bok i rzucił się na mnie z mieczem.

Fal Sivas zawołał, żeby dodać mu otuchy.

– Zabij go, Wolak! Zrób to, a odzyskasz wolność!

Słyszając to, niewolnik natarł na mnie zdecydowanie. Walczyłem wprawdzie o życie, ale on walczył o coś jeszcze cenniejszego. Hamas i Phystal zaczęli tymczasem skradać się jak dwa tchórzliwe szakale, krążąc na granicy pola widzenia i czekając, żeby rzucić się na mnie z boku, kiedy będzie to możliwe bez narażania się na niebezpieczeństwo.

– Dostaniesz tyle złota, ile wazysz! – darł się Fal Sivas.

Wolność i bogactwo! Mój przeciwnik zdawał się teraz wręcz natchniony. Życie, wolność i bogactwo! Czekala go iście książęca nagroda, ale ja również walczyłem o bezcenny skarb – moją niezrównaną Dejah Thoris.

Impetem natarcia zepchnął mnie parę kroków w tył, przez co znowu znalazłem się w drzwiach. Pozycja była naprawdę korzystna, choćby dlatego, że uniemożliwiała Hamasowi i Phystalowi atak z boku.

Zanda stała tuż za mną, dodając mi ducha cichymi słowami zachęty, ale choć był to z jej strony miły gest, nie potrzebowałem ich wcale. Postanowiłem już zakończyć sprawę tak szybko, jak to możliwe.

Krawędź marsjańskiego miecza przypomina brzytwę, a czubek jest ostry jak szpilka. Unikanie stępienia miecza w walce i odbijanie ciosów przeciwnika płazem broni wymaga sporej wprawy i szczyłem się tym, że potrafiłem zachować ostrość klingi do celów, do których została stworzona. Ta umiejętność przydała mi się teraz, ponieważ szykowałem się do

wykonania sztuczki, którą stosowałem z powodzeniem wiele razy wcześniej.

Mój przeciwnik był całkiem niezłym szermierzem, wyjątkowo sprawnym w obronie, dzięki czemu mógłby znacznie przedłużyć starcie, na co nie miałem ochoty. Zamierzałem rozprawić się z nim od razu.

Aby to zrobić, zmusiłem go do cofnięcia się, po czym wyprowadziłem pchnięcie, mierząc w twarz. Zareagował zgodnie z moimi przewidywaniami. Odrzucił odruchowo głowę, żeby uniknąć czubka miecza, a tym samym podniósł podbródek, odsłaniając gardło. Trzymając w powietrzu wyrzuconą do przodu broń, ciąłem szybko od prawej do lewej. Czubek miecza przesunął się tylko o kilka cali, ale jego ostra krawędź rozplątała niewolnikowi gardło prawie od ucha do ucha.

Nigdy nie zapomnę grozy w jego oczach, kiedy zatoczył się do tyłu i padł bezwładnie na podłogę.

Teraz mogłem zająć się Hamasem i Phystalem. Każdy z tej dwójki chciał oddać drugiemu zaszczyt konfrontacji ze mną. Cofając się, nadaremnie próbowali kłuć mnie czubkami mieczy, kiedy spychałem ich stale do kąta.

Teraz do walki włączył się Fal Sivas. Do tej pory zadowalał się wykrzykiwaniem do swoich ludzi przenikliwym głosem słów zachęty. Teraz podniósł wazon i cisnął nim w moją głowę.

Czystym przypadkiem zauważyłem go i uchyliłem się, po czym rozbił się o ścianę na tysiąc kawałków. Wynalazca chwycił inny przedmiot i rzucił nim we mnie, tym razem trafiając w dłoń, w której trzymałem miecz, dzięki czemu omal nie dopadł mnie w tej chwili Phystal.

Kiedy uskokczyłem przed jego pchnięciem, Fal Sivas rzucił kolejny przedmiot. Kątem oka zauważyłem, że złapała go Zanda.

Żaden z moich przeciwników nie był dobrym szermierzem, i z łatwością pokonałbym ich w uczciwej walce, ale widziałem, że nowa strategia Fal Sivasa niemal na pewno mogła okazać się moją zgubą. Gdybym go

zaatakował, miałbym pozostałą dwójkę za plecami, a na pewno nie omieszkaliby wykorzystać tej zesłanej im przez niebiosy okazji!

Próbowałem ustawić się tak, aby zasłaniaли mnie przed pociskami Fal Sivasa, ale łatwiej to powiedzieć niż zrobić, kiedy walczy się z dwoma mężczyznami w stosunkowo niewielkim pomieszczeniu.

Na dodatek straszliwym utrudnieniem był fakt, że musiałem obserwować trzech ludzi. Nagle, szybkim cięciem zmusiwszy Hamasa do cofnięcia się, zerknąłem w stronę Fal Sivasa i ujrzałem, jak coś trafiło go między oczy. Padł na podłogę jak długi. Zanda unieszkodliwiła go jego własną bronią.

Mogąc nareszcie poświęcić pełną uwagę podwładnym starego wynalazcy, uśmiechnąłem się mimowolnie. Kiedy zepchnąłem ich w kąt pomieszczenia, Hamas zaskoczył mnie, rzucając miecz i padając na kolana.

– Oszczędź mnie, Vandorze! Daruj mi życie! Nie chciałem cię atakować. To Fal Sivas kazał mi to zrobić.

Teraz również Phystal rzucił broń na podłogę i ukląkł przede mną. Miałem przed sobą najbardziej odrażający pokaz tchórzostwa, jaki kiedykolwiek widziałem. Chętnie bym ich zabił, ale nie chciałem zbrukać ostrza plugawą krwią tych nędzników.

– Zabij ich! – doradziła Zanda. – Żadnemu nie można ufać.

Potrząsnąłem głową.

– Nie możemy zabić z zimną krwią nieuzbrojonych ludzi.

– Jeśli tego nie zrobisz, nie pozwolą nam stąd uciec, nawet jeśli wydostaniemy się z tego pomieszczenia. Zatrzyma nas ktoś inny na dole.

– Mam lepszy plan – powiedziałem i nie tracąc czasu związałem obu mocno ich własnymi uprzężami. Następnie zrobiłem to samo z Fal Sivasem, który nie był martwy, a tylko ogłuszony. Zakneblowałem całą trójkę, żeby nie mogli wzywać pomocy.

Skończywszy, powiedziałem Zandzie, żeby poszła za mną i udałem się prosto do hangaru.

– Po co tu przyszliśmy? – zapytała. – Przecież musimy jak najszybciej się stąd wydostać... Zabierzesz mnie ze sobą, prawda?

– Oczywiście, a wydostaniemy się stąd bardzo szybko. Chodź, może przydasz mi się przy bramie! – Ruszyłem do wielkiej bramy na końcu hangaru. Na szczęście, działała jak trzeba i po zdjęciu rygla z łatwością odsunęliśmy na bok jej skrzydła.

Zanda podeszła do otworu i wyjrzała na zewnątrz. – Tędy nie uciekniemy. Do ziemi jest pewnie pięćdziesiąt stóp, a nie ma drabiny ani innego zejścia.

– Mimo to, skorzystamy z tego wyjścia – powiedziałem, ubawiony jej dezorientacją. – Chodź ze mną, a przekonasz się w jaki sposób.

Podeszliśmy do burty statku i muszę przyznać, że daleko mi było do poczucia pewności, jakie próbowałem markować, skupiając myśli na metalowej kuli mieszczącej mechaniczny mózg statku.

Serce zamarło we mnie na chwilę podczas oczekiwania, po czym ogarnęła mnie wielka fala ulgi, ponieważ drzwi otworzyły się i na podłogę hangaru opadła sznurowa drabinka.

Zanda przyglądała się temu w zdumieniu, szeroko otwartymi oczami.

– Kto tam jest? – zapytała.

– Nikt. A teraz wsiadaj prędko. Nie mamy czasu, żeby się tu zatrzymywać.

Widać było po niej, że bała się, ale posłuchała mnie jak dobry żołnierz, a ja wdrapałem się za nią do kabiny. Następnie poleciłem mózgowi, żeby wciągnął drabinę i zamknął drzwi, a sam podążyłem do sterowni, ciągnąc za sobą Zandę.

Tutaj ponownie skupiłem myśli na wiszącym nad moją głową urządzeniu. Nawet wiedząc, czego zdołałem już dokonać, nie byłem przekonany o realności zdarzeń. Wydawało mi się niemożliwe, że martwe urządzenie potrafiło podnieść statek z rusztowania i wyprowadzić go

bezpiecznie przez bramę, a jednak ledwo o tym pomyślałem, pojazd uniósł się o kilka stóp i ruszył niemal bezgłośnie w stronę otworu w murze.

Kiedy wylecieliśmy w cichą noc, Zanda zarzuciła mi ramiona na szyję.

– Och, Vandorze! Ocaliłeś mnie ze szponów tego potwora. Jestem wolna! Wolna! Do końca życia będę twoją niewolnicą! Rób ze mną, co zechcesz!

Widziałem, że była mocno podekscytowana.

– Mówisz pod wpływem emocji, Zando – powiedziałem kojącym tonem.

– Niczego mi nie zawdzięczasz. Jesteś wolną kobietą. Nie jesteś już niewolnicą – ani moją ani żadnego innego człowieka.

– Chcę być twoją niewolnicą. Vandorze – powiedziała, po czym bardzo cicho dodała: – Kocham cię.

Delikatnie zdjąłem jej ramiona z szyi.

– Nie wiesz, co mówisz. Ponosi cię wdzięczność. Nie możesz mnie kochać, bowiem moje serce należy do innej. Istnieje jeszcze inny powód, dla którego nie wolno ci tak mówić. Poznasz go prędzej czy później, a wtedy żałowałabyś, że nie odjęło ci mowy, zanim wypowiedziałś te słowa.

Oczywiście, miałem na myśli jej nienawiść do Johna Cartera i pragnienie, aby zabić go przy pierwszej okazji.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła. – Ale jeśli zabraniasz mi cię kochać, postaram się okazać ci posłuszeństwo, ponieważ bez względu na to, co mówisz jestem twoją niewolnicą. Zawdzięczam ci życie i zawsze już nią będę.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej; teraz muszę powiedzieć ci coś, po czym pożałujesz być może, że nie zostałam w domu Fal Sivasa.

Ściągnęła brwi i posłała mi pytające spojrzenie.

– Kolejna tajemnica? Znowu mówisz zagadkami.

– Udamy się tym statkiem w długą i niebezpieczną podróż, Zando. Muszę zabrać cię ze sobą, ponieważ nie mogę narażać się na wykrycie

wysadzając w mieście, a wypuszczając cię poza murami, podpisałbym na ciebie wyrok śmierci.

– Nie chcę żebyś mnie gdziekolwiek wysadzał! Polecę wszędzie tam, gdzie ty. Pewnego dnia mogę ci się przydać, a wtedy ucieszysz się, że jestem przy tobie.

– Czy wiesz, gdzie lecimy?

– Nie i nie obchodzi mnie to. Nie zrobiłoby to żadnej różnicy nawet gdybyś leciał na Thurię.

Usłyszawszy to, uśmiechnąłem się i ponownie skupiłem się na mechanicznym mózgu, polecając mu zabrać nas w miejsce, gdzie czekał Jat Or. W tej samej chwili rozległo się nad nami zawodzenie statku patrolowego.

NATHURIE!

Choć zdawałem sobie sprawę, że nasz niezwykły statek mógł zostać zauważony przez patrol, miałem nadzieję, że uda nam się uniknąć tego i niepostrzeżenie opuścić miasto. Wiedziałem, że jeśli nie zatrzymamy się na wezwanie, mogli otworzyć do nas ogień, a wystarczyłoby jedno trafienie, żeby udaremnić wszelkie plany dotarcia na Thurię i ratowania mojej księżniczki.

Choć opisane przez Fal Sivasa uzbrojenie statku zapewniłoby mi miażdżącą przewagę w starciu z patrolowcem, wzbraniałem się przed podjęciem walki, ponieważ wystarczyłoby szczęśliwy traf, aby przeciwnik nas unieruchomił.

Fal Sivas chełpił się potencjalnie wysoką prędkością, jaką mógł osiągnąć jego wynalazek, i uznałem, że choć ucieczka przed nieprzyjacielem nie leżała w mojej naturze, w tej chwili wydawała się najbezpieczniejszym rozwiązaniem.

Zanda przycisnęła twarz do jednego z mniejszych okienek w burcie statku. Odgłos syreny rozbrzmiewał teraz bez przerwy: niesamowite, groźne zawrodożenie, rozdzierające nocne powietrze jak sztylety.

– Doganiają nas! – powiedziała Zanda. – I wzywają na pomoc inne patrole!

– Pewnie zauważyli dziwny kształt statku, który wzbudził nie tylko ich ciekawość, ale też podejrzenia.

– Co chcesz zrobić?

– Sprawdzę, jak się spisze napęd Fal Sivasa.

Zerknąłem w górę na zawieszoną nade mną metalową kulę. „Przyspiesz! Szybciej! Uciekaj przed pościgiem!” – takie myśli posłałem w stronę milczącego przedmiotu i czekałem.

Oczekiwanie nie trwało długo. Zaledwie moje fale mózgowe dotarły do czułego mechanizmu, szybsza praca niemal bezgłośnego silnika zdradziła, że maszyna wykonała moje polecenia.

– Przeszali nas doganiać! – zawołała podekscytowana Zanda. – Zostawiamy ich z tyłu.

O nasze uszy uderzyło szybkie staccato ognia broni palnej. Patrol zaczął nas ostrzeliwać! Niemal równocześnie, zmieszane z odgłosami wystrzałów, dotarło z oddali zawrodoenie kolejnych syren, zdradzające że nadciągały posiłki.

Pęd powietrza przy burtach świadczył o ogromnej prędkości, z jaką lecieliśmy. Światła miasta zbladły daleko w tyle. Reflektory statków patrolowych zmieniły się w zwężające się prędko wstęgi światła, przecinające rozgwieżdżone niebo.

Nie wiem, jak szybko lecieliśmy, ale osiągnęliśmy zapewne około 1350 haadów na godzinę.

Mknęliśmy nisko nad dnem dawnego morza na zachód od miasta. Po najwyżej pięciu minutach statek zwolnił raptownie i ujrzałem niewielki pojazd unoszący się tuż przed nami w powietrzu.

To musiał być czekający na nas Jat Or, wydałem więc polecenie, żeby mózg podprowadził nas do jego burty i zatrzymał się.

Pojazd reagował na moje myśli z niesamowitą szybkością, a kiedy podeszliśmy do statku Jat Ora i na pozór widmowe dłonie otworzyły drzwi w burcie, doświadczyłem przez chwilę poczucia grozy, jakbym znalazł się w mocy jakiegoś bezdusznego monstrum Frankensteina – i to mimo wiedzy, że wykonując wszystkie te czynności, statek reagował tylko na moje polecenia.

Jat Or stał na wąskim pokładzie dwuosobowej jednostki, wpatrując się w zdumieniu w dziwny pojazd, który zatrzymał się przy jej burcie.

– Gdybym się tego nie spodziewał, zwiewałbym już do Helium – powiedział. – Naprawdę groźnie wygląda z tymi wielkimi ślepiami, które

sprawiają, że przypomina jakiegoś potwora nie z tego świata.

– To wrażenie spotęguje się, kiedy spędzisz jakiś czas na pokładzie. Statek jest niesamowity pod wieloma względami.

– Chcesz, żebym od razu wszedł na pokład?

– Tak, kiedy tylko zrobimy coś z twoim statkiem.

– Co takiego? Porzucimy go?

– Ustaw kompas nawigacyjny na Helium i nastaw silnik na pół mocy. Kiedy ruszysz, podejmiemy znów do burty i zabierzemy cię na pokład. przechwyci Jakiś patrol przechwyci go w Helium i odprowadzi do mojego hangaru.

Zrobił, jak kazałem, a kiedy wystartował, poleciłem mechanicznemu mózgowi, żeby podleciał do jego burty. Po chwili młody padwar wszedł do kabiny statku Fal Sivasa.

– Wygodnie tu – zauważył. – Staruszek musi być niezłym sybarytą.

– Lubił wygodę – odpowiedziałem. – Ale to zamiłowanie do luksusu rozmiękczyło go do tego stopnia, że kiedy skończył prace nad statkiem, bał się nim polecieć.

Jat Or odwrócił się, żeby rozejrzeć się po kabinie. Przypadkiem trafił wzrokiem na drzwi w burcie dokładnie w chwili, kiedy poleciłem mózgowi je zamknąć. Zawołał głośno ze zdziwienia.

– Na wszystkich przodków! Kto je zamknął? Nikogo tu nie widzę, a od kiedy wszedłem na pokład, nie poruszyłeś się ani nie dotknąłeś żadnego urządzenia.

– Chodź za mną, a pokażę ci całą załogę tego statku, która spoczywa w metalowej osłonie niewiele większej od twojej pięści.

Kiedy weszliśmy do sterówki, Jat Or po raz pierwszy zobaczył Zandę. Zauważyłem zaskoczenie w jego oczach, ale był zbyt uprzejmy, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Poznaj Zandę – wyjaśniłem. – Fal Sivas miał pozbawić jej dziś wieczór czaszki dla dobra nauki, kiedy mu przerwałem. Biedaczka musiała

wybrać mniejsze zło, więc poleciała ze mną.

– To nieco błędne twierdzenie – powiedziała Zanda. – Poleciałabym z Vandorem na koniec wszechświata, nawet gdyby moje życie nie było w niebezpieczeństwie i otaczały mnie wszelkie zbytki i luksusy.

– Jak widzisz, ta młoda dama nie zna mnie zbyt dobrze, Jat Orze – powiedziałem. – Kiedy już mnie pozna, zapewne zmieni zdanie.

– Nigdy! – oznajmiła Zanda.

– Poczekaj, a przekonasz się – ostrzegłem.

Podczas podróży z Helium do Zodangi objaśniłem Jat Orowi działanie cudownego mechanizmu, który Fal Sivas nazwał mechanicznym mózgiem i widziałem, że młody padwar wędrował wzrokiem po sterowni w poszukiwaniu wynalazku.

– Tam – powiedziałem, wskazując wiszącą na dziobie metalową kulę.

– To małe urządzenie kieruje statkiem i otwiera drzwi?

– Statek napędzają silniki, a inne mechanizmy otwierają drzwi i zajmują się różnymi, innymi działaniami. Mózg po prostu powoduje nimi, tak samo jak nasz umysł kieruje dłońmi przy wykonywaniu pewnych czynności.

– Czy ta rzecz myśli?

– Na pierwszy rzut oka działa dokładnie jak ludzki mózg. Różnica polega tylko na tym, że nie jest zdolny do samodzielnego myślenia.

Stał w milczeniu, wpatrując się w kulę przez kilka chwil.

– To dziwne – stwierdził w końcu. – Czuję się bezradny, jakbym znalazł się w mocy jakiegoś wszechpotężnego stworzenia, które mimo to nie potrafi samodzielnie rozumować.

– Mam podobne odczucia – odpowiedziałem. – Mogę tylko domyślać się, do czego byłby zdolny, gdyby posiadał tę umiejętność.

– Ja również drzę na samą myśl o tym, o ile Fal Sivas przelał w niego choć część swojej bezwzględności – powiedziała Zanda.

– To jego dzieło – przypomniałem.

- Zatem miejmy nadzieję, że nigdy nie zacznie myśleć samodzielnie.
- To, rzecz jasna, zupełnie niemożliwe – stwierdził Jat Or.
- Tego nie wiem – odpowiedziała. – Fal Sivas miał taki zamiar. Wiem, że nad tym pracował, ale nie mam pojęcia, czy udało mu się usamodzielnić tę maszynę. Na pewno chciał dokonać nie tylko tego, ale również obdarzyć ten straszny wynalazek mową.
- Dlaczego straszny? – zapytał Jat Or.
- Ponieważ jest całkowicie nieludzki i nienaturalny. Umysł Fal Sivas nie mógł zrodzić nic dobrego. To, co widzisz, to owoc nienawiści, pożądania i chciwości, stworzony przez niego dla ich zaspokojenia. Jego stworzeniu nie towarzyszyły żadne szlachetne, wzniosłe myśli i nie potrafiłyby ich w sobie wzbudzić, nawet gdyby był zdolny do samodzielnego myślenia.
- Za to nasz cel jest szczytny i zgodny z poczuciem honoru – przypomniałem. – A skoro urządzenie pomaga nam spełnić nasze nadzieje, automatycznie staje się dobre.
- Mimo wszystko boję się go – powiedziała. – I nienawidzę, bo przypomina mi o Fal Sivasie.
- Mam nadzieję, że nie rozmyśla teraz nad tymi szczerymi wyznaniem – zauważył Jat Or.
- Zanda zakryła usta dłonią, a w jej oczach pojawiło się na nowo poczucie grozy.
- O tym nie pomyślałam. Może nawet w tej chwili planuje zemstę.
- Mimowolnie roześmiałem się z jej obaw.
- Gdyby przez to urządzenie spotkało nas coś złego – powiedziałem – możesz zgonić winę na mnie, ponieważ dopóki statek pozostaje w moim posiadaniu, to ja nim kieruję.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz i że zanieś nas bezpiecznie tam, gdzie chcesz.

– A co, kiedy dolecimy na Thurię? – przerwał Jat Or. – Trochę o tym myślałem, od kiedy powiedziałaś, gdzie się wybieramy. No wiecie, zastanawiałem się, jak poradzimy sobie na tym maleńkim globie. Będziemy przecież nieproporcjonalnie wielcy w stosunku do wszystkiego, co możemy tam zastać.

– Możliwe, że będzie inaczej – powiedziałem i objaśniłem mu teorię kompensacji masy słowami Fal Sivas.

– To niedorzeczne – stwierdził.

Wzruszyłem ramionami.

– Sam też tak myślę, ale bez względu na pogardę, jaką żywimy dla charakteru starego, nie da się zaprzeczyć, że to świetny naukowiec i powstrzymam się z osądem, dopóki nie staniemy na powierzchni Thurii.

– Przynajmniej bez względu na panujące tam warunki, porywacze księżniczki nie będą mieli nad nami przewagi, o ile ich znajdziemy.

– Sądzisz, że moglibyśmy ich nie znaleźć?

– To tylko domysły – odpowiedział – ale wydaje mi się niemożliwe, żeby dwóch wynalazców pracując niezależnie od siebie wymyśliło i zbudowało dwa identyczne statki, zdolne do przebycia próżni między Barsoom a Thurią pod kierownictwem mechanicznego mózgu.

– Na ile wiem statek Gar Nala nie posiada takiego urządzenia. Fal Sivas nie sądzi, aby jego rywal je stworzył. Nie wydaje mu się, aby podobna możliwość choćby przyszła mu do głowy, więc można założyć, że sam kieruje swoim statkiem, a w każdym razie musi to robić człowiek.

– A zatem kto ma większe szanse na dotarcie na Thurię?

– Zdaniem Fal Sivas nie ma żadnych wątpliwości: mechaniczny mózg jest nieomylny.

– Wychodząc z tego założenia, musimy przyjąć ewentualność, że ludzki umysł Gar Nala może mylić się w obliczeniach.

– Co masz na myśli?

– Przyszło mi właśnie do głowy, że wskutek błędu w obliczeniach Gar Nal mógł nie trafić na Thurię, podczas gdy nasz statek, kierowany przez nieomylny mózg, na pewno tam dotrze.

– O tym nie pomyślałem – stwierdziłem. – Do tego stopnia byłem pochłonięty myślami o tym, dokąd Gar Nal i Ur Jan zabierali Dejah Thoris, że nie dopuszczałem nawet możliwości, że mogli wcale tam nie polecieć.

Poczułem zaniepokojenie, bowiem dopiero teraz dotarło do mnie, w jak rozpaczliwej sytuacji byśmy się znaleźli, gdybyśmy po dotarciu na księżyc odkryli, że Dejah Thoris tam nie było. Gdzie miałbym jej wtedy szukać? Jak znaleźć w nieskończonych otchłaniach kosmosu? Szybko odsunąłem te myśli na bok, ponieważ troska to niszczycielska siła, którą zawsze starałem się eliminować z mojej filozofii życiowej.

Zanda spojrzała na mnie z zaskoczoną miną.

– Naprawdę polecimy na Thurię? Nie rozumiem, po co ktoś miałby to zrobić, ale skoro tego chcesz, będę tam szczęśliwa. Kiedy startujemy?

– Jesteśmy już w drodze – odpowiedziałem. – Kiedy tylko Jat Or wszedł na pokład, wydałem polecenie, aby statek poleciał tam z pełną prędkością.

THURIA

Trochę później, kiedy mknęliśmy przez zimną i ciemną otchłań kosmosu, namówiłem Zandę i Jat Ora, żeby położyli się i odpoczęli.

Choć nie zabraliśmy ze sobą pośłań, nie dokuczało nam to zbytnio, ponieważ temperatura w kabinie była odpowiednia. Po tym, jak opuściliśmy Barsoom, poleciłem mózgowi, żeby kontrolował ją, podobnie jak zapas tlenu.

Kabina była wyposażona w wąskie, lecz wygodne sofy z pewną ilością miękkich poduszek, nie było więc powodu, żeby któreś z nas cierpiało podczas podróży niewygody.

Opuściliśmy Barsoom około pół zoda po siódmej, co odpowiada północy czasu ziemskiego, a przybliżone zestawienie odległości, jaką musieliśmy pokonać, z szacowaną prędkością sugerowało, że dotrzemy na Thurię około południa następnego dnia.

Jat Or chciał czuwać cały ten czas, ale obstawałem przy tym, aby zdrzemnęli się obydwój, kiedy więc obiecałem obudzić go po pięciu godzinach, udał się na spoczynek.

Kiedy moi towarzysze podróży spali, zbadałem wnętrze statku nieco dokładniej niż za pierwszym razem, kiedy oprowadzał mnie po nim Fal Sivas.

Znalazłem na pokładzie przyzwoity zapas żywności, a w ładowni trafiłem również na skrzynię z pościelą. Najbardziej jednak zainteresowała mnie, rzecz jasna, broń. Znalazłem długie i krótkie miecze, sztylety oraz pewną liczbę niezwykłych marsjańskich karabinów radowych i pistoletów ze sporą ilością amunicji.

Wyglądało na to, że Fal Sivas pomyślał o wszystkim, a jednak cała jego pomysłowość, troska i zapobiegliwość nie zdałyby się na nic, gdybym nie

porwał statku. Tchórzostwo nie pozwoliłoby mu z niego skorzystać, a rzecz jasna nie pozwoliłby lecieć nim komuś innemu, nawet gdyby wierzył, że ktokolwiek poza nim potrafiłby nim kierować, co uważał za niemożliwe.

Skończywszy przegląd, poszedłem do sterowni i wyjrzałem przez jedno z wielkich okien. Niebo było czarną pustką, usianą zimnymi, lśniącymi punktami światła. Oglądane poza atmosferą planety, gwiazdy wyglądały zupełnie inaczej.

Szukałem Thurii, ale nigdzie jej nie widziałem. Poczułem wstrząs. Czyżby mechaniczny mózg zawiódł i kiedy traciłem czas na przegląd statku, postanowił zabrać nas w odległe zakątki kosmosu?

Stojąc w obliczu zagrożenia, zwykle nie tracę głowy i nie wpadam w histerię. Nie mam też skłonności do pochopnej oceny sytuacji z wyjątkiem chwil, które wymagają błyskawicznego działania. Na ogół wolę przemyśleć sprawy uważnie, usiadłem więc na ławie w sterowni, żeby rozwiązać tę zagadkę.

Dokładnie w tej samej chwili wszedł tam Jat Or.

– Jak długo spałem? – zapytał.

– Niedługo. Lepiej wracaj i prześpij się jeszcze, ile zdołasz.

– Nie jestem senny. Właściwie trudno myśleć o śnie w trakcie tak ekscytującej przygody. Pomyśl tylko, książę...

– Vandorze – przypomniałem.

– Zdarza mi się zapomnieć. Tak czy owak, jak mówiłem, pomyśl tylko o ogromnych możliwościach, jakie stwarza nasza przygoda i sytuacja, w jakiej...

– Właśnie to robię – odpowiedziałem posępnym tonem.

– Za kilka godzin znajdziemy się tam, gdzie nie postawił nogi żaden z mieszkańców Barsoom.

– Nie jestem co do tego przekonany.

– Co masz na myśli?

– Spójrz przed siebie. Widzisz Thurię?

Wyrzął przez jedno okno, po czym podszedł do drugiego. – Nie – odpowiedział.

– Ja również. A zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Chcesz powiedzieć, że nie lecimy na Thurię? Mózg się pomylił?

– Nie wiem.

– Jak daleko jest z Barsoom na Thurię?

– Nieco ponad 15 700 haadów. Oszacowałem, że powinniśmy dolecieć tam po upływie około pięciu zodów.

Dokładnie wtedy po prawej stronie pojawiła się Thuria, a na jej widok Jat Or wydał okrzyk ulgi.

– Mam! – powiedział głośno.

– Co takiego?

– Mechaniczny mózg działa o wiele lepiej niż nasze. W trakcie dziesięciu zodów doby, Thuria okrąży planetę ponad trzy razy, a zatem kiedy lecieliśmy na jej orbitę wykonała około półtora obrotu.

– Sądzisz, że mechaniczny mózg to uwzględnił?

– Niewątpliwie, i dopasował naszą trajektorię w ten sposób, abyśmy przecięli orbitę księżyca.

Podrapałem się w głowę.

– To nasuwa kolejne pytanie, o którym nie pomyślałem.

– Jakie? – zapytał Jat Or.

– Lecimy mniej więcej z szybkością 3250 haadów na zod, podczas gdy w tym samym czasie Thuria pokonuje ponad 41 250 haadów.

Gwizdnął głośno.

– Ponad dwanaście i pół razy szybciej od nas. W jaki sposób ją dogonimy, na wszystkich przodków?

Machnąłem z rezygnacją.

– Wygląda na to, że musimy pozostawić to mózgowi.

– Mam nadzieję, że nie ustawi nas na drodze tej rozpędzonej niszczycielskiej masy.

– Gdybyś to ty sam kierował statkiem, jakbyś wylądował? – zapytałem.

– Musiałbym uwzględnić ciężenie satelity.

– Zgadza się! Kiedy dostaniemy się w strefę jego grawitacji, pociągnie nas ze sobą z tą samą prędkością, z jaką się porusza, a wtedy będziemy mogli najzwyczajniej w życiu wylądować.

Jat Or spojrział na widoczną po prawej wielką kulę Thurii.

– Jest taka ogromna – powiedział. – Wydaje się niemożliwe, żebyśmy byli aż tak blisko.

– Zapominasz, że w miarę zbliżania się do niej zaczęliśmy się zmniejszać, dostosowując się do jej wielkości. Kiedy dotrzemy na powierzchnię, o ile to nastąpi, widziana z poziomu gruntu będzie wydawała się nam równie wielka, jak Barsoom.

– Wszystko to przypomina jakiś szalony sen – stwierdził Jat Or.

– Zgadzam się z tobą w pełni, ale musisz przyznać, że to bardzo ciekawy sen.

Mknęliśmy przez kosmos, podczas gdy Thuria pędziła przed dziobem statku, znikając w końcu pod wschodnią krawędzią planety, która leżała teraz daleko w dole. Po zakończeniu kolejnego okrążenia Barsoom, mieliśmy znaleźć się w strefie jej przyciągania i dopiero wtedy przekonać się, czym skończy się ten etap naszej przygody.

Nalegałem, żeby Jat Or wrócił do kabiny i przespał się jeszcze kilka godzin, ponieważ żaden z nas nie wiedział, co nas czekało w przyszłości i do jakiego stopnia mieliśmy potrzebować rezerw naszych sił fizycznych i intelektualnych.

Później zawołałem Jat Ora i sam udałem się na spoczynek. Zanda spała spokojnie przez cały ten czas i obudziła się dopiero, kiedy wyspałem się i wróciłem do sterowni.

Jat Or siedział z twarzą przyklejoną do okna w prawej burcie. Nie obejrzał się na mnie, ale najwyraźniej usłyszał, jak wszedłem do kabiny.

– Jest coraz bliżej – powiedział spiętym szeptem. – Na Issus! Co za widok!

Podszedłem do okna i zajrzałem mu przez ramię. Zobaczyłem przed sobą wielki glob, którego krawędź rysowała się półksiężycem w świetle ukrytego za nim słońca. Wydawało mi się, że dostrzegam niewyraźne zarysy gór i dolin, jaśniejsze przestrzenie, które mogły być piaszczystymi pustyniami lub dawnym dnem morskim, oraz ciemne masy, którymi mogły być puszcze. Nowy świat! Świat, gdzie nie dotarł jeszcze nikt z Ziemi ani Marsa.

Na myśl o czekającej mnie przygodzie byłbym pewnie przejęty do tego stopnia, że nie zdołałbym oddać tego słowami, gdyby nie fakt, że moje myśli spowijał obłok troski o los Dejah Thoris, który przytłaczał wszelkie inne sprawy, choć nie stłumił do reszty poczucia niezwyklej tajemnicy, jaką wzbudzał widok nowego świata.

Zanda dołączyła do nas, a ujrawszy Thurię, zawołała cicho z przejęcia.

– Jesteśmy bardzo blisko – powiedziała.

Skinąłem głową.

– Niedługo dowiemy się, co nas czeka. Boisz się?

– Nie, dopóki jestem z tobą – odpowiedziała prosto z mostu.

Niedługo zauważyłem, że nasz kurs uległ zmianie. Księżyc był teraz nie z przodu, a dokładnie pod nami. Znaleźliśmy się w strefie jego przyciągania i zaczął wlec nas za sobą przez kosmos.

Zaczęliśmy schodzić po spirali; mechaniczny mózg sprawował się idealnie.

– Nie podoba mi się pomysł lądowania na nieznanym świecie w nocy – powiedział Jat Or.

– Sam nie jestem do tego entuzjastycznie nastawiony – przyznałem mu rację. – Myślę, że lepiej będzie zaczekać do rana.

Poleciłem mózgowi, żeby sprowadził nas na wysokość około dwustu haadów od powierzchni satelity i leciał powoli w kierunku zbliżającej się linii świtu.

– Zjedzmy coś, póki czekamy na światło dzienne – zasugerowałem.

– Czy na pokładzie jest jedzenie, panie? – zapytała Zanda.

– Owszem, w ładowni na rufie.

– Przygotuję posiłek i podam go w kabinie.

Kiedy wyszła ze sterowni, Jat Or odprowadził ją wzrokiem.

– Nie wygląda na niewolnicę – stwierdził. – Mimo to zwraca się do ciebie, jakby nią była.

– Powiedziałem jej, że jest wolna, ale upiera się przy tym, żeby tak się zachowywać. Była niewolnicą w domu Fal Sivasa i została mi przydzielona jako sługa. W rzeczywistości to córka drobnego szlachcica: dobrze wychowana, inteligentna i kulturalna dziewczyna.

– I bardzo piękna – dodał Jat Or. – Chyba cię kocha, księżę.

– Możliwe, że uważa to za miłość, ale to tylko wdzięczność. Gdyby dowiedziała się kim jestem, to uczucie zmieniłoby się od razu w nienawiść. Przysięgła zabić Johna Cartera.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ podbił Zodangę, a wszystkie jej zgryzoty wzięły się z upadku miasta. Ojciec poległ w bitwie, a pogrążona w żałobie matka udała się w ostatnią pielgrzymkę na falach Iss. Jak widzisz, ma słuszny powód, żeby mnie nienawidzić, tak przynajmniej sądzi.

Zanda zawołała nas wkrótce do kabiny, gdzie przygotowała posiłek na rozkładanym stole.

Chciała podawać nam, ale uparłem się, żeby usiadła z nami i zjadła.

– To niestosowne, żeby niewolnica siadała do stołu ze swoim panem – powiedziała.

– Powtarzam ci po raz kolejny, że nie jesteś moją niewolnicą. Jeśli będziesz upierać się przy tym nedorzecznym zachowaniu, będę musiał cię

oddać. Może Jat Orowi? Co ty na to?

Podniosła wzrok na siedzącego naprzeciwko młodego, przystojnego padwara.

– Możliwe, że byłby dla mnie dobry – powiedziała. – Ale tylko dla ciebie mogę być niewolnicą.

– Ale co byś poradziła, gdybym mu cię oddał? Co byś mogła zrobić?

– Zabiłabym jego albo siebie.

Roześmiałem się i pogłaskałem ją po dłoni.

– Nie oddałbym cię, nawet gdybym mógł.

– Gdybyś mógł? A dlaczego nie możesz?

– Ponieważ nie można nikomu oddać wolnej kobiety. Powiedziałem już, że jesteś wolna, a teraz powtarzam to w obecności świadka. Znasz zwyczaj Barsoom, Zando. Teraz jesteś teraz wolna, czy chcesz tego czy nie.

– Nie chcę tego, ale skoro taka jest twoja wola, niech będzie.

Milczała przez chwilę, po czym podniosła na mnie wzrok. – Skoro nie jestem już twoją niewolnicą, to kim jestem?

– Obecnie: towarzyszką przygody, dzielącą z nami na równi wszelkie radości i troski, jakie czekają nas w przyszłości.

– Obawiam się, że będę bardziej zawadą niż pomocą, ale mogę posługiwać ci i gotować. A przynajmniej robić to, czym zwykle zajmują się kobiety.

– W takim razie będziesz bardziej pomocą niż przeszkodą. A żeby mieć pewność, że cię nie stracimy, polecę Jat Orowi, żeby cię chronił. Od teraz odpowiada za twoje bezpieczeństwo.

Widziałem, że te słowa sprawiły mu przyjemność, ale nie wiedziałem, co pomyślała o nich sama Zanda. Sprawiała wrażenie lekko urażonej, ale posłała zaraz w stronę padwara słodki uśmiech, jakby obawiała się, że domyślał się jej uczuć i nie chciała go zranić.

Kiedy lecieliśmy nad powierzchnią, widziałem pod nami lasy i wijące się meandrami jasne linie, które wziąłem za strumienie lub rzeki, w oddali

zaś widać było góry. Thuria wyglądała na piękny i intrygujący świat.

Nie byłem pewny obecności wody, ponieważ na Barsoom uważano powszechnie, że na jego praktycznie nie występowała. Wiedziałem jednak, że naukowcy nie byli nieomylni.

Zaczynałem się niecierpliwić. Wydawało się, że ranek nigdy nie nadejdzie, w końcu jednak zza szczytów górskich przed nami wstał pierwszy brzask i szczegóły niezwykłego świata zaczęły powoli nabierać kształtów, jak na zdjęciu zanurzonem w wywoływaczu.

Patrzyliśmy na zalesioną dolinę, za którą pokryte bujną roślinnością wzgórza ciągnęły się w stronę widocznych w oddali wyższych szczytów.

Kolory przypominały te występujące na Barsoom: szkarłatne trawy i wspaniałe drzewa o niezwykłych barwach, ale jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać żywych stworzeń.

– Tu musi być jakieś życie – powiedziała Zanda, kiedy Jat Or skomentował to głośno. – Całe to bogactwo piękna musiało powstać dla żywych oczu, które mogłyby oglądać je i podziwiać.

– Lądujemy? – zapytał Jat Or.

– Przylecieliśmy znaleźć statek Gar Nala – odpowiedziałem. – Musimy go najpierw poszukać.

– To będzie jak szukanie koralika w mchu na dnie martwego morza – stwierdził.

Przytaknąłem.

– Obawiam się, że tak, ale przybyliśmy tu tylko i wyłącznie w tym celu.

– Patrzcie! – zawołała Zanda. – Co to jest, tam przed nami?

NIEWIDZIALNY NIEPRZYJACIEL

Spoglądając we wskazanym przez nią kierunku, ujrzałem coś, co wyglądało na wielki budynek na brzegu rzeki. Gmach stał na otwartym terenie pośród lasu, a w miejscu, gdzie wschodzące słońce trafiało na jego wieże, rozpalały się one wielobarwnymi promieniami światła.

Część budynku wychodziła na otoczony murami dziedziniec, gdzie spoczywał przedmiot, który rozpałił w nas ciekawość i poruszenie w o wiele większym stopniu niż sam budynek.

– Jak myślisz, co to jest Zando? – zapytałem, ponieważ to ona go zauważyła.

– Chyba statek Gar Nala.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Jat Or.

– Ponieważ jest bardzo podobny do tego pojazdu. Gar Nal i Fal Sivas kradli sobie nawzajem pomysły, kiedy tylko mogli, i byłabym naprawdę zdumiona, gdyby ich statki nie były do siebie podobne.

– Na pewno masz rację – powiedziałem. – Nierozsądnie byłoby zakładać, że jakimś cudownym zbiegiem okoliczności mieszkańcy Thurii zbudowali pojazd tak podobny do konstrukcji Fal Sivasa. Równie odległa jest możliwość, że wylądował tu jakiś trzeci statek z Barsoom.

Poleciłem statkowi zejść niżej i wkrótce unosiliśmy się na wysokości zapewniającej lepszy widok na szczegóły budynku i okolicy.

Im bardziej zbliżaliśmy się do spoczywającego na dziedzińcu statku, tym bardziej byliśmy pewni, że należał do Gar Nala. Nigdzie jednak nie było widać samego wynalazcy ani Ur Jana, czy Dejah Thoris. Właściwie w samym budynku ani w jego otoczeniu nie zauważyliśmy śladów życia. Gmach mógł równie dobrze być miejscem spoczynku umarłych.

– Wyląduję obok statku – powiedziałem. – Sprawdź broń, Jat Orze.

– Jestem gotów – odparł.

– Nie wiem, ilu jest tam ludzi – ciągnąłem. – Możliwe, że tylko Gar Nal i Ur Jan, ale może być ich więcej. Jeśli starcie rozstrzygnie się na naszą korzyść, nie zabijamy wszystkich, dopóki nie będziemy pewni, że księżniczka jest z nimi. Odlecieli z Barsoom co najmniej dzień przed nami, a choć to mało prawdopodobne, do tego czasu mogli się jej pozbyć. Dlatego musimy zostawić przy życiu przynajmniej jednego, żeby zaprowadził nas do niej.

Opadaliśmy powoli, obserwując czujnie powierzchnię. Zanda wyszła na chwilę ze sterowni, po czym wróciła ubrana w uprząż z pełnym uzbrojeniem marsjańskiego wojownika.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytałem.

– Dodatkowy miecz może wam się przydać. Nie wiesz, z iloma wrogami przyjdzie wam walczyć.

– Noś to, jeśli chcesz, ale zostaniesz na statku. Tu będziesz bezpieczna. Walką zajmiemy się Jat Or i ja.

– Pójdę i będę walczyć z wami – odpowiedziała, cicho ale stanowczo.

Potrząsnąłem głową.

– Nie! Zrobisz, co mówię, i zostaniesz tutaj.

Spojrzała mi spokojnie w oczy.

– Wbrew mojej woli upierałeś się, żeby uczynić mnie wolną kobietą – przypomniała. – Teraz zachowam się w sposób godny wolnej kobiety, a nie niewolnicy. Zrobię, co zechcę.

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

– Bardzo dobrze – stwierdziłem. – Ale jeśli pójdiesz z nami, będziesz musiała ryzykować życiem, jak każdy wojownik. Możliwe, że obaj będziemy zbyt zajęci walką, żeby cię chronić.

– Potrafię o siebie zadbać – odpowiedziała z prostotą.

– Proszę, zostań na pokładzie – błagał Jat Or z troską w głosie, ale pokręciła tylko głową.

Statek osiadł cicho na ziemi obok pojazdu Gar Nala. Kazałem mu otworzyć drzwi w lewej burcie i wypuścić drabinę. Na statku wynalazcy ani w zamku nadal nie było widać znaku życia. Martwa cisza zalegała nad całą sceną jak ciężki płaszcz.

Stałem w drzwiach na krótką chwilę, wyglądając na zewnątrz, po czym zszedłem na powierzchnię, prowadząc za sobą moich towarzyszy.

Przed nami wznosił się zamek – niesamowita, dziwna budowla o nieznanym na Marsie kształcie, złożona z najrozmaitszych wież, z których część stała samotnie, inne zaś tworzyły grupy.

Mury gmachu, potwierdzając po części teorię Fal Sivasa o ogromnym bogactwie mineralnym satelity, wzniesiono z bloków kamieni szlachetnych ułożonych w ten sposób, że ich olśniewające barwy łączyły się ze sobą i harmonizowały w wymykającej się wszelkim próbom opisu feerii barw.

Ale obrzuciłem uroki zamku zaledwie przelotnym spojrzeniem, skupiając całą uwagę na statku Gar Nala. Drzwi w burcie, podobne do naszych, były otwarte i zwisała z nich dotykająca gruntu drabina sznurowa.

Wiedziałem, że wchodząc po niej, ryzykowałbym bardzo, gdyby ktoś zaatakował mnie z góry, ale nie było innego wyjścia. Musiałem sprawdzić, czy ktoś był na pokładzie.

Poprosiłem Zandę, żeby ustawiła się w niewielkiej odległości tak, aby widzieć wnętrze statku i móc mnie ostrzec, gdyby pojawił się w nim jakiś wróg, po czym wspiałem się szybko po drabince.

Ponieważ statek spoczywał na gruncie, wystarczyło, abym pokonał kilka szczebli, żeby moje oczy znalazły się nad poziomem podłogi w kabinie. Szybkie rozeznanie sytuacji wykazało, że w środku nie było nikogo. Chwilę później stanąłem wewnątrz pojazdu Gar Nala.

Różniło się nieco od statku Fal Sivasa, a sama kabina była zdecydowanie gorzej wyposażona.

Przeszedłem do sterowni, gdzie również nikogo nie zastałem. Następnie przeszukałem część rufową. Statek był kompletnie opuszczony.

Powróciwszy na powierzchnię, zdałem Jat Orowi i Zandzie relację z moich spostrzeżeń.

– Dziwne, że nikt nas nie zatrzymał ani nie zwrócił uwagi na naszą obecność – zauważył Jat Or. – Może budowla jest opuszczona?

– To miejsce ma w sobie coś niesamowitego – dodała cicho Zanda spiętym głosem. – Nawet cisza wydaje się tu nabrzmiała stłumionymi dźwiękami. Nikogo nie widzę i nie słyszę, a jednak czuję coś, sama nie wiem co.

– To rzeczywiście zagadkowe – przyznałem im rację. – Zadbane ogrody kłócą się z opuszczonym wyglądem tego miejsca, Nawet jeśli obecnie nie ma tu nikogo, to nie zostało opuszczone bardzo dawno temu.

– Mam wrażenie, że jednak nie jest wymarłe – stwierdził Jat Or. – Zdaje się, że wszędzie wokół wyczuwam czyjąś obecność. Mógłbym przysiąc, że obserwuje nas wiele par oczu, które śledzą każdy nasz ruch.

Miałem dokładnie to samo wrażenie. Podniosłem wzrok na okna zamku, spodziewając się, że zobaczę utkwione w nas oczy, ale nie zauważyłem nigdzie znaku życia. Zawołałem głośno, wypowiadając używane powszechnie na Barsoom pokojowe pozdrowienie.

– Kaor! – krzyknąłem głosem, który słyhać było pewnie w całym budynku od strony dziedzińca. – Przybywamy z Barsoom. Chcemy rozmawiać z panem tego zamku.

Odpowiedziała mi cisza.

– Niesamowite! – powiedziała głośno Zanda. – Dlaczego nie odpowiadają? Ktoś tu musi być, wiem to na pewno! Nie widzę ich, ale wyczuwam obecność ludzi. Są wszędzie dokoła.

– Musisz mieć rację, Zando. W zamku na pewno ktoś jest i zamierzam zajrzeć do środka. Zaczekacie tutaj z Jat Orem.

– Sądzę, że powinniśmy iść razem – powiedziała dziewczyna.

– Zgadza się – poparł ją Jat Or. – Nie możemy się rozdzielać.

Nie widziałem istotnych powodów, żeby im się sprzeciwić, wobec czego skinąłem głową na zgodę i ruszyłem w stronę zamkniętych drzwi w ścianie budynku. Jat Or i Zanda trzymali się za mną.

Pokonaliśmy mniej więcej połowę drogi, kiedy ciszę przerwał znenacka pełen grozy głos, dobiegający najwyraźniej z górnego piętra jednej ze strzelistych wież, które wznosiły się nad dziedzińcem.

– Uciekaj, mój wodzu! Uciekaj, póki możesz, z tego straszego miejsca!

Stałem jak osłupiały – głos należał do Dejah Thoris!

– To księżniczka! – zawołał Jat Or.

– Owszem, to ona! – powiedziałem. – Za mną!

Puściłem się biegiem w stronę drzwi, ale zdążyłem postawić ledwie kilka kroków, kiedy tuż za moimi plecami Zanda wydała pełen grozy rozzierający krzyk.

Obróciłem się błyskawicznie, żeby sprawdzić, co jej groziło.

Dziewczyna szarpała się, jak w spazmie. Twarz miała ściągniętą w wyrazie skrajnego przerażenia; otwierała szeroko oczy i wymachiwała rękami i nogami, jakby walczyła z jakimś nieprzyjacielem, ale była zupełnie sama. W pobliżu nie było widać nikogo.

Skoczyliśmy z Jat Orem w jej kierunku, ale cofnęła się szybko, nie przestając się szarpać. Przesunęła się na prawo od nas, po czym zawróciła i zaczęła zbliżać się do wejścia do zamku.

Sprawiała wrażenie, jakby nie poruszała się z własnej woli, a raczej ciągnięto ją, choć nikogo przy niej nie widziałem.

Wszystko trwało o wiele krócej niż opowiadanie o tym: zaledwie kilka chwil, w trakcie których nie zdążyłem nawet do niej dobiec.

Jat Or był bliżej i prawie ją dogonił, kiedy zawołał:

– Na Issus! Mnie też dopadli!

Upadł na ziemię, jakby zemdłał, ale tak samo jak Zanda szarpał się, jakby walczył z jakimś napastnikiem.

Biegając za dziewczyną, zdążyłem sięgnąć po długi miecz, choć nie widziałem nieprzyjaciół, których krwią mógłbym go napić. Chyba nigdy w życiu nie czułem się jeszcze tak bezsilny. Oto największy wojownik dwóch światów stał bezradnie, nie mogąc obronić dwojga przyjaciół, ponieważ nie widział przeciwnika!

Jaka złowroga moc, najwyraźniej zdolna do działania na odległość z jakiegoś ukrytego punktu obserwacyjnego, mogła w ten sposób pochwycić ich i wlec, gdzie zechciała?

Naszą bezradność w jej obliczu podkreślał jeszcze bardziej wpływ tej tajemniczej, niesamowitej napaści na psychikę.

Dzięki sile ziemskich mięśni doskoczyłem prędko do Zandy. Wyciągnąłem rękę, żeby chwycić ją i zatrzymać, kiedy coś złapało mnie za kostkę i upadłem. Poczułem na sobie liczne dłonie. Wyrwano mi z ręki miecz i odebrano resztę broni.

Walczyłem jak jeszcze nigdy w życiu. Czułem napór ciał przeciwników, dotykające mnie dłonie i uderzenia pięści, ale nie widziałem nikogo, choć moje ciosy trafiały w jakieś ciała. To już było coś. Czułem, że szanse były teraz bardziej wyrównane, ale nadal nie rozumiałem, dlaczego nie widziałem tych istot, skoro je wyczuwałem.

Przynajmniej zrozumiałem teraz dziwne zachowanie Zandy. To, co wziąłem za konwulsje, było walką z niewidzialnymi napastnikami, którzy unosili ją właśnie w stronę wejścia do zamku, gdzie zniknęła na moich oczach, kiedy walczyłem daremnie z przeważającym liczebnie przeciwnikiem.

Czymkolwiek były te istoty, przygniotły mnie samym swym ciężarem. Wiedziałem, że było ich bardzo dużo, ponieważ czułem na sobie całe mnóstwo dłoni.

Związano mi ręce za plecami i poderwano brutalnie na nogi.

Nie potrafię opisać dokładnie, co czułem w tamtej chwili. Nierealność wydarzeń, które trwały przecież tylko kilka chwil, przytłoczyła mnie

i pozbawiła pewności siebie. Wyglądało na to, że po raz pierwszy w życiu utraciłem do reszty zdolność logicznego myślenia, możliwe że dlatego, iż sytuacja nie przypominała zupełnie niczego, co do tej pory przeżyłem. Nawet widmowi łucznicy z Lothar nie mogliby postawić mnie w tak wyjątkowej sytuacji, ponieważ atakując byli przynajmniej widoczni.

Kiedy poderwano mnie na nogi, rozejrzałem się w poszukiwaniu Jat Ora. Stał niedaleko z dłońmi związanymi za plecami.

Poczułem, jak ktoś popchnął mnie w stronę drzwi, za którymi zniknęła Zanda. Jat Or ruszył w tym samym kierunku.

– Widzisz kogoś, książe? – zapytał.

– Tylko ciebie.

– Co za diabelska siła nas pojmała?

– Nie wiem, ale czuję na sobie ludzkie dłonie i wyczuwam ciepło ciała.

– Chyba już po nas – stwierdził.

– Co? Ciągle jeszcze żyjemy!

– Nie, nie to miałem na myśli. Chcę powiedzieć, że możemy porzucić nadzieję na powrót na Barsoom. Mają nasz statek. Sądzisz, że zobaczymy go jeszcze albo że uda nam się go odzyskać, nawet jeśli im uciekniemy? Nie, książe, dla Barsoom jesteśmy praktycznie martwi.

Statek! Przejęty swoimi przejściami, przez chwilę całkiem o nim zapomniałem. Zerknąłem w jego stronę. Wydawało mi się, że drabinka w drzwiach poruszyła się jakby pod ciężarem wchodzącego po niej niewidzialnego ciała.

Statek był naszą jedyną nadzieją na powrót na Barsoom, a teraz wpadł w ręce zagadkowych, niewidzialnych nieprzyjaciół. Musiałem go ocalić.

Istniał na to sposób! Skupiłem myśli na mechanicznym mózgu, polecając mu wznieść się i czekać nad zamkiem poza zasięgiem wrogów, dopóki nie otrzyma dalszych poleceń.

Niewidzialni ludzie wciągnęli mnie przez drzwi do wnętrza zamku. Nie wiedziałem, czy statek zareagował na moje polecenia.

Czy miałem się tego kiedykolwiek dowiedzieć?

CZŁOWIEK-KOT

Prowadzony szerokim korytarzem zamku, nie przestawałem skupiać się na mechanicznym mózgu statku Fal Sivasa. Przytłaczała mnie obawa, że moje polecenia mogły nie dotrzeć do niego z tak wielkiej odległości lub wskutek stresu i wzburzenia. Statek znaczył tak wiele dla nas wszystkich i tak bardzo potrzebowałem go do uratowania Dejah Thoris, że obezwładniała mnie już sama myśl o straceniu go. Niedługo zdałem sobie jednak sprawę, że martwiąc się, nic nie wskóram, odpędziłem więc od siebie te ponure myśli.

Podniósłszy wzrok, ujrzałem idącego obok Jat Ora. Kiedy zauważył, że na niego patrzę, potrząsnął głową i uśmiechnął się smutno.

– Wygląda na to, że nasza przygoda na Thurii będzie bardzo krótka – stwierdził.

Skinąłem głową.

– Przyszłość nie wygląda zbyt jasno. Jeszcze nigdy nie znalazłem się w sytuacji, w której nie widziałem nieprzyjaciół i nie mogłem się z nimi porozumieć.

– Ani ich usłyszeć – dodał. – Czuję tylko dłonie na ramionach i wiem, że jakaś siła ciągnie mnie tym korytarzem, ale poza tym nie dostrzegam tu niczyjej obecności. Czuję się zupełnie bezradny w obliczu tej zagadki.

– Ale na pewno w końcu trafimy na kogoś, kogo będziemy widzieć i z kim będziemy mogli zmierzyć się sprytem i siłą na bardziej wyrównanych warunkach. Sam zamek i wszystko, co tu widzimy, wskazuje, że mieszkają tu podobne do nas istoty. Spójrz na te ławy i sofy pod ścianami. Na pewno stworzono je dla stworzeń o ludzkich kształtach. A urzekające mozaiki na ścianach, wspaniałe dywany i skóry na posadzce na pewno mają zaspokajać umiłowanie piękna, które jest cechą charakterystyczną ludzkiego umysłu.

Zapewniam cię, że mogły stworzyć je tylko ludzkie dłonie kierowane ludzką myślą.

– Rozumowanie jest bez zarzutu, ale gdzie są ci ludzie?

– I w tym tkwi zagadka – odparłem. – Uważam, że od jej rozwiązania zależy nasza przyszłość.

– Chociaż wszystkie te pytania są interesujące, jeszcze bardziej ciekawi mnie los Zandy – stwierdził po chwili. – Zastanawiam się, co z nią zrobili.

Na to pytanie nie znałem, rzecz jasna, odpowiedzi, choć martwił mnie fakt, że zostaliśmy rozdzieleni.

Na końcu korytarza wprowadzono nas po szerokich, rzeźbionych schodach na kolejne piętro, gdzie zostaliśmy zabrani do przestronnej sali, na której drugim końcu ujrzeliśmy samotną postać.

Była to Zanda. Stała przed podwyższeniem, na którym spoczywały dwa wielkie, rzeźbione krzesła tronowe.

Sala była olśniewająca i niemal barbarzyńska w przepychu. Posadzka ściany wysadzane były złotem i kamieniami szlachetnymi, ułożonymi w niezwykle wzory przez jakiegoś mistrza, dysponującego niezwyklej urody klejnotami, jakich nie widziałem na Ziemi ani na Barsoom.

Popychająca nas niewidzialna siła zaprowadziła nas do dziewczyny i stanęliśmy w trójkę przed podwyższeniem i pustymi tronami.

Zastanawiałem się, czy naprawdę nikt ich nie zajmował. Miałem to samo dziwne wrażenie, co na dziedzińcu, że otaczał mnie tłum ludzi i obserwowało wiele par oczu, choć nikogo nie widziałem i nie słyszałem żadnego dźwięku.

Przez kilka minut staliśmy przed podwyższeniem, po czym wywleczono nas z komnaty i poprowadzono innym, węższym korytarzem i na kolejne piętra krętymi schodami, których pokonanie sprawiało Jat Orowi pewną trudność. Podobne wynalazki były dla niego nowością, ponieważ nie używa się ich na Marsie, gdzie piętra łączą pochylnie.

Próbowałem wprowadzić schody w moim pałacu w Helium, ale tak wielu domowników i przyjaciółomal nie skręciło sobie na nich karku, że ostatecznie zastąpiłem je pochylniami.

Po paru piętrach, Zandę oddzielono od nas i poprowadzono bocznym korytarzem, a na kolejnym poziomie zabrano Jat Ora.

Żadne z nas nie odzywało się, od kiedy weszliśmy do sali tronowej i wydaje mi się, że kiedy nas rozdzielano, żadne słowa nie zdołałyby wyrazić rozpaczliwości naszego położenia.

Zostałem sam, ale wspinałem się nadal, prowadzony przez niewidzialne dłonie na ramionach. Dokąd mnie zabierali? Na spotkanie jakiego losu poprowadzono moich towarzyszy? Gdzieś w zamku była księżniczka, dla której przemierzyłem kosmiczną pustkę, a jednak nigdy nie wydawała się tak daleka, a nasza rozłąka tak ostateczna, jak w tej chwili.

Nie wiem, skąd brały się we mnie te odczucia, chyba że znowu zacząłem ulegać otaczającej mnie atmosferze niezgłębionej tajemnicy.

Dotarliśmy już tak wysoko, że nabrałem pewności, iż prowadzono mnie do jednej z wyższych wież, które widziałem z dziedzińca. W połączeniu z faktem, że rozdzielono nas, wskazywało to, że bez względu na to, jaka moc nas więziła, brakowało jej pewności siebie, ponieważ te poczynania mogła uzasadnić tylko obawa, że razem moglibyśmy uciec lub jej zaszkodzić. Ale mogłem tylko zgadywać, czy miałem rację czy nie. Jedyne czas mógł pokazać rozwiązanie zagadki i odpowiedzieć na liczne pytania, które sobie stawiałem.

Zaprzątnięty tymi myślami, zatrzymałem się przed jakimiś drzwiami. Wyposażone były w niezwykle zamknięcie, które zwróciło moją uwagę, a przyglądając się mu, ujrzałem, jak zasuwa przesunęła się, po czym drzwi otworzyły się do środka, a ja zostałem wciągnięty w ślad za nimi.

Przecięto mi więzy na rękach. Odwróciłem się szybko, zamierzając rzucić się do drzwi, ale zanim do nich dotarłem, zamknięto mi je przed

nosem. Próbowałem je otworzyć, ale ponieważ zostały już zamknięte na klucz, odwróciłem się od nich z niesmakiem.

Zacząłem rozglądać się po moim więzieniu, kiedy mój wzrok spoczął na postaci siedzącej na ławie po drugiej stronie pomieszczenia.

Z braku lepszego słowa, muszę nazwać ją człowiekiem, ale co to był za człowiek!

Istota była naga, jeśli nie liczyć krótkiej skórzanej spódniczki, podtrzymywanej na biodrach szerokim pasem z wielką złotą klamrą wysadzaną szlachetnymi kamieniami.

Siedziała pod szarym murem na ławie z czerwonego drewna, a jej skóra była dokładnie tej samej barwy, co ściana, oprócz części nóg stykającej się z ławą – gdzie była czerwona.

Czaszka przypominała kształtem ludzką, choć rysy były zdecydowanie odmienne. Pośrodku czoła tkwiło jedno wielkie oko średnicy około trzech cali z pionową źrenicą, jak u kota. Stworzenie przyglądało mi się tym wielkim okiem, widocznie również mnie oceniając. Siłą rzeczy, zastanawiałem się, czy przedstawiałem dla niego równie dziwny widok, co ono dla mnie.

Przez tych kilka chwil, kiedy mierzyliśmy się w bezruchu wzrokiem, odnotowałem naprędce kilka innych niezwykłych szczegółów jego anatomii.

Palce dłoni i stóp były o wiele dłuższe niż u ludzi, podczas gdy kciuki i wielkie palce u stóp były znacznie krótsze i odstawały pod kątem prostym.

W zestawieniu z pionową źrenicą, wskazywało to, że stworzenie mieszkało w lasach, a przynajmniej przywykło do szukania pożywienia lub zwierzyny wśród drzew.

Możliwe jednak, że najbardziej niezwykłą cechą jego odrażającego oblicza były usta. Stwór miał ich dwoje, umieszczone jedno nad drugim. Dolny otwór był większy i pozbawiony warg, skóra twarzy tworzyła w nich dziąsła, w których osadzone były potężne, białe zęby, przez co stworzenie

stale sprawiało wrażenie, jakby szczyrzyło je w odrażającym, trupim uśmiechu.

Górnymi ustami, o lekko wypukłych wargach, poruszał podobny do zwieracza mięsień. Ten otwór pozbawiony był uzębienia.

Stworzenie miało szeroki i płaski nos, z wywiniętymi w górę nozdrzami. Początkowo nie zauważyłem uszu, ale później odkryłem, że ich rolę pełniły dwa małe otwory umieszczone po przeciwnych stronach głowy w pobliżu jej czubka.

Tuż nad okiem zaczynała się szeroka na dwa cale, sztywna, płowa grzywa, biegnąca przez środek czaszki.

Ogólnie rzecz ujmując, stworzenie przedstawiało sobą paskudny widok, a wyszczerzona paszcza i potężne zęby w zestawieniu z wydatną muskulaturą sugerowały, że byłoby groźnym przeciwnikiem.

Zastanawiałem się, czy było tak krwiożercze, jak sugerował wygląd, i przyszło mi do głowy, że być może trafiłem do tej celi właśnie po to, aby mnie uśmierciło. Uznałem nawet za całkiem prawdopodobne, że miałem stać się jego posiłkiem.

Od kiedy znalazłem się w celi, stworzenie ani na chwilę nie oderwało ode mnie spojrzenia okropnego, pojedynczego oka. Sam także nie spuszczałem z niego wzroku, ale zaspokoiwszy częściowo ciekawość, w miarę możliwości zacząłem rozglądać się po celi.

Pomieszczenie było okrągłe i najwyraźniej zajmowało całe najwyższe piętro wieży. Ściany były wyłożone kamieniami o rozmaitych kolorach, i nawet tutaj widać było wyraźnie dowody wrażliwości estetycznej budowniczych zamku, ponieważ cela była niezwykle piękna.

W okrągłym murze umieszczono sześć wąskich, wysokich otworów okiennych. Nie miały wprawdzie szyb, ale były zakratowane.

Na podłodze pod ścianą leżała w jednym miejscu sterta skór i szmat, przypuszczalnie poślanie zamkniętego tu stworzenia.

Podszedłem do jednego z okien, żeby wyjrzeć na zewnątrz, na co stworzenie podniosło się z ławy i przeszło do najbardziej oddalonej ode mnie części pomieszczenia. Poruszało się bezszelestnie, ukradkowym kocim krokiem, nie odrywając ode mnie spojrzenia tego straszliwego, pozbawionego powiek oka.

Ta cisza, ukradkowy sposób poruszania się i straszny wygląd kazały mi zachować czujność, żeby stworzenie nie zaatakowało mnie, gdybym odwrócił się do niego plecami. Mimo to, wyjrzałem pospiesznie przez okno. Zobaczyłem w oddali jakieś wzgórze, a w dole, zaraz za murami zamku – rzekę, i ciągnącą się za nią gęstą puszcę.

Niewiele, ale wystarczyło, żebym zrozumiał, że nie było stąd widać dziedzińca, na którym wylądowaliśmy. A tak zależało mi na tym, żeby przyjrzeć się okolicom zamku i przekonać, czy udało mi się skłonić mechaniczny mózg, żeby zabrał statek w bezpieczne miejsce.

Pomyślałem, że może uda mi się sprawdzić to z któregoś okna po drugiej stronie wieży, więc nie spuszczać współwzięcia z oka podszedłem do nich, na co on zmienił szybko pozycję, trzymając się jak najdalej ode mnie.

Zastanawiałem się, czy bał się mnie czy też czekał jak kot na okazję, żeby rzucić się na mnie, kiedy będzie miał nade mną przewagę.

Dotarłem do okna po drugiej stronie i wyjrzałem przez nie, ale dziedziniec był zupełnie niewidoczny, ponieważ zasłaniały go inne, liczne wieże. W gruncie rzeczy kolejna z wyższych iglic wznosiła się dokładnie przede mną, nie więcej niż dziesięć czy piętnaście stóp od tej, w której mnie uwięziono.

Przechodziłem od okna do okna, na próżno starając się zobaczyć dziedziniec, a za każdym razem mój dziwny, straszny towarzysz niewoli trzymał się na dystans.

Przekonawszy się, że nie zobaczę dziedzińca i nie dowiem się, czy udało mi się uratować statek, skierowałem uwagę na człowieka-kota.

Musiałem dowiedzieć się w jakiś sposób, jakie było jego nastawienie. Gdyby okazał się niebezpieczny, musiałem przekonać się o tym przed zapadnięciem nocy, ponieważ coś mi mówiło, że jego wielkie oko widziało również w mroku, a nie mogąc wiecznie czuwać, stanowiłbym wtedy łatwy łup.

Spojrzawszy na niego po raz kolejny, zauważyłem zaskakującą zmianę w jego wyglądzie. Skóra nie była już szara, a bladożółta. Dopiero wtedy zauważyłem, że stał przed żółtym fragmentem muru. Poczułem budzącą się we mnie ciekawość.

Zrobiłem krok w stronę stworzenia, które ponownie zmieniło pozycję, ustawiając się tym razem przed niebieską ścianą. Żółte zabarwienie skóry zbladło i przeszło w błękit.

Na Barsoom występuje niewielki gad, zwany darsen, który dopasowuje się barwą skóry do tła, podobnie jak ziemski kameleon. Nie widziałem jednak nigdy stworzenia choćby dalece przypominającego istotę ludzką, które posiadałoby zdolność przybierania barw ochronnych. Miałem przed sobą najbardziej niezwykle stworzenie ze wszystkich zdumiewających istot, jakie w życiu widziałem.

Zaciekawiło mnie, czy potrafiło mówić, więc przemówiłem do niego.

– Kaor! Zostańmy przyjaciółmi – powiedziałem, unosząc nad głową otwartą prawą dłoń w geście wskazującym przyjazne zamiary.

Stworzenie przyglądało mi się przez chwilę, po czym z jego górnych ust wydobył się dziwny odgłos, podobny do kociego miauku i mruczenia.

Próbowało coś powiedzieć, ale rozumiałem je nie lepiej niż ono mnie.

W jaki sposób mogłem przekonać się o jego intencjach przed zapadnięciem nocy? Zadanie wydawało się beznadziejne i z rezygnacją postanowiłem poczekać spokojnie na rozwój wypadków. Uznałem, że będę ignorować towarzysza niewoli, dopóki nie zbliży się do mnie w takich czy innych zamiarach, podszedłem więc do opuszczonej przez niego ławy i usiadłem.

Błyskawicznie zajął nową, jak najdalszą ode mnie pozycję, tym razem ustawiając się przed zielonym fragmentem ściany, na co jego skóra momentalnie zmieniła kolor. Zastanawiałem się, jaki efekt kalejdoskopu mogłoby osiągnąć, gdybym zaczął gonić je wzdłuż barwnych ścian naszej celi. Na tę myśl uśmiechnąłem się, co spotkało się z natychmiastową reakcją współwięźnia. Wydał dziwny warkoczący dźwięk i rozciągnął górne usta na boki w czymś, co mogło być próbą uśmiechu, równocześnie pocierając dłońmi o uda.

Przyszło mi do głowy, że grymas i gest mogły stanowić wyraz uczuć istoty i przekazywać jej nastawienie do mnie, ale nadal nie wiedziałem, czy było ono wrogie czy przyjazne. Możliwe, że stworzenie odebrało mój uśmiech zupełnie inaczej niż zrobiłby to ktoś z Ziemi lub Marsa.

Przypomniałem sobie, że tak właśnie było z zielonoskórnymi ludźmi z Barsoom, którzy zanosili się śmiechem, zadając swoim ofiarom diabelskie tortury, choć analogia nie oddaje dokładnie tego, co mam na myśli, ponieważ w ich przypadku jest to rezultat szczególnie wypaczonego poczucia humoru.

Z drugiej strony, zachowanie stworzenia mogło stanowić wyzwanie. W takim razie, im prędzej bym się o tym przekonał, tym lepiej. W gruncie rzeczy bardziej zależało mi na przekonaniu się nie tyle o jego przyjaznych, co o wrogich intencjach, ponieważ gdyby stworzenie okazało się nieprzyjaźnie nastawione, wolałbym dowiedzieć się tego przed zmrokiem.

Przyszło mi do głowy, że w pewnym stopniu mogłem poznać zamiary stworzenia, naśladowując jego gesty, uśmiechnąłem się więc i zacząłem pocierać dłońmi o uda.

Reakcja była błyskawiczna. Ruszyło w moją stronę, rozciągając górne usta na boki. Wstałem. Kiedy podeszło dość blisko, zatrzymało się i wyciągnąwszy przed siebie dłoń pogładziło mnie po ramieniu.

Musiałem wyjść z założenia, że był to gest przyjaźni, wobec czego powtórzyłem także i ten gest.

Rezultat był zdumiewający. Stworzenie odskoczyło, wydając z siebie dziwny warkot, po czym zaczęło brykać jak oszalałe, skacząc i miotając się w dzikim zapamiętaniu po całym pomieszczeniu niczym kot.

Pamiętam, że mimo odrażającego i groteskowego wyglądu, zrobiło na mnie wrażenie niezrównaną gracją ruchów.

Okrzyknęło celę trzy razy, podczas gdy ja wróciłem na ławę i obserwowałem je, a skończywszy, podeszło do mnie i usiadło obok.

Znowu zaczęło miauczeć i mruzczeć, najwyraźniej próbując porozumieć się ze mną, ale mogłem tylko kręcić głową na znak, że go nie rozumiem i przemawiać do niego w języku Barsoom.

Po pewnym czasie przestało miauczeć i powiedziało coś w mowie, który o wiele bardziej przypominała ludzką: wykorzystywała niemal te same głoski, co języki, do których używania przywykłem.

Nareszcie trafiłem na grunt, na którym mogliśmy się porozumieć. Widziałem jasno, że stworzenie nie rozumiało żadnego z języków, którymi się posługiwałem, a próba nauczania go ich mijałaby się celem. Za to gdybym opanował jego mowę, mógłbym porozumieć się z niektórymi mieszkańcami Thurii, a jeśli zamieszkujące księżyc istoty posiadały wspólny język, jak mieszkańcy Marsa, mój pobyt na satelicie byłby znacznie ułatwiony.

Pozostawało jednak pytanie, jak tego dokonać. Możliwe, że nie miałem pożyć na tyle długo, aby nauczyć się czegokolwiek, ale wychodząc z tego założenia, musiałbym zrezygnować z wszelkich próby ucieczki lub poprawy mojego położenia. Musiałem więc uznać, że miałem mnóstwo czasu, aby opanować jeden z języków Thurii, dop czego niezwłocznie się zabrałem.

Zacząłem tak, jak zwykle zaczynamy uczyć się nowego języka. Wskazywałem różne przedmioty w pomieszczeniu i części naszych ciał, powtarzając ich nazwy w swojej mowie. Wyglądało na to, że mój towarzysz zrozumiał błyskawicznie, o co mi chodziło, i pokazując te same przedmioty

powtarzał po kilkakroć ich nazwy w bardziej ludzkim z dwóch języków, którymi się posługiwał o ile jego miauczenie i mruczenie można było uznać za język, czego w tej chwili nie byłem pewny.

Kiedy byliśmy tym zajęci, drzwi celi otworzyły się i do środka wleciało kilka naczyń, unosząc się w powietrzu. Osiadły zaraz na podłodze tuż za drzwiami, które natychmiast się zamknęły.

Mój towarzysz mruknął z przejęciem i podbiegł do nich. Wrócił zaraz z dzbanem wody i miską stawy, które postawił na ławie obok mnie. Wskazał na jedzenie, a potem na mnie, jakby próbował powiedzieć, że było przeznaczone dla mnie.

Przeszedłszy jeszcze raz przez celę, wrócił z dzbanem wody i klatką, w której znajdował się niezwykle ptak. Nazwałem to stworzenie ptakiem, ponieważ miało pióra, ale mam nie większe niż ty pojęcie, do jakiej rodziny stworzeń naprawdę należało, miało bowiem cztery nogi i rybie łuski, a ptasi wygląd nadawały mu tylko dziób i grzebień na głowie.

Potrawa, którą postawił przede mną mój współwięzień, złożona z mieszaniny mięsa, warzyw i owoców, okazała się pożywna i całkiem smaczna.

Ugasiwszy pragnienie i skosztowawszy jedzenia, zacząłem obserwować towarzysza niewoli. Przez chwilę czy dwie bawił się z zamkniętym w klatce ptakiem. Wkładał między pręty palec, na co stworzenie zaczynało bić skrzydłami, skrzeczeć przenikliwie i próbować uderzyć go dziobem. Nie udawało mu się to jednak, ponieważ człowiek-kot zawsze w porę go cofał. Wyglądało na to, że zabawa sprawiała mu wiele przyjemności, ponieważ nie przestawał mruścić.

Ostatecznie otworzył drzwi klatki i wypuścił uwięzione w niej zwierzę, które natychmiast zaczęło fruwać po celi, próbując uciec przez okno. Pręty krat były jednak zbyt ciasno osadzone. Mój współwięzień zaczął wtedy skradać się za nim, jak kot podchodzący zdobyczą. Kiedy niby-ptak lądował, podkradał się do niego, a znalazłszy się dość blisko, rzucał się na niego.

Stworzeniu udawało się przez jakiś uciekać, w końcu jednak wylądowało ciężko na podłodze, częściowo ogłuszone. Człowiek-kot bawił się nim jeszcze przez jakiś czas, przerzucając z łapy do łapy. Od czasu do czasu odkładał je i wędrował po celi, udając, że go nie widzi. Po pewnym czasie zaczynał zachowywać się, jakby dopiero teraz je spostrzegł, a wtedy rzucał się na nie od nowa.

Wreszcie, z przerażającym, kaszlącym odgłosem, przypominającym ryk lwa, rzucił się na nie wściekle i odgryzł mu głowę kłapnięciem potężnych szczęk. Błyskawicznie przystawił szyję niby-ptaka do górnych ust i wysał z truchła krew. Nie był to ładny widok.

Wypiwszy krew, pożarł resztę zdobyczy dolnymi ustami, a rozrywając ją w zębach, warczał jak żerujący lew.

Dokończyłem powoli własny posiłek, podczas gdy mój towarzysz niewoli rozrywał zdobycz na strzępy po drugiej stronie celi, połykając mięso wielkimi kęsami, dopóki nie przełknął ostatnich resztek.

Skończywszy posiłek, podszedł do ławy i osuszył dzban z wodą, przytykając go do górnych ust.

Cały ten czas nie zwracał na mnie uwagi, a teraz mrucząc leniwie podszedł do sterty szmat i skór na podłodze, ułożył się na nich, zwinął w kłębek i zasnął.

SKAZANY NA ŚMIERĆ

Młodzi szybko się uczą i z łatwością dostosowują do nowych warunków, a choć jeden Bóg wie, ile naprawdę mam lat, udało mi się zachować obie te cechy. Dzięki temu oraz szczerzej chęci wykorzystania wszelkich środków, które pomogłyby mi przetrwać, szybko i z łatwością poznawałem język mojego towarzysza.

W ten sposób dni spędzone w celi nie wydawały mi się monotonne, a czas nie dłużył mi się tak bardzo, jak byłoby, gdybym nie miał zajęcia.

Nie zapomnę przejęcia, z jakim uświadomiłem sobie, że mogliśmy się nareszcie porozumieć, ale nawet zanim do tego doszło, zdążyliśmy poznać nawzajem swoje imiona. Człowiek-kot nazywał się Umka.

Kiedy odkryłem, że potrafiłem wysławić się na tyle dobrze, aby mnie zrozumiał, zapytałem, kto trzymał nas w celi.

– Tarydzi.

– Kim oni są? Jak wyglądają? Dlaczego ich nie widzimy?

– Ja ich widzę – odparł. – A ty nie?

– Nie, jak wyglądają?

– Są bardzo podobni do ciebie, a w każdym razie należą do tego samego rodzaju istot. Mają dwoje oczu, nos i tylko jedno usta, a ich uszy to wielkie twory uczone z boku głowy, jak u ciebie. Nie są tak piękni, jak my, Masenowie.

– Ale dlaczego ich nie widzę?

– Nie wiesz, jak. Gdybyś wiedział, widziałbyś ich równie dobrze jak ja.

– Bardzo chciałbym, żeby to było możliwe. Powiesz mi, jak to zrobić?

– Mogę powiedzieć, ale to jeszcze nie znaczy, że uda ci się ich zobaczyć. To zależy wyłącznie od zdolności twojego rozumu. Nie widzisz ich dlatego, że ukryli się przed tobą dzięki mocom ich umysłów. Jeśli uda ci się

przełamać tę barierę mentalną, zobaczysz ich tak samo jak w tej chwili mnie.

– Ale nie wiem, jak się za to zabrać.

– Musisz skupić na nich myśli i starać się przełamać ich wolę. Chcą być dla ciebie niewidzialni. Musisz starać się ich zobaczyć. Poradzili sobie z tobą łatwo, ponieważ nie spodziewając się niczego podobnego, twój umysł nie wytworzył żadnych mechanizmów obronnych. Teraz przewaga jest po twojej stronie, ponieważ siłą woli stworzyli nienaturalną sytuację, ty zaś masz za sobą prawa natury, przeciw którym nie zdołają wznieść odpowiednio mocnej bariery, o ile posiadasz wystarczająco potężny umysł.

Cóż, zadanie nie sprawiało wrażenia skomplikowanego, ale nie jestem hipnotyzerem, więc, rzecz jasna, wątpiłem mocno we własne uzdolnienia w tej dziedzinie.

Kiedy wyjaśniłem to Umce, warknął z niecierpliwością.

– Nie uda ci się, dopóki będziesz poddawał się wątpliwościom – powiedział. – Odrzuć je. Uwierz, że ci się uda, a będziesz miał o wiele większe szanse powodzenia.

– Ale jak mogę mieć nadzieję na sukces, skoro ich nie widzę? A nawet gdybym widział, to nie mam okazji im się przyjrzeć poza tą krótką chwilą, kiedy przynoszą nam jedzenie.

– To wcale nie jest konieczne – odparł. – Przecież zdarza ci się myśleć o przyjaciółach, chociaż ich nie widzisz?

– Oczywiście, ale co to ma do rzeczy?

– To wskazuje, że myślami możesz dotrzeć wszędzie. Skieruj je więc na Tarydów. Powiedziałem ci o tym, więc wiesz, że w zamku aż się od nich roi. Skup się po prostu na umysłach wszystkich jego mieszkańców, a dotrzesz do nich myślami, choć oni sami mogą nie zdawać sobie z tego sprawy.

– No dobrze – powiedziałem. – Życz mi powodzenia.

– To może potrwać – wyjaśnił. – Od chwili, kiedy poznałem ich sekret, do momentu, kiedy udało mi się przełamać barierę, minęło wiele czasu.

Niezwłocznie skupiłem się na czekającym mnie zadaniu i nie odrywałem od niego myśli, o ile nie byłem zajęty czym innym. Umka okazał się jednak rozmownym stworzeniem, a pozbawiony od dłuższego czasu okazji do konwersacji, starał się teraz nadrobić zaległości.

Zadawał mi wiele pytań na temat mojej osoby i świata, z którego pochodziłem. Wydawał się zaskoczony faktem, że unoszący się na nocnym niebie Thurii wielki glob zamieszkiwały żywe istoty.

Powiedział mi, że jego lud żył w puszczy, budując domy wysoko na drzewach. Masenowie nie byli licznym narodem, szukali więc okolic położonych z dala od pozostałych mieszkańców Thurii.

Tarydzi, według jego słów, byli kiedyś potężnym ludem, ale zostali pokonani w wojnie i niemal doszczętnie wytępieni.

Nieprzyjaciele nadal ich ścigali i już dawno nie zostawiliby przy życiu ani jednego, gdyby jeden z ich największych mędrców nie rozbudził w nich hipnotycznych mocy, które pozwalały im stać się z pozoru niewidzialnymi dla wrogów.

– Wszyscy Tarydzi, jacy jeszcze zostali – poinformował mnie – mieszkają w tym zamku. Razem jest ich około tysiąca: mężczyzn, kobiet i dzieci. Próbując uciec nieprzyjaciołom i ukrywając się w tej odległej części świata, uważają wszystkie inne stworzenia za wrogów. Ktokolwiek trafia do tego zamku, jest dla nich nieprzyjacielem, którego nie można zostawić przy życiu.

– Uważasz, że nas zabiją?

– Z całą pewnością.

– Ale kiedy i jak?

– Ich życiem rządzi jakaś dziwna religia. Nie rozumiem jej, ale reguluje wszystkie ważne czynności życiowe. Sami mówią, że słuchają słońca, księżyca i gwiazd. To same brednie, ale nie zabiją nas, dopóki słońce nie

każe im tego zrobić, a i wtedy zrobią to nie dla własnej przyjemności, a dlatego, że wydaje im się, iż w ten sposób zadowolą swoje bóstwo.

– Sądziś więc, że moi przyjaciele, których tu uwięziono, są nadal żywi i bezpieczni?

– Nie wiem, ale tak mi się wydaje. To, że żyjesz, wskazuje że pozostałych również nie złożyli w ofierze, ponieważ zwykli zachowywać jeńców przy życiu i zabijać ich razem podczas jednej ceremonii.

– Czyli zabiją cię razem z nami?

– Chyba tak.

– I pogodziłeś się już z losem czy uciekłbyś stąd, gdybyś mógł?

– Gdybym pojawiła się szansa, na pewno bym uciekł, ale nie mam na to widoków, podobnie jak ty.

– Gdyby tylko udało mi się zobaczyć tych ludzi i porozmawiać z nimi, może znalazłbym sposób, żeby się stąd wydostać – powiedziałem. – Możliwe nawet, że udałoby mi się ich przekonać, że nie jesteśmy ich wrogami i powinni traktować nas jak przyjaciół. Ale co mogę zrobić? Nie widzę ich, a nawet gdybym widział, nie słyszałbym. Przeszkody zdają się nie do pokonania.

– Jeśli uda ci się przełamać barierę, która nie pozwala ci ich zobaczyć, pokonasz również drugą, przez którą ich nie słyszysz. Próbowaleś już to zrobić?

– Tak, prawie bez przerwy próbuję złamać ich hipnotyczny urok.

Codziennie w okolicach południa dostawaliśmy jedyny posiłek dnia. Każdemu z nas przynoszono wielki dzban wody; poza tym otrzymywałem miskę pożywienia, Umka zaś – klatkę z niezwykle, podobnym do ptaka stworzeniem, które stanowiło widocznie całą jego dietę.

Kiedy Umka wyjaśnił mi, jak pokonać rzucony na mnie czar, dzięki czemu zdołałbym zobaczyć i usłyszeć naszych dozorców, za każdym razem, kiedy przynoszono nam jedzenie, ustawiałem się w miejscu, skąd

widziałem korytarz, żeby przekonać się, czy wnoszący posiłek Taryda stał się dla mnie widzialny.

Za każdym razem widziałem z rosnącą frustracją, jak niewidzialne dłonie ustawiały naczynia z wodą i jedzeniem na podłodze tuż za drzwiami celi.

Choć mój wysiłek zdawał się bezskuteczny, nie poddawałem się uparciu, żywiąc nadzieję wbrew wszystkiemu.

Pewnego dnia siedziałem snując rozważania o rozpaczliwym położeniu Dejah Thoris, kiedy usłyszałem kroki w korytarzu za drzwiami i drapanie metalu o metal, jakie wydaje broń wojownika ocierając się o klamry pasów i inne elementy uzbrojenia.

Były to pierwsze dźwięki, jakie usłyszałem, oprócz tych, które wydawaliśmy z Umką, i pierwsze oznaki życia w wielkim zamku Tarydów, od kiedy mnie tam uwięziono. Fakt, że słyszałem je, był dla mnie tak ważny, że ledwo mogłem oddychać, czekając aż drzwi się otworzą.

Kiedy to się stało, stałem w miejscu, z którego widziałem korytarz.

Najpierw usłyszałem stuk zamka. Drzwi obróciły się powoli na zawiasach, odsłaniając przede mną dwóch ludzi z krwi i kości. Zbudowani jak ludzie, skórę mieli białą i jasną, tworzącą osobliwy kontrast z niebieskimi brwiami i włosami. Nosili obcisłe spódnice z ciężkiej złotej siatki i złote napierśniki. Za broń służyły im długie miecze i sztylety. Ich oblicza miały silne rysy, o srogim i nieco groźnym wyrazie twarzy.

Odnutowałem to wszystko w ciągu paru chwil, kiedy drzwi były otwarte. Zauważyłem, że obrzucili nas spojrzeniem i byłem pewny, że żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, że ich widziałem. Gdyby było inaczej, poznałbym to po wyrazie ich twarzy.

Ucieszyłem się niezmiernie, że udało mi się wreszcie przełamać rzucony na mnie dziwny urok, a kiedy odeszli, powiedziałem Umce o swoim odkryciu.

Poprosił, żebym ich opisał, a kiedy to zrobiłem, przyznał mi rację.

– Czasami ludzie wyobrażają sobie różne rzeczy – powiedział, tłumacząc swoje wątpliwości.

Następnego dnia, późnym ranem, usłyszałem spore zamieszanie na korytarzu i schodach prowadzących do naszej celi. Po krótkim czasie drzwi otworzyły się i do środka weszły dwa tuziny ludzi.

Na ich widok przyszedł mi do głowy pewien pomysł, dzięki któremu miałbym nad nimi przewagę, gdyby pojawiła się kiedyś szansa na ucieczkę. Udawałem, że wcale ich nie widzę. Patrząc w stronę strażników, skupiałem wzrok na ścianie za ich plecami, ale ponieważ nie było to łatwe, starałem się patrzeć w stronę Umki, który – jak dobrze wiedzieli – był dla mnie widoczny.

Żałowałem, że nie wpadłem na to wcześniej, żeby wyjaśnić swój pomysł towarzyszowi niewoli, który mógł niechcący zdradzić przed Tarydami, że przestali być dla mnie niewidzialni.

Tuzin strażników otoczył mnie, trzymając się tuż poza zasięgiem ramion. Jeden stanął blisko drzwi, wydając rozkazy, podczas gdy reszta podeszła do Umki, każąc mu złączyć ręce za plecami.

Cofnął się, posyłając mu pytające spojrzenie. Widziałem, że zastanawiał się, czy spróbuję utorować sobie drogę na wolność.

Starałem się sprawiać wrażenie, jakbym nie dostrzegał wcale obecności wojowników. Patrząc pustym wzrokiem na ścianę za nimi, odwróciłem się plecami do nich, a twarzą do Umki i mrugnąłem do niego.

Modliłem się, żeby jakimś cudem pojął ten gest, nawet jeśli go nie znał. Na wszelki wypadek położyłem jeszcze palec na ustach, zalecając mu milczenie.

Umka spoglądał na mnie tępym wzrokiem. Na szczęście nie odezwał się ani słowem.

– Połowa weźmie Masenę – polecił dowódca oddziału. – Reszta będzie prowadzić ciemnowłosego. Sami widzicie, że nie zdaje sobie sprawy

z naszej obecności, więc może być zaskoczony i szarpać się, kiedy poczuje wasz dotyk. Trzymajcie go mocno.

Przypuszczam, iż Umka uznał, że znowu uległem hipnozie, ponieważ spoglądał na mnie pustym wzrokiem, kiedy wojownicy otoczyli go i ujęli za ramiona.

Pozostała dwunastka ruszyła na mnie. Mógłbym z nimi walczyć, ale nic bym w ten sposób nie zyskał. W gruncie rzeczy aż płonąłem z chęci opuszczenia celi. Pozostając w niej, nic nie mogłem wskórać, ale gdyby udało mi się wyjść, kaprys losu mógł zapewnić mi okazję do działania. Nie wyrywałem się więc przesadnie, kiedy mnie chwycili, choć starałem się udawać zaskoczenie.

Wyprawdzili nas na korytarz i powiedli w dół długimi schodami, po których wspinałem się parę tygodni wcześniej, a wreszcie wprowadzili do sali tronowej, gdzie trafiliśmy z Jat Orem i Zandą po schwytaniu nas. Teraz, skoro przełamałem urok, pod jakim się wtedy znajdowałem, przedstawiała jednak zupełnie inny widok.

Sala nie była pusta, a trony opuszczone. Pomieszczenie okazało się pełne światła, barw i ludzi.

Przy szerokim przejściu, którym prowadzono nas w stronę podwyższenia z tronami, stali mężczyźni, kobiety i dzieci. Nasza eskorta prowadziła nas między zwartymi szeregami wojowników we wspaniałych lśniących strojach, odprowadzając nas na otwartą przestrzeń przed podestem.

Stali tu już pod strażą i ze związanymi rękami Zanda i Jat Or. Obok nich zauważyłem Ur Jana, innego mężczyznę, którym musiał być Gar Nał, oraz moją ukochaną – księżniczkę Dejah Thoris.

– Mój wodzu! – zawołała. – Los okazał mi nieco przychylności, pozwalając zobaczyć cię jeszcze raz, zanim zginiemy.

– Ciągle jeszcze żyjemy – przypomniałem. Uśmiechnęła się słysząc powtarzane przeze mnie po wielokroć w obliczu śmiertelnego zagrożenia

wyzwanie.

Kiedy wzrok Ur Jana spoczął na mnie, jego mina zdradzała zaskoczenie.

– To ty! – zawołał.

– Owszem, ja.

– Co ty tu robisz?

– No cóż, jednej z rozkoszy tej wyprawy zamierzają właśnie mnie pozbawić ci, którzy nas tu trzymają – odpowiedziałem.

– Co masz na myśli?

– Odbiorą mi przyjemność zabicia cię własnymi rękami.

Skinął głową z cierpkim uśmiechem.

Moją uwagę przyciągnął teraz mężczyzna na tronie, który domagał się właśnie, aby nas uciszono.

Był to grubas z arogancką miną, po którym widać było oznaki starości rzadko spotykane wśród czerwonych ludzi z Barsoom. Zauważyłem podobne ślady wieku u innych ludzi w wypełniającej salę tłumie, co wskazywało, że nie cieszyli się niemal wieczną młodością jak Marsjanie.

Tron obok mężczyzny zajmowała młoda, bardzo piękna kobieta. Przyglądała mi się rozmarzonym wzrokiem spod półprzymkniętych powiek. Uznałem, że skupiła się na mnie dlatego, że różniłem się kolorem skóry od towarzyszy, ponieważ po opuszczeniu Zodangi stałem z siebie pigment.

– Wspaniały! – szepnęła rozmarzonym głosem.

– O co chodzi? – zapytał mężczyzna. – Co jest wspaniałe?

Podniosła wzrok z zaskoczeniem, jakby wyrwana ze snu.

– Nic takiego – powiedziała nerwowo. – Mówiłam, że byłoby wspaniale, gdybyś mógł nakazać im milczenie, ale to przecież niemożliwe, skoro nie widzą nas i nie słyszą, chyba że uciszysz ich mieczem. – Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, że trzymamy ich dla Ognistego Boga, Ozaro – zaprotestował mężczyzna – i nie możemy ich teraz zabić.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Po co ich w ogóle zabijać? Wyglądają na inteligentne istoty. Ciekawie byłoby zachować ich przy życiu.

Odwróciłem się do moich towarzyszy.

– Czy ktoś z was widzi albo słyszy, co się dzieje w tym pomieszczeniu? – zapytałem.

– Nie widzę tu i nie słyszę nikogo poza nami – odpowiedział Gar Nal. Pozostali zawtórowali mu.

– Padliśmy ofiarą rodzaju hipnozy, która sprawia, że ludzie, którzy nas tu więżą, są dla nas niewidzialni i niesłyszalni – wyjaśniłem. – Możecie uwolnić się spod niej, trenując własny umysł. To nie takie trudne. Powiodło się mi, a jeśli wam również się uda, będziemy mieli o wiele większe szanse na ucieczkę, jeśli nadarzy się okazja. Dopóki sądzą, że ich nie widzimy, nie będą mieć się przy nas na baczności. Właściwie mógłbym w tej chwili wyrwać miecz stojącemu obok mnie człowiekowi i zabić ich władców, zanim ktokolwiek zdołałby mnie powstrzymać.

– Nie możemy działać razem, dopóki połowa nosi się z zamiarem uśmiercenia pozostałych – powiedział Gar Nal.

– A zatem zawrzyjmy rozejm, dopóki stąd nie uciekniemy.

– To brzmi uczciwie – stwierdził.

– Zgadzasz się?

– Tak.

– A ty, Ur Janie?

– Propozycja mi odpowiada – stwierdził arcyzabójca z Zodangi.

– A co z tobą? – zapytał Gar Nal, patrząc w stronę Jat Ora.

– Zrobię cokolwiek wó... Vandor rozkaże – odpowiedział.

Ur Jan obrzucił mnie pełnym zrozumienia spojrzeniem.

– A zatem jesteś również Vandorem! – powiedział. – Teraz zaczynam wiele rozumieć. Czy ten szczur, Rapas, o tym wiedział?

Puściłem to mimo uszu.

– Podnieśmy dłonie i przysięgnijmy przestrzegać zawieszenia broni, dopóki nie uciekniemy Tarydom – powiedziałem. – Obiecujemy też, że każdy zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby ratować pozostałych.

Unieśliśmy dłonie do przysięgi.

– Kobiety też – powiedział Ur Jan, na co Dejah Thoris i Zanda poszły w nasze ślady i cała szóstka obiecała walczyć aż do śmierci, dopóki nie uciekniemy naszym wrogom.

Sytuacja była co najmniej dziwna, skoro zlecono mi zgładzenie Gar Nala, z kolei Ur Jan przysiągł zabić mnie, a ja zamierzałem zabić jego, zaś Zanda, która nienawidziła ich obu, czekała tylko na okazję, żeby uśmiercić mnie, gdyby poznała moją prawdziwą tożsamość.

– Dość tego! – zawołał z rozdrażnieniem siedzący na tronie tłuścioch. – O czym tak szwargoczą w tym swoim dziwnym języku? Trzeba ich uciszyć! Nie sprowadziliśmy ich tu, żeby tego słuchać.

– Zdejmij z nich czar – zasugerowała dziewczyna, którą nazywał Ozarą.
– Pozwól im nas zobaczyć i usłyszeć. Ostatecznie to tylko czterech mężczyzn. Nie zrobią nam krzywdy.

– Zobaczą nas i usłyszą dopiero, kiedy poprowadzimy ich na stracenie – odpowiedział.

– Mam wrażenie, że ten jasnoskóry mężczyzna i tak nas widzi i słyszy.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Czuję to, kiedy patrzy mi w oczy – powiedziała rozmarzonym głosem.
– A kiedy mówisz ty, Ul Vasie, odwraca spojrzenie w twoją stronę. Kiedy znowu się odezwę, wraca do mnie wzrokiem. Mówię ci, nie jest wcale ślepy ani głuchy na to co się tu dzieje.

Rzeczywiście patrzyłem na nią, i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że podtrzymanie mojej iluzji mogło sprawiać mi kłopoty. Tym razem jednak, kiedy mężczyzna odpowiedział jej, skupiłem wzrok gdzieś za dziewczyną, nie patrząc na niego.

– To niemożliwe – stwierdził.

Spojrzał na dowódcę oddziału, który przyprowadził nas do sali tronowej.

– Co myślisz, Zamaku? Czy to stworzenie widzi nas albo słyszy?

– Nie wydaje mi się, o najwyższy – odpowiedział żołnierz. – Kiedy poszliśmy po niego, pytał zamkniętego z nim Masenę, czy ktoś wszedł do celi, choć otaczały go dwa tuziny strażników.

– Tak, jak myślałem, myliłaś się – zwrócił się Ul Vas do jeddary. – Stale coś sobie wyobrażasz.

Dziewczyna wzruszyła zgrabnymi ramionami i odwróciła się, ziewając z nudy, ale wkrótce wróciła do mnie spojrzeniem, a choć starałem się nie patrzeć jej w oczy, zdawałem sobie sprawę, że obserwowała mnie przez cały czas, jaki spędziłem w sali audiencyjnej.

– Zaczynajmy – powiedział Ul Vas.

Na to z tłumu wystąpił starzec i stanął przed tronem.

– O najwyższy, oto nadszedł stosowny dzień, pora i czas – zaintonował śpiewnym głosem. – Przyprowadzamy przed ciebie, najdostojniejszy synu Ognistego Boga, siedmiu wrogów Tarydów. Niech przemówi przez ciebie twój ojciec i objawi ludowi swoją wolę. Rozmawiałeś z Ognistym Bogiem. Powiedz nam, czy ofiary znalazły uznanie w jego oczach i przekaz nam, wszechmocny, wolę twego ojca.

Ul Vas przyglądał nam się uważnie od kiedy weszliśmy do sali, skupiając się szczególnie na Dejah Thoris i Zandzie. Odchrząknął.

– Mój ojciec, Ognisty Bóg, pragnie dowiedzieć się, kim są ci ludzie.

– Jeden to Masena, którego twoi wojownicy ujęli, kiedy polował za murami – odpowiedział starzec, którego uznałem za kogoś w rodzaju kapłana. – Pozostała szóstka to dziwne istoty. Nie wiemy, skąd pochodzą. Przybyli tu dwoma nieznanymi urządzeniami, które poruszały się w powietrzu jak ptaki, choć nie miały skrzydeł. Wewnątrz każdego byli mężczyźni i jedna kobieta. Wylądowali w naszych murach, ale nie wiemy, skąd przylecieli ani dlaczego, choć niewątpliwie mieli wrogie zamiary, jak wszyscy, którzy trafiają do twierdzy Tarydów. Zauważyłeś zapewne,

najwyższy, że pięcioro z nich ma czerwoną skórę, podczas gdy karnacja szóstego jest tylko nieco ciemniejsza od naszej. Jego biała skóra, ciemne włosy i szare oczy zdają się świadczyć, że należy do innej rasy. Tylko tyle wiemy i nic poza tym. Czekamy na wolę Ognistego Boga objawioną ustami jego syna, Ul Vasa.

Człowiek na tronie ściągnął usta, jakby namyślał się, wędrując wzrokiem po stojących przed nim więźniach. Zatrzymał dłużej spojrzenie na Zandzie i Dejah Thoris, a wreszcie przemówił:

– Mój ojciec, Ognisty Bóg, nakazuje, aby Masena i pozostała czwórka mężczyzn zginęła ku jego czci o tej godzinie, po tym jak okrąży Ladan siedem razy.

Zapadła trwająca kilka chwil, pełna wyczekiwania cisza, którą przerwał ostatecznie stary kapłan.

– A co kobietami, najwyższy? Co każe nam uczynić z nimi Ogniste Bóstwo?

– Aby okazać nam swoją wielką miłość, mój ojciec postanowił oddać je mi, Ul Vasowi, abym postąpił z nimi wedle uznania.

OZARA

Życie jest słodkie i kiedy usłyszałem, jak z warg jeddaka Tarydów padły słowa skazujące naszą piątkę na śmierć, rzecz jasna poczułem przygnębienie. Nie zdawałem sobie jednak z tego sprawy z powodu jeszcze większego wzburzenia, wywołanego wiedzą, że los Dejah Thoris miał być gorszy od śmierci.

Cieszyłem się, że pozostała miłosiernie głucha na to, co właśnie usłyszałem. Wiedza o tym, co ją czekało, wcale by nie pomogła, a gdyby usłyszała na dodatek wydany na mnie wyrok, przysporzyłoby to tylko mojej ukochanej niepotrzebnych cierpień.

Reszta naszej grupy, nie widząc nic i nie słysząc, stałą przed tronem okrutnego sędziego jak nieme bydło. Dla nich było to tylko puste krzesło, choć dla mnie zasiadała na nim istota z krwi i kości, śmiertelnik którego trzewi mógłbym dosięgnąć ostrzem.

Ul Vas przemówił ponownie:

– Wyprowadzić ich! Zamknąć mężczyzn w Wieży Turkusów, a kobiety zabrać do Wieży Diamentów.

Chciałem rzucić się na niego i udusić gołymi rękoma, ale rozsądek podpowiadał, że nie ocaliłbym w ten sposób Dejah Thoris. Zginąłbym tylko, a tym samym przepadłaby jej największa, a możliwe że jedyna nadzieja na ratunek. Oddaliłem się więc w milczeniu, pozwalając zaprowadzić się z resztą mężczyzn. Moim ostatnim wspomnieniem sali tronowej było ukryte za długimi rzęsami spojrzenie Ozary, jeddary Tarydów.

Nie wróciliśmy z Umką do celi, w której trzymano nas wcześniej. Zaprowadzono nas wraz z Jat Orem, Gar Nalem i Ur Janem do wielkiego pomieszczenia w Wieży Turkusów.

Milczeliśmy, dopóki drzwi nie zamknęły się za eskortą, niewidoczną dla wszystkich poza człowiekiem-kotem i mną. Na twarzach pozostałych dało się zauważyć zaskoczenie.

– O co w tym wszystkim chodzi, Vandorze? – zapytał Jat Or. – Dlaczego staliśmy w ciszy tej pustej sali przed pustymi tronami?

– Sala nie była cicha i stał w niej tłum ludzi – odpowiedziałem. – Na tronach, które wydawały ci się puste, siedzieli władcy tego zamku, a jego jeddak wydał wyrok śmierci na nas wszystkich. Mamy zginąć za siedem dni od teraz.

– Księżniczka i Zanda również?

Potrząsnąłem głową.

– Niestety, nie.

– Dlaczego Niestety? – zapytał, zbity z tropu.

– Ponieważ wołałyby śmierć od tego, co je czeka. Zatrzyma je dla siebie Ul Vas, jeddak tej krainy.

Jat Or spochmurniał.

– Musimy coś zrobić – powiedział. – Trzeba je ratować.

– Wiem, ale jak?

– Czyżbyś porzucił nadzieję? Pójdiesz spokojnie na śmierć, wiedząc, co je czeka?

– Znasz mnie chyba lepiej, Jat Orze. Mam nadzieję, że wydarzy się jeszcze coś, co podsunie nam pomysł na ratunek, a choć w tej chwili nie dostrzegam żadnej nadziei, to nie porzucam jej jeszcze. Gdyby nie nadarzyła się żadna okazja, to skoro nie zdołam jej ocalić, mogę ją przynajmniej w ostatniej chwili pomścić, ponieważ mam nad tymi ludźmi przewagę, o której nie wiedzą.

– Co to za przewaga?

– Widzę ich i słyszę.

Skinął głową.

– Racja, zapomniałem, ale wydawało się to niemożliwe, kiedy w sali nie było nic, co można by zobaczyć lub usłyszeć.

– Dlaczego chcą nas zabić? – zapytał Gar Nal, który podsłuchiwał naszą rozmowę.

– Chcą nas złożyć w ofierze czczonemu przez nich Ognistemu Bogu.

– Ognistemu Bogu? – powtórzył Ur Jan. – Co to za jeden?

– Słońce.

– Ale jak to możliwe, że rozumiesz ich mowę? – zapytał Gar Nal. – Nie posługują się przecież tym samym językiem, którym mówimy na Barsoom.

– Owszem, ale Umka, z którym zamknięto mnie w dniu, kiedy nas ujęto, nauczył mnie mowy Tarydów.

– Kim są Tarydzi? – chciał wiedzieć Jat Or.

– To lud, który nas uwięził.

– A jak nazywają Thurię? – zapytał Gar Nal.

– Nie jestem pewny, ale zapytam Umkę. Umka – powiedziałem w jego języku – Co oznacza słowo Ladan?

– To nazwa świata, na którym żyjemy. Słyszałeś, jak Ul Vas powiedział, że zginiemy kiedy Ognisty Bóg okrąży Ladan siedem razy.

Kiedy to wyjaśnił, pograżyłem się w rozmowie z pozostałymi ludźmi z Barsoom i nareszcie miałem okazję przyjrzeć się uważniej Gar Nalowi i Ur Janowi.

Pierwszy z nich, jak większość Marsjan, był w trudnym do określenia wieku. Nie był tak stary, żeby było to po nim widać, jak Fal Sivas. Mógł mieć dowolną liczbę lat – od setki do tysiąca. Miał wysokie czoło i dość rzadkie jak na Marsjanina włosy, a jego rysy nie miały w sobie nic szczególnego, poza oczami, których podstępne i okrutne spojrzenie nie przypadło mi do gustu.

Ur Jan, którego już wcześniej widziałem, był dokładnie takim typem człowieka, jakiego można by się spodziewać po płatnym zabójcy: krępy,

brutalnym wojownikiem najgorszego typu. Za to z tej dwójki prędzej zaufałbym jemu niż Gar Nalowi.

Wydawało mi się niezwykle, że trafiłem do jednej celi z dwoma zapiekłymi nieprzyjaciółmi, ale rozumiałem – oni zapewne też – że kontynuowanie naszej wojny w tych warunkach nie przyniosłoby nam żadnych korzyści. Z kolei gdyby nadarzyła się okazja do ucieczki, czterech potrafiących posługiwać się mieczem ludzi miało o wiele większe szanse na odzyskanie wolności niż dwóch. A tyłu, lub jeszcze mniej, zostałoby, gdybyśmy nie zawiesili naszego konfliktu, ponieważ dla zapewnienia spokoju musiała zginąć co najmniej dwójka, a możliwe, że trzech z nas.

Umka trzymał się nieco na uboczu, kiedy nasza czwórka wdała się w rozmowę w języku Barsoom. Zdążyliśmy się już zaprzyjaźnić i liczyłem, że pomogłby nam, gdyby pojawiła się okazja do ucieczki. Zależało mi więc, aby zachował przyjazne nastawienie, wobec czego od czasu do czasu wciągałem go w rozmowę, tłumacząc jego wypowiedzi.

Całymi dniami obserwowałem, jak codziennie bawił się nieszczęsnymi stworzeniami, które przynoszono mu jako posiłek, więc widok ten nie robił już na mnie wrażenia. Za to kiedy tego dnia przyniesiono nam jedzenie, pozostali z Barsoom przyglądali mu się z pełną fascynacji grozą i zauważyłem, że Gar Nal naprawdę zaczął się go bać.

Ledwo skończyliśmy posiłek, drzwi otworzyły się znowu i do celi weszło kilku wojowników. Dowodził nimi ponownie Zamak, oficer, który eskortował Umkę i mnie do sali tronowej.

Tylko my dwaj widzieliśmy, że ktoś wszedł do celi, a ja udawałem z trudem, że nie zauważyłem tego.

– Tam jest! – powiedział Zamak, wskazując na mnie. – Bierzcie go.

Żołnierze podeszli i chwycili mnie z dwóch stron za ramiona, po czym zaczęli ciągnąć w stronę drzwi.

– Co się dzieje? – zawołał Jat Or. – Co się stało, Vandorze? Dokąd idziesz?

Drzwi były nadal uchylone i widział, że przesuwałem się w ich stronę.

– Nie wiem, Jat Orze! Znowu mnie gdzieś zabierają.

– Książę! – zawołał i skoczył za mną, jakby chciał odciągnąć mnie od drzwi, ale żołnierze wypchnęli mnie już na korytarz i zatrzasnęli mu je przed nosem.

– Dobrze, że ci ludzie nas nie widzą – stwierdził jeden z eskortujących mnie żołnierzy. – W przeciwnym wypadku przed chwilą czekałaby nas niezła przeprawa.

– Ten tutaj walczyłby pewnie jak lew – dodał jeden z popychających mnie ludzi. – Mięśnie ramion ma jak sztaby srebra.

– Nawet najlepszy nie może walczyć z przeciwnikiem, którego nie widzi – zauważył kolejny.

– Akurat temu poszło całkiem nieźle na dziedzińcu, kiedy go złapaliśmy. Posiniaczył mnóstwo strażników a dwóch zabił gołymi dłońmi.

Dopiero teraz dowiedziałem się, że odniosłem jakikolwiek sukces w tym starciu, i poczułem pewną satysfakcję. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak czuliby się, gdyby wiedzieli, że nie tylko widziałem ich, ale również słyszałem i rozumiałem.

Przez swoje domniemane bezpieczeństwo stali się tak nieostrożni, że niemal każdemu z łatwością wyrwałbym broń i na pewno poradziłbym sobie nieźle w walce, ale nie rozumiałem, w jaki sposób pomógłbym tym sobie lub towarzyszom niewoli.

Zaprowadzono mnie do części pałacu różniącej się zupełnie od tych, które do tej pory widziałem. Bogate, luksusowe ozdoby i sprzęty były tu jeszcze bardziej olśniewające niż we wspaniałej sali tronowej.

Niedługo doszliśmy do drzwi, przed którymi stało na straży kilku wojowników.

– Przyszliśmy zgodnie z rozkazem – powiedział Zamak – i przyprowadziliśmy jasnoskórego jeńca.

– Możecie wejść, jeddara was oczekuje – odpowiedział jeden ze strażników i otworzył szeroko wielkie, dwuskrzydłowe drzwi.

Za nimi było pomieszczenie urządzone z takim przepychem i tak niewymownie piękne, że w moim skromnym słowniku brak słów, aby je opisać. Gobeliny w kolorach nieznanym ziemskim oczom wisiały na ścianach, które zdawały się wyrzeźbione z litej kości słoniowej, choć nie wiem, z jakiego budulca je wzniesiono. Mam wrażenie, że właśnie bogactwo użytych materiałów i kunsztowne wyposażenie nadawały wnętrzu uroku, ponieważ opisując je teraz, stwierdzam, że w pewnym sensie dominującą jego cechą była prostota.

Kiedy weszliśmy, w środku nie było nikogo poza nami. Eskorta odprowadziła mnie na środek sali i zatrzymała się.

Po chwili otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie i wyszła z nich ładna, młoda kobieta – niewolnica, jak się później dowiedziałem.

– Zaczekasz na korytarzu, Zamak – powiedziała. – Więzień pójdzie ze mną.

– Sam, bez straży? – spytał zdumiony dowódca eskorty.

– Takie są rozkazy – odpowiedziała.

– Ale jak może iść z tobą, skoro nie widzi nas ani nie słyszy, a nawet gdyby słyszał, to nie zrozumie?

– Poprowadzę go za rękę.

Kiedy podeszła do mnie, żołnierze puścili moje ręce. Ujęła mnie za dłoń i wyprowadziła z sali.

Komnata, do której mnie wprowadziła, choć nieco mniejsza, była o wiele piękniejsza niż poprzednia. Ale to nie jej wyposażenie przykuło moją uwagę, a przebywająca tam osoba.

Niełatwo mnie zaskoczyć, ale muszę wyznać, że kiedy rozpoznałem w kobiecie spoczywającej na otomanie, i obserwującej mnie uważnie spod długich rzęs, Ozarę, jeddarę Tarydów, byłem osłupiały.

Służąca odprowadziła mnie na środek komnaty i zatrzymała się, czekając i spoglądając pytającym wzrokiem na swoją panią. Tymczasem, przypomniawszy sobie, że miałem udawać, że nie słyszę ich i nie widzę, próbowałem skupić wzrok gdzieś za piękną władczynią, której przymknięte oczy zdawały się czytać mi w duszy.

– Możesz odejść, Ulah – powiedziała zaraz.

Niewolnica ukloniła się nisko i wycofała się z pokoju.

Przez kilka chwil po jej odejściu ciszy nie przerywał żaden dźwięk, ale cały ten czas czułem na sobie spojrzenie Ozary.

Po pewnym czasie roześmiała się srebrzystym, melodyjnym śmiechem.

– Jak ci na imię? – zapytała.

Udawałem, że jej nie słyszę, zajmując oczy podziwianiem uroków pomieszczenia. Wyglądało na buduar królowej i stanowiło wspaniałe otoczenie dla jej niezaprzeczalnej urody.

– Posłuchaj, udało ci się oszukać Ul Vasa, Zamaka, arcykapłana i całą resztę, ale nie mnie. Przyznam, że wspaniale panujesz nad sobą, ale zdradziły cię twoje oczy. Zrobiły to w sali tronowej i zrobiły znowu, kiedy tu wszedłeś, co zresztą przewidziałam. Kiedy mnie zobaczyłeś, widać było w nich zaskoczenie, a to może oznaczać tylko jedno: że zobaczyłeś mnie i rozpoznałeś. W sali tronowej zauważyłam też, że rozumiałeś, co mówiliśmy. Jesteś bardzo inteligentną istotą, a w twoim spojrzeniu widać było reakcję na wszystko, co słyszałeś.

Bądźmy ze sobą szczerzy, ponieważ łączy nas więcej niż przypuszczasz. Nie żywię wobec ciebie wrogich uczuć. Rozumiem, dlaczego wydaje ci się, że ukrywanie tego, że nas widzisz i słyszysz, zapewni ci przewagę, ale ręczę ci, że ufając mi nie wyjdiesz na tym źle, skoro i tak wiem już, że widzisz mnie i słyszysz.

Nie rozumiałem, co miała na myśli twierdząc, że wiele nas łączyło, chyba że miał to być wybieg, którym chciała nakłonić mnie do wyznania, że widziałem i słyszałem Tarydów. Z drugiej strony, nie widziałem żadnego

powodu, dla którego ona czy ktokolwiek inny mógłby skorzystać na tej wiedzy. Pozostawałem w ich mocy i to czy słyszałem ich i widziałem, czy nie, nie miało ostatecznie większego znaczenia. Co więcej, byłem przekonany, że siedząca przede mną dziewczyna była niezwykle mądra i nie zdołałbym oszukać jej, próbując przekonać, że nadal jest dla mnie niewidzialna. Ogólnie rzecz biorąc, nie widziałem powodu, aby nadal przed nią udawać, wobec czego spojrzałem jej prosto w oczy i uśmiechnąłem się.

– Twoja przyjaźń, Ozaro, będzie dla mnie zaszczytem – rzekłem.

– Nareszcie! Wiedziałaś, że się nie mylę!

– A jednak miałaś wątpliwości.

– Tylko dlatego, że jesteś mistrzem udawania.

– Sądziłem, że życie i wolność moje i towarzyszy mogą zależeć od tego, czy uda mi się ukryć przed twoimi ludźmi, że widzę ich i rozumiem.

– Nie władasz naszym językiem zbyt dobrze. Jak się go nauczyłeś?

– Uczył mnie Masena, z którym byłem uwięziony – wyjaśniłem.

– Opowiedz mi o sobie. Powiedz, jak się nazywasz, skąd pochodzisz, czym są te dziwne urządzenia, którymi przybyliście do ostatniej twierdzy Tarydów i dlaczego tu jesteście.

– Nazywam się John Carter, księżę rodu Tardos Morsa, jeddaka Helium.

– Helium? Gdzie to jest? Nigdy o nim nie słyszałam.

– To na innym świecie – Barsoom, wielkiej planecie, którą nazywacie większym księżycem.

– A zatem jesteś w twoim kraju księciem? Tak też myślałam. Rzadko się mylę w ocenie ludzi. Spośród twoich towarzyszy obie kobiety i jeden mężczyzna są szlachetnie urodzeni, pozostali dwaj – nie. Za to jeden z nich posiada genialny umysł, podczas gdy drugi to tępe, nisko urodzone bydło.

Uśmiechnąłem się mimowolnie, słysząc tak dokładną ocenę moich towarzyszy. Istotnie, miałem przed sobą genialną kobietę. Czułem, że o ile naprawdę chciała się ze mną zaprzyjaźnić, mogła wiele dla nas zrobić. Nie

pozwaląłem jednak nadziejom wznieść się zbyt wysoko, ponieważ koniec końców była małżonką Ul Vasa, który skazał nas na śmierć.

– Bardzo dokładnie rozpoznałaś ich charakter, pani – powiedziałem.

– Zaś ty – mówiła dalej – jesteś w twoim świecie kimś wielkim i mógłbyś stać się wielki na każdej planecie. Nadal jednak nie powiedziałeś mi, dlaczego tu przybyliście.

– Ci dwaj, o których mówiłaś na końcu, porwali księżniczkę z rodu władcy mego kraju.

– To pewnie ta piękność.

– Zgadza się. Razem z trzecim mężczyzną i drugą dziewczyną ruszyliśmy za nimi w pogoń. Zaraz po dotarciu na Ladan zobaczyliśmy ich pojazd na dziedzińcu waszego zamku. Wylądowaliśmy, żeby uratować księżniczkę i ukarać jej porywaczy. To wtedy schwytali nas wasi ludzie.

– A zatem nie chcieliście wyrządzić nam krzywdy?

– Z całą pewnością nie. Nie wiedzieliśmy przecież nawet o waszym istnieniu.

Skinęła głową.

– Byłam pewna, że nie mieliście wrogich zamiarów, ponieważ żaden nieprzyjaciel nie uległby całkowicie naszej mocy, ale nie mogłam przekonać Ul Vasa i reszty.

– Doceniam twoją wiarę we mnie, ale nie rozumiem, skąd to zainteresowanie obcym przybyszem – powiedziałem.

Przyglądała mi się przez chwilę w milczeniu, omiatając powłóczystym spojrzeniem pięknych oczu.

– Może dlatego, że tyle nas łączy – powiedziała w końcu. – A może z powodu mocy, która przewyższa wszystkie inne i kieruje nami wbrew naszej woli.

Urwała i zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem, po czym potrząsnęła głową ze zniecierpliwieniem.

– Łączy nas to, że obydwójce jesteśmy więźniami w zamku Ul Vasa –
oznajmiła. – A powód, dla którego interesuję się tobą zrozumiałbyś, gdybyś
był choć w części tak inteligentny, za jakiego cię uważałam.

PRÓBA UCIECZKI

Możliwe, że Ozara przeceniła moją inteligencję, ale nie doceniła ostrożności. Nie mogłem przecież przyznać się do tego, że rozumiałem wnioski płynące z jej słów. Implikacje były w gruncie rzeczy tak niedorzeczne, że początkowo byłem skłonny uznać to za podstęp, którym chciała zdobyć moje zaufanie i wyciągnąć ze mnie przyznanie się do ukrytych motywów wobec jej ludu. Stąd starałem się puścić mimo uszu wyznaczenie ukryte w jej ostatnim zdaniu, starając się sprawiać wrażenie zbitego z tropu pierwszym, które rzeczywiście było dla mnie zaskoczeniem.

– Ty – więźniem? Myślałem, że jesteś jeddarą Tarydów?

– Owszem, jestem. Ale mimo to jestem tu więźniem.

– Przecież to twój lud?

– Ależ nie – odpowiedziała. – Pochodzę z Domni. Moja ojczyzna leży daleko za górami ciągnącymi się za puszcza, która otacza zamek Ul Vas.

– Twoja rodzina wydała cię za niego?

– Nie. Zostałam uprowadzona. Moja rodzina nie wie, co się ze mną stało. Dobrowolnie nigdy nie wysłaliby mnie tutaj i na pewno nie zostałabym tu, gdybym mogła uciec. Ul Vas to zwierzę. Często zmienia żony. Jego szpiedzy stale szukają młodych, pięknych dziewcząt w innych krajach. Kiedy znajdą piękniejszą ode mnie, pójdę w ślady moich poprzedniczek, ale wydaje mi się, że znalazł już kogoś, kto przypadł mu do gustu, a moje dni są policzone.

– Sądzisz, że jego szpiedzy znaleźli piękniejszą od ciebie? To chyba niemożliwe?

– Dziękuję za komplement, ale to nie jego szpiedzy na nią trafili, a sam Ul Vas. Nie widziałeś, jak patrzył na twoją piękną rodaczkę w sali

tronowej? Ledwie mógł oderwać od niej oczy! Pamiętasz chyba, że darował jej życie?

– Podobnie jak tej drugiej dziewczynie, Zandzie – przypomniałem. – Czy ją również uczyni jeddara?

– Nie, wolno mu mieć tylko jedną żonę. Ta dziewczyna przeznaczona jest dla arcykapłana. W ten sposób Ul Vas zjednuje sobie przychyłość bogów.

– Jeśli weźmie tę drugą kobietę, ona go zabije.

– Ale to mi już nie pomoże – stwierdziła Ozara.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie może wziąć nowej jeddary, dopóki żyje poprzednia.

– Zabiją cię?

– Zniknę. W tym zamku dzieją się dziwne i straszne rzeczy.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego po mnie posłałaś. Chcesz uciec i sądzisz, że jeśli uda ci się pomóc nam w ucieczce, to zabierzemy cię ze sobą.

– Przynajmniej częściowo pojmujesz, co mną kieruje – powiedziała. – Reszty dowiesz się z czasem.

– Uważasz, że mamy szansę stąd uciec?

– Niewielkie, ale skoro i tak mamy zginąć, nie ma ryzyka, którego nie moglibyśmy podjąć.

– Masz jakiś plan?

– Moglibyśmy uciec statkiem, który stoi na dziedzińcu.

Dopiero teraz poczułem szczere zainteresowanie.

– Któryś statek nadal jest na dziedzińcu? Tylko jeden? Nie zniszczyli go?

– Chcieli, ale boją się do niego zbliżyć. Kiedy was schwytano, dwaj wojownicy weszli do jednego z pojazdów, który zaraz odleciał, zabierając ich ze sobą. Poderwał się dopiero, kiedy pierwszy z nich zawołał do swojego towarzysza, że statek był opuszczony. Teraz wszyscy uważają, że

wasze pojazdy są zaklęte i nie chcą nawet podejść do tego, który stoi na dziedzińcu.

– Wiesz, co się stało z drugim statkiem? Dokąd poleciał?

– Wisi na niebie, wysoko nad zamkiem. Unosi się tylko w miejscu, jakby czekał nie wiadomo na co. Ul Vas boi się go. To jeden z powodów, dla których nie kazał zabić was wcześniej. Chciał przekonać się, co robi statek, i zbierał odwagę do tego, aby wydać na was wyrok, ponieważ jest wielkim tchórzem.

– Sądziś więc, że może nam się udać dotrzeć do statku?

– Istnieją pewne szanse. Mogę ukryć cię w moich pokojach do wieczora, kiedy zamek uda się na spoczynek. Wtedy, o ile uda nam się ominąć strażę przy bramie zewnętrznej i wyjść na dziedziniec, powinno nam się udać. Warto spróbować, ale możliwe, że będziesz musiał przebić się przez strażników. Dobrze władasz mieczem?

– Potrafię to i owo, ale jak sprowadzimy tam resztę mojej grupy? – zapytałem.

– Polecimy we dwoje.

Potrząsnąłem głową.

– Nie mogę lecieć bez tych ludzi.

Spojrzała na mnie z nagłą podejrzliwością.

– Dlaczego? Kochasz jedną z tych kobiet i nie chcesz lecieć bez niej?!

Mówiła głosem zabarwionym urazą, jak zazdrosna kobieta. O ile miałem umożliwić ucieczkę pozostałym, zwłaszcza Dejah Thoris, nie mogłem pozwolić, żeby poznała prawdę. Wymyśliłem więc szybko dwa słuszne powody, dla których nie mogliśmy lecieć sami.

– Tam, skąd pochodzę, honor nie pozwala mężczyźnie opuścić towarzyszy w potrzebie. Nie mógłbym więc odlecieć bez nich bez utraty godności. Istnieje jednak jeszcze inny, ważniejszy powód.

– Jaki?

– Statek na dziedzińcu należy do moich wrogów, tych dwóch mężczyzn, którzy porwali księżniczkę. Mój pojazd unosi się nad zamkiem. Nie znam się na kierowaniu tym drugim. Nawet gdyby udało nam się do niego dotrzeć, nie wiedziałbym, jak nim latać.

Zadumała się na chwilę, po czym podniosła na mnie wzrok.

– Ciekawe, czy nie kłamiesz.

– Od tego, czy mi uwierzysz, zależy życie twoje, moje i moich towarzyszy.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę w milczeniu, po czym z gestem zniecierpliwienia stwierdziła:

– Nie wiem, jak moglibyśmy sprowadzić ich w pobliże statku.

– Wydaje mi się, że wiem, jak stąd uciec – powiedziałem. – O ile nam pomożesz.

– Jak to zrobić?

– Uda się na pewno, jeśli przyślesz mi do celi narzędzia do przecięcia krat w oknach i powiesz, gdzie dokładnie uwięziono kobiety.

– Jeśli to zrobię, uciekniecie beze mnie – powiedziała podejrzliwym głosem.

– Daję ci słowo, że jeśli zrobisz, o co proszę, nie odlecę stąd bez ciebie.

– Co jeszcze miałabym zrobić?

– Czy zdołasz dostać się do pomieszczenia, w którym trzymają księżniczkę i Zandę?

– Chyba uda mi się, o ile Ul Vas nie wpadnie na to, że odgadłam jego zamiary. Mógłby wtedy pomyśleć, że chcę je zabić. Ale nie jestem pewna, czy uda mi się załatwić narzędzia, którymi mógłbyś przeciąć kraty w oknach. To znaczy, mogę je zdobyć – poprawiła się – ale nie wiem, jak je wam dostarczyć.

– Gdybyś przysłała mi trochę jedzenia, mogłabyś ukryć w naczyniach pilnik albo piłę – zasugerowałem.

– No tak! Przyślę ci Ulah z jedzeniem.

– A co z prętami w oknach celi kobiet?

– Trzymają je bardzo wysoko w Wieży Diamentów. Okna nie mają tam krat, ponieważ tą drogą nikomu nie udałoby się stamtąd uciec. U podstawy wieży zawsze stoi straż, ponieważ mieszczą się tam pokoje jeddaka, więc jeśli chcesz, żeby uciekły przez okno, możesz od razu o tym zapomnieć.

– Nie sądzę. O ile mój plan się sprawdzi, łatwiej im będzie uciec ze szczytu wieży niż z dziedzińca.

– Ale co z tobą i resztą mężczyzn? Nawet jeśli zdołacie zejść z okna waszej celi, nigdy nie dostaniecie się do Wieży Diamentów, żeby doprowadzić twój plan do końca.

– Zostaw to mnie. Zaufaj mi, a sądzę, że jeśli tylko wykonasz swoją część planu, wszyscy stąd uciekniemy.

– Dziś w nocy?

– Nie, nie sądzę. Lepiej zaczekać do jutra, ponieważ nie wiemy, jak długo potrwa przecięcie krat w oknie. Może najlepiej będzie, jeśli odeślesz mnie teraz i najszybciej, jak to możliwe, przemycisz narzędzia do naszej celi.

Skinęła głową.

– Racja.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Po czym rozpoznać Wieżę Diamentów? Gdzie jej szukać?

Sprawiła wrażenie zaskoczonej.

– To środkowa, najwyższa wieża zamku, ale nie wiem, jak tam trafisz bez przewodnika i wielu wojowników.

– To zostaw mnie. Musisz za to wskazać mi pomieszczenie, gdzie uwięziono kobiety.

– W jaki sposób?

– Kiedy wejdiesz do ich celi, wywieś przez okno kolorowy szal – niech będzie czerwony.

– Zobaczysz go z wnętrza zamku?

– Mniejsza z tym, jeśli mój plan się spełni, na pewno go znajdę. A teraz odeślij mnie, proszę.

Uderzyła w wiszący obok sofy gong i do komnaty weszła Ulah.

– Odprowadź więźnia do Zamaka i każ odstawić go do celi – powiedziała Ozara.

Ulah wzięła mnie za rękę i wyprowadziła sprzed oblicza jeddary do sąsiedniej sali i dalej, do korytarza, w którym czekał Zamak z żołnierzami. Przekazała mnie im, po czym odprowadzono mnie do celi w Wieży Turkusów, gdzie czekali moi towarzysze.

Na mój widok Jat Or wydał okrzyk ulgi.

– Kiedy cię zabrali, książę, myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę! Na szczęście los okazał mi łaskę! Oto mam dwa dowody, że fortuna znowu zaczyna mi sprzyjać: wróciłeś, a na dodatek, kiedy otworzyły się drzwi, ujrzałem Tarydów, którzy cię prowadzili.

– Widziałeś ich?

– Widziałem i słyszałem.

– Ja również – powiedział Gar Nal.

– A ty? – zapytałem Ur Jana, ponieważ im więcej nas ich widziało, tym większe szanse mielibyśmy na wypadek walki, do której mogło dojść podczas próby ratowania kobiet i ucieczki.

Potrząsnął posępnie głową.

– Nic nie widziałem i nie słyszałem.

– Nie poddawaj się – dodałem mu otuchy. – Na pewno ci się uda, tylko nie ustawaj w wysiłkach.

– Mam dobre wieści – powiedziałem, odwracając się do Gar Nala. – Nasze statki są bezpieczne. Twój stoi nadal na dziedzińcu. Boją się do niego podejść.

– A co z twoim?

– Wisi na niebie nad zamkiem.

– Zabrałeś kogoś jeszcze z Barsoom?

– Nie.

– Ale ktoś musi być na statku, inaczej przecież nie mógłby latać.

– Ktoś jest na pokładzie.

Wyglądał na zdezorientowanego.

– Przed chwilą mówiłeś, że nie przyleciał nim nikt poza wami?

– Na pokładzie jest dwóch Tarydów.

– Przecież nie potrafią nim kierować! Co mogą wiedzieć o złożonym mechanizmach pojazdu Fal Sivasa?

– Nic. I nie potrafią kierować statkiem.

– W takim razie skąd się tam, na Issus, wziął?

– Tego nie musisz wiedzieć – powiedziałem. – Wystarczy, że statek tam jest.

– Ale w taki razie co nam po nim?

– Sądzę, że uda mi się go tu sprowadzić, kiedy nadejdzie pora – powiedziałem, choć w gruncie rzeczy nie byłem przekonany, czy uda mi się pokierować mechanicznym mózgiem z tak wielkiej odległości. – Martwię się nie tyle o mój statek, co o twój. Musimy go odzyskać, ponieważ kiedy uciekniemy z zamku, nasz rozejm przestanie obowiązywać i nie byłoby dobrze, żebyśmy podróżowali tym samym pojazdem.

Przytaknął na to, ale widziałem, że zmrużył chytrze oczy. Zastanawiałem się, czy nie oznaczało to, że obmyślał jakąś zdradę, ale odsunąłem tę myśl ze wzruszeniem ramion, bowiem jego plany nie miały wielkiego znaczenia, dopóki mogłem patrzeć mu na ręce przed przeniesieniem Dejah Thoris na pokład mojego statku.

Ur Jan siedział na ławie wpatrzony w pustkę. Wiedziałem, że wyteżał swój tępy umysł, starając się przełamać urok, jaki rzucili na niego Tarydzi. Umka leżał na podłodze zwinięty w kłębek, pomrukując z zadowoleniem. Jat Or stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz.

Drzwi otworzyły się i odwróciliśmy się wszyscy w ich stronę. Ulah, niewolnica jeddary przyniosła nam jedzenie w wielkim glinianym naczyniu.

Postawiła je na podłodze za drzwiami i cofnąwszy się do korytarza, zamknęła za sobą drzwi.

Podszedłem szybko do naczynia i podniosłem je, a kiedy odwróciłem się do reszty, zobaczyłem, że Ur Jan stał, wpatrując się w drzwi szeroko otwartymi oczami.

– Co się stało? – zapytałem. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Widziałem ją! Widziałem. Duch, czy nie duch, naprawdę ją zobaczyłem.

– Świetnie! – zawołał głośno Jat Or. – Teraz wszyscy wyrwaliśmy się spod tego przeklętego zaklęcia.

– Dajcie mi dobry miecz – warknął Ur Jan – a zaraz wyrwiemy się z tego zamku.

– Najpierw musimy wydostać się z tej celi – przypomniał mu Gar Nal.

– Wydaje mi się, że zawartość tego naczynie może pomóc nam w ucieczce – powiedziałem. – Dalej, zjedzmy posiłek, póki go mamy, i przekonajmy się, co znajdziemy na dnie.

Otoczyli mnie i zajęliśmy się miłym zadaniem opróżniania naczynia, a nie dotarliśmy głęboko, kiedy trafiłem na trzy pilniki. Z ich pomocą zabraliśmy się od razu do piłowania krat w jednym z okien.

– Nie przecinajcie prętów do końca – ostrzegłem. – Wystarczy, że nadpiłujecie trzy, żebyśmy mogli odgiąć je, kiedy nadejdzie pora.

Metal, z którego zrobiono kraty był albo jakimś nieznanym na Ziemi i Barsoom pierwiastkiem, albo równie tajemniczym stopem. Okazał się bardzo twardy. W istocie rzeczy na początku sprawiał wrażenie niemal tak samo twardego jak pilniki, w końcu jednak zaczęliśmy wgryzać się w pręty, choć widziałem, że czekała nas długa i żmudna praca.

Zmagaliśmy się z kratami całą noc i cały następny dzień.

Kiedy niewolnicy przynosili jedzenie, dwóch z nas stawało przy oknie, wyglądając przez nie i chwytając pręty dłońmi, żeby ukryć ślady naszej pracy. W ten sposób udało nam się skończyć wszystko niepostrzeżenie.

Zapadła noc. Zbliżała się chwila, kiedy mogłem poddać próbie część planu, od której zależało powodzenie naszej przygody. Gdyby nie udało mi się, wszystkie nasze trudy okazałyby się daremne, ponieważ wszelkie nadzieje na ucieczkę ległyby w gruzach. Nie powiadomiłem reszty o tym, co chciałem zrobić, i nie wtajemniczałem ich w nękające mnie obawy i wątpliwości.

Ur Jan wyglądał przez okno.

– Możemy odgiąć pręty w dowolnej chwili – stwierdził – ale nie rozumiem, co nam to da. Nawet gdybyśmy połączyli wszystkie nasze upręże, nie sięgałyby dachu zamku pod nami. Wygląda na to, że cała nasza praca na nic.

– Usiądź – powiedziałem. – Siedźcie wszyscy spokojnie, i nie mówcie nic ani nie ruszajcie się, póki wam nie powiem.

Tylko Jat Or mógł domyślać się, co zamierzałem, ale wszyscy posłuchali mojego polecenia.

Podszedłem do okna i przeszukiwałem wzrokiem niebo, ale nigdzie nie widziałem naszego statku. Mimo to spróbowałem skupić się na mechanicznym mózgu, gdziekolwiek mógł w tej chwili być. Poleciałem mu zejść na niższy pułap i podlecieć do okna wieży, przy którym stałem. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie skupiłem się tak bardzo na jednej myśli. Miałem wrażenie, że wyczułem reakcję, prawie tak samo wyczuwalną, jak napięcie mięśnia w odpowiedzi na polecenie umysłu. Na czoło wystąpił mi zimny pot.

Cela za mną była cicha jak grobowiec, a przez otwarte okno z uszpiętego zamku nie dobiegał żaden dźwięk.

Sekundy mijały powoli, ciągnąc się w nieskończoność. Czyżby statek odleciał poza sferę, w której mogłem go kontrolować? Czyżbym utracił go na zawsze? Zdekoncentrowałem się i opadły mnie tego rodzaju myśli. Ogarnął mnie szalony mętlik sprzecznych uczuć: nadziei, zwątpienia, lęku

i naglej, momentalnej pewności powodzenia, przechodzącej w zniechęcenie równie szybko, jak wyrastała z niczego.

Wtem ujrzałem na niebie wyłaniający się z mroku czarny kadłub, który przesuwał się powoli w moją stronę.

Przez chwilę poczułem się słabo, ale zaraz odzyskałem panowanie nad sobą i odgiałem trzy przecięte pręty.

Pozostali, którzy widocznie obserwowali okno z miejsc, gdzie stali czy siedzieli, teraz stłoczyli się przy nim. Usłyszałem ciche okrzyki zdumienia, ulgi i uniesienia. Odwróciłem się szybko i kazałem im zachować ciszę.

Poleciłem mózgowi, żeby podprowadził statek do okna, po czym odwróciłem się znowu do towarzyszy.

– Na pokładzie jest dwóch Tarydów – powiedziałem. – Żyją, o ile znaleźli na pokładzie wodę i jedzenie, a nie mam powodu sądzić, że umierający z głodu ludzie mogliby ich nie znaleźć. Musimy przygotować się do walki. Każdy z nich na pewno ma przy sobie miecz i sztylet. Odebrano nam broń, musimy więc pokonać ich gołymi rękami.

Odwróciłem się do Ur Jana.

– Kiedy drzwi się otworzą, dwóch z nas musi wskoczyć równocześnie do kabiny z nadzieją, że uda nam się ich zaskoczyć. Pójdiesz ze mną?

Skinął głową, a wargi wykrzywił mu paskudny uśmiech.

– Tak – powiedział. – Co za niezwykły widok: Ur Jan i John Carter walczący ramię w ramię!

– Przynajmniej daj im popalić – powiedziałem.

– Szkoda, że nie dowiedzą się, z czyjej ręki mieli zaszczyt zginąć – westchnął.

– Jat Orze, ty i Gar Nal wejdziecie na pokład zaraz za nami.

Następnie wytłumaczyłem Umce w jego własnym języku, aby wskoczył na statek za Jat Orem i Gar Nalem.

– A jeśli do tego czasu walka się nie skończy – dodałem – będziesz wiedział, co robić z Tarydami. Rozciągnął górne usta w niesamowitym

uśmiechu i mruknął z zadowoleniem.

Stałem na parapecie, a Ur Jan ustawił się obok mnie. Statek prawie ocierał się burtą o ścianę budynku; drzwi były ledwie o stopę od miejsca, w którym staliśmy.

– Bądź gotów! – szepnąłem, po czym poleciłem mechanicznemu mózgowi, żeby jak najszybciej otworzył drzwi.

Przesunęły się niemal od razu i w tej samej chwili wskoczyliśmy do środka, a za nami reszta naszych towarzyszy. W mroku kabiny zauważyłem stojących przed nami wojowników i nie dając żadnemu okazji, aby wyjął broń, podciąłem nogi stojącemu bliżej.

Upadł z hukiem, a zanim zdążył sięgnąć po sztylet, złapałem go za przeguby i przycisnąłem do podłogi.

Nie widziałem, jak Ur Jan poradził sobie ze swoim przeciwnikiem, ale chwilę później, z pomocą Umki i Jat Ora, rozbroiliśmy obu.

Ur Jan i Gar Nal chcieli ich od razu zabić, ale nie chciałem nawet o tym słyszeć. Potrafię bez najmniejszych skrupułów uśmiercić człowieka w uczciwej walce, ale nie mógłbym zamordować z zimną krwią bezbronego, choćby był moim wrogiem.

Na wszelki wypadek związaliśmy ich i zakneblowaliśmy.

– Co teraz? – zapytał Gar Nal. – Jak dotrzemy do kobiet?

– Przede wszystkim, spróbujemy odzyskać twój statek, ponieważ nawet jeśli przedłużymy nasz rozejm, nasze szanse na powrót na Barsoom wzrosną, jeśli będziemy mieli oba statki, na wypadek któremuś coś się przydarzyło.

– Racja, poza tym nie chciałbym go stracić – przytaknął. – To owoc całego życia myśli, studiów i pracy.

Poleciłem statkowi wznieść się i odlecieć, aż uznałem, że nie było go widać z zamku. Obrąłem ten kurs tylko po to, żeby zmylić Tarydów na wypadek, gdyby któryś ze strażników widział, jak manewrowaliśmy między wieżami. Ale kiedy odlecieliśmy na pewną odległość, zszedłem

nżej i podleciałem do zamku od strony dziedzińca, na którym spoczywał statek Gar Nala.

Trzymałem się tuż nad drzewami puszczy, lecąc powoli bez świateł. Zatrzymałem statek tuż za murami i przyjrzałem się uważnie dziedzińcowi leżącemu pod nami, nieco z przodu.

Widziałem wyraźnie sylwetkę statku Gar Nala, ale ani śladu straży.

Podobny stan rzeczy wydał mi się niemal zbyt piękny, żeby był prawdą, szeptem spytałem więc Umkę, czy możliwe było, że w nocy zamek nie był strzeżony.

– Straże pełnią całonocną wartę wewnątrz zamku i przed Wieżą Diamentów – powiedział – ale pilnują Ul Vasa przez śmiercią z rąk jego własnego ludu. Nie boją się, że w nocy mógłby nadejść zza murów jakiś nieprzyjaciel, ponieważ atakowano ich tylko w dzień. Puszcze Ladanu pełne są dzikich bestii, a gdyby jacyś ludzie zapuścili się do nich w nocy, zwierzęta podniosłyby taki zgiełk, że Tarydzi zostaliby ostrzeżeni na czas, żeby zorganizować obronę. Sam widzisz, że zwierzęta z puszczy to cała straż, jakiej potrzebują.

Upewniwszy się w ten sposób, że na dziedzińcu nie było nikogo, przeleciałem nad murem i wylądowałem przy pojeździe Gar Nala.

Wydałem szybko polecenia dotyczące dalszej części planu.

– Gar Nal, wejdiesz na swój statek i polecisz za mną. Podejdziemy do okna celi, w której trzymają kobiety. Kiedy zatrzymam się przy ścianie, otworzę drzwi w obu burtach. Ty zatrzymasz się obok i otworzysz drzwi w lewej burcie, aby w razie potrzeby przejść przez mój statek i wejść do celi, w której są kobiety. Możliwe, że przyda nam się każda pomoc, jeśli są dobrze strzeżone.

WIEŻA DIAMENTÓW

Kiedy patrzyłem, jak Gar Nal wszedł na pokład swojego statku, nękały mnie niejasne przeczucia, zdające się zwiastować nieszczęście. Wiedziałem jednak sprawę, że nie opierały się na niczym poza moją instynktowną niechęcią do tego człowieka, wobec czego próbowałem zepchnąć je na bok i skupić się na zadaniu przede mną.

Noc była ciemna. Na niebie nie było Marsa ani Clurosa. Właściwie, właśnie ze względu na to, wybrałem tę porę na ratowanie Dejah Thoris i Zandy.

Wkrótce usłyszałem silniki statku Gar Nala, co było ustalonym przez nas sygnałem, że był gotów do startu. Oderwałem się od powierzchni, przeleciałem nad murem i obrałem kurs prowadzący z dala od zamku. Trzymałem się go, póki nie uznałem, że wydostaliśmy się poza zasięg wzroku wszelkich potencjalnych obserwatorów, którzy mogliby nas wypatrzeć. Za nami podążała ciemna sylwetka statku wynalazcy.

Zataczając szerokie koło, wszedłem na większy pułap i zawróciłem w stronę zamku, po czym podleciałem bliżej, kierując się prosto na strzelistą Wieżę Diamentów.

Gdzieś w tej lśniącej bryle trzymano Dejah Thoris i Zandę, a jeśli Ozara nie zdradziła mnie i nic nie pokrzyżowało jej planów, to była teraz z nimi.

Zdarzały mi się chwile zwątpienia w szczerść i lojalność jeddary Tarydów. Jeśli mówiła prawdę, miała dobry powód, aby próbować wyrwać się z łap Ul Vasa. Za to myśl o pomocy w ucieczce Zandy i Dejah Thoris mogła nie napawać jej przesadnym entuzjazmem.

Przyznaję, że nie rozumiem kobiet. Często ich poczynania i ich procesy myślowe są dla mnie niewytłumaczalne. Owszem, brak mi rozeznania w kobiecych sprawach, ale nie byłem przecież na tyle głupi, żeby nie

wyczuć czegoś w zachowaniu Ozary w stosunku do mnie. Sam fakt, że po mnie posłała, zdawał się sugerować zainteresowanie moją osobą, które mogło stać w sprzeczności z dobrem księżniczki Helium.

Ale Ozara nie była jedynym niepewnym elementem mojego planu. Nie dowierzałem też Gar Nalowi. Wątpię, czy ktokolwiek, kto choć raz spojrział mu w oczy, mógł mu zaufać. Z kolei Ur Jan był moim przysięgłym wrogiem i jego interes wymagał, aby zdradził mnie lub zabił.

Zanda na pewno usłyszała już od Dejah Thoris, kim naprawdę byłem. Znając moje prawdziwe imię, niewątpliwie czuła się wolna od wszelkich zobowiązań względem mnie, a musiałem pamiętać, że przysięgła sobie zabić Johna Cartera przy pierwszej nadarzającej się okazji. Zdany byłem zatem na Jat Ora i Umkę, choć w gruncie rzeczy nie polegałem zbyt na tym ostatnim. Możliwe że miał nawet dobre intencje, ale zbyt mało wiedziałem o jego odwadze i umiejętnościach, żeby być pewnym, że w razie potrzeby okaże się przydatnym sprzymierzeńcem.

Opędzając się od podobnych zniechęcających myśli wypełniających mi głowę, zszedłem powoli w kierunku Wieży Diamentów i okrążałem ją, dopóki nie zauważyłem czerwonego szalu zawieszzonego na tle oświetlonego okna.

Zbliżyłem się cicho do muru, otwierając drzwi w obu burtach, żeby umożliwić Gar Nalowi przejście z jego statku do okna wieży.

Stałem w progu od bakburty, gotów wskoczyć do celi w chwili, kiedy statek podejdzie dość blisko.

Pokój za oknem nie był zbyt dobrze oświetlony, ale nawet w tym świetle dostrzegłem sylwetki trzech kobiet i serce zabiło we mnie żywiej ze świeżą nadzieją.

Widok zawieszzonego w oknie szalu nie do końca mnie wcześniej ucieszył, ponieważ wiedziałem, że mógł być tylko przynętą. Za to obecność trzech kobiet w środku zdawała się rozsądnym dowodem, że Ozara wiernie wypełniła swoją część umowy.

Kiedy statek zbliżył się do parapetu, szykowałem się do skoku. Ledwie znalazłem się w powietrzu, usłyszałem z dołu ostrzegawcze krzyki. Zauważyli nas strażnicy u stóp wieży!

Kiedy wylądowałem na podłodze celi, Dejah Thoris zawołała cicho ze szczęścia:

– Mój wodzu! Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz! Wiedziałam, że znajdziesz mnie wszędzie, gdziekolwiek by mnie zabrali.

– Nawet na końcu wszechświata, księżniczko – odpowiedziałem.

Nawoływania strażników w dole, wskazujące, że nasza ucieczka została zauważona, nie pozostawiały czasu na pozdrowienia czy wyjaśnienia. Poza tym żadne z nas nie miało ochoty ujawniać przed obcymi ludźmi tego, co właśnie czuliśmy. Chciałem przytulić ją do serca, przycisnąć do siebie to piękne ciało i zasypać wargi pocałunkami, ale zamiast tego powiedziałem tylko:

– Dalej, musimy natychmiast wejść na statek. Strażnicy podnieśli alarm.

Zanda podeszła do nas i ujęła mnie za ramię.

– Wiedziałam, że przylecisz, Vandorze.

Nie rozumiałem, dlaczego użyła tego imienia. Czy możliwe, że Dejah Thoris nie zdradziła jej, kim naprawdę byłem? Ozara również znała moje imię. Wydawało się niewiarygodne, że nie wspomniałaby o nim, przychodząc do celi, żeby powiedzieć zamkniętym w niej kobietom o planowanej ucieczce i o tym, komu miały ją zawdzięczać.

Ozara nie pozdrowiła mnie. Przyglądała mi się uważnie spod jedwabistej zasłony rzęs, a kiedy na chwilę zatrzymałem wzrok na jej oczach, miałem wrażenie, że zauważyłem w jej spojrzeniu ślad złości. Możliwe jednak, że była to tylko moja wyobraźnia. Zresztą, nie miałem czasu na roztrząsanie i omawianie jej uczuć.

Kiedy odwróciłem się w stronę okna, ogarnęło mnie zakłopotanie. Statki zniknęły!

Podbiegłem do okna i wyrząłem przez nie. Zobaczyłem je po lewej stronie, odlatujące w mrok.

Co za splot okoliczności usiłował udaremnić moje plany dokładnie w chwili, kiedy zdawało się, że się spełnią?

Kobiety podzielały moją konsternację.

– Statek! – zawołała Dejah Thoris.

– Gdzie zniknął? – zapytała Ozara.

– Jesteśmy zgubieni – stwierdziła Zanda. – Słyszę na schodach uzbrojonych ludzi.

Nagle zrozumiałem, co się stało. Poleciałem mechanicznemu mózgowi, żeby zbliżył się do okna, ale nie kazałem mu zatrzymać się tam. Kiedy skoczyłem, poleciał dalej, zanim reszta zdążyła pójść w moje ślady. Gar Nal zaś, nie wiedząc, co się stało, poleciał za nimi, postępując zgodnie z moim poleceniem.

Błyskawicznie skupiłem myśli na mechanicznym mózgu, rozkazując mu przyprowadzić statek z powrotem do okna i zatrzymać się tam. Robienie sobie wyrzutów byłoby w tej chwili bezcelowe, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że moja bezmyślność naraziła na niebezpieczeństwo moją ukochaną i pozostałych ludzi, których miałem chronić.

Słyszałem już wyraźnie nadciągających biegiem wojowników. Za oknem widziałem zawracające w naszą stronę statki. Czy zdążą, zanim będzie za późno? Poleciałem statkowi lecieć z najwyższą bezpieczną szybkością, na co wyskoczył mocno do przodu. Strażnicy byli już blisko, na ile byłem w stanie to ocenić, dotarli już na piętro pod nami. Za chwilę mieli stanąć u drzwi celi.

Miałem przy sobie miecz jednego z wojowników, z którymi walczyliśmy w kabinie statku, ale czy sam jeden mogłem pokonać nadciągający oddział straży?

Statki zbliżały się, lecąc niemal równo ze sobą. Widziałem już Jat Ora i Ur Jana, stojących w drzwiach pojazdu Fal Sivas.

– Podnieśli alarm i strażę prawie już tu są! – zawołałem. – Spróbuję ich zatrzymać, a wy zabierzcie kobiety na pokład.

Mówiąc to, usłyszałem kroki tuż za drzwiami komnaty.

– Stańcie przy oknie i wejdźcie na pokład statku, kiedy tylko dotknie parapetu – poleciłem kobietom, po czym podszedłem szybko do drzwi, ściskając w ręku miecz.

Ledwie przy nich stanąłem, otwały się szeroko. W korytarzu za nimi tłoczył się tuzin wojowników. Pierwszy, który wpadł do celi, nadział się na czubek mojego miecza. Zginął z przeszywającym wrzaskiem, a kiedy wyrwałem mu stal z serca, padł u moich stóp.

Przez krótką chwilę, kiedy moja broń była uwięziona w jego ciele, do celi wcisnęła się kolejna trójka, popychana przez stojących za nimi ludzi.

Jeden pchnął mieczem w moją stronę, podczas gdy drugi wyprowadził potężne cięcie na głowę. Odbiłem jedno ostrze i uchyliłem się przed drugim, po czym rozłupałem jednemu ze strażników czaszkę.

Przez chwilę, w bitewnym uniesieniu zapomniałem o wszystkim. Poczułem, że moje wargi ułożyły się w słynny na dwóch światach waleczny uśmiech. Podobnie jak w wielu innych starciach, mój miecz zdawał się wręcz natchniony, ale Tarydzi nie byli tchórzami ani niezdarami. Nie przestawali napierać na mnie, przechodząc nad ciałami martwych towarzyszy.

Broniąc najdroższej mi istoty, rzuciłem się do walki tak zajadle, że zapewne poradziłbym sobie z nimi sam, ale z dołu dobiegł mnie tupot licznych stóp i szcęk broni. Nadciągały posiłki!

Do tej pory szło mi świetnie. Podłogę wokół mnie zalegało sześć trupów, ale do celi weszła właśnie druga szóstka strażników. Możliwe, że nawet wtedy nie uległbym rezygnacji, gdyby z dołu nie doszło dudnienie kroków zbliżających się wojowników.

Zwarłem się właśnie z rosnym Tarydą, który próbował zepchnąć mnie w tył, podczas gdy jego towarzysz próbował zająć mnie od boku

i odciągając uwagę, kolejny zaś zbliżał się coraz bardziej od drugiej strony.

Sytuacja była co najmniej kłopotliwa, ponieważ nacierający od przodu był nie tylko potężnie zbudowany, ale okazał się również świetnym szermierzem. Zauważyłem błysk ostrza po prawej stronie i kolejny po lewej. Dwóch przeciwników padło, a obejrzawszy się szybko, odkryłem że Ur Jan i Jat Or zajęli pozycje u mego boku.

Kiedy trzej pozostali Tarydzi ruszyli dzielnie, aby zająć miejsca poległych towarzyszy, nadciągnęła pierwsza fala posiłków i celę zalał istny potop wznoszących głośne okrzyki strażników.

Kiedy wreszcie udało mi się przebić przeciwnika ostrzem, znalazłem chwilę, żeby obejrzeć się za siebie.

Zobaczyłem kobiety i Umkę stojących w celi, oraz Gar Nala na parapecie okna.

– Szybko! – zawołałem. – Zabierz kobiety na statek!

Przez kolejnych parę chwil minut byłem zajęty jak nigdy w życiu. Tarydzi byli wszędzie. Udało im się okrążyć nas i stale walczyłem z dwoma lub trzema naraz. Nie widziałem, co działo się gdzie indziej, ale myślami byłem wciąż przy Dejah Thoris, martwiąc się o jej bezpieczeństwo. Nagle przyszło mi do głowy, że gdybyśmy wszyscy zginęli walcząc w celi, zostałyby sama w mocy Gar Nala, pozbawiona wszelkiej ochrony.

Jat Or walczył tuż obok mnie.

– Księżniczka! – zawołałem. – Została sama z Gar Nalem! Jeśli obaj zginiemy, będzie zgubiona. Idź do niej natychmiast.

– Mam cię zostawić, książę?

– To nie prośba, Jat Orze, a rozkaz.

– Tak jest – odpowiedział i zaczął przebijać się w stronę okna.

– Pomóż mu, Ur Janie – poleciłem.

Udało nam się utorować drogę dla Jat Ora, a kiedy stanęliśmy do niego plecami, ujrzałem widok, który wbił mnie w konsternację. Po drugiej stronie celi dwóch wojowników trzymało wyrywającą im się Ozarę.

– Ratuj mnie, Johnie Carter! – zawołała. – Pomóż mi albo mnie zabiją.

Nie mogłem postąpić inaczej. Każde inne wyjście kłóciłoby się z poczuciem honoru. To dzięki Ozarze nasza ucieczka była w ogóle możliwa a Dejah Thoris była już zapewne bezpieczna. Tylko moja bezmyślność postawiła nas w sytuacji, która zagroziła właśnie życiu jeddary.

Przed chwilą udało nam się powalić stojących przed nami strażników. Pozostali, widocznie najbardziej lękliwi z całego oddziału, nie zdawali się pałać chęcią do zmierzenia się z nami. Odwróciłem się do towarzyszy. – Szybko, na pokład! Brońcie drzwi, dopóki nie wprowadzę na statek jeddary.

Ruszając w stronę trzymających Ozarę wojowników, zauważyłem u mego boku Umkę. Walczył dobrze, mimo braku miecza, czego w tej chwili nie rozumiałem, ponieważ na statku było mnóstwo broni. Później dowiedziałem się jednak, że Masenowie nie mieli w zwyczaju używać mieczy ani sztyletów, które były im zupełnie obce.

Widząc, jak walczył, pojąłem, że potężne mięśnie i straszliwe szczęki dolnych ust, wsparte kocią zwinnością, wystarczały mu za broń nawet przeciw uzbrojonemu w miecz człowiekowi.

Krwawił z wielu ran, jak my wszyscy, więc uznawszy, że ledwie trzymał się na nogach, poleciłem mu wracać na statek. Początkowo odmówił, w końcu jednak oddalił się i zostałem w celi sam z resztą Tarydów.

Zdawałem sobie sprawę, że moje położenie było rozpaczliwe, ale nie mogłem zostawić na śmierć dziewczyny, która mi pomogła.

Kiedy skoczyłem do przodu, żeby rzucić się na trzymających ją strażników, do celi wlała się kolejna fala posiłków.

Teraz istotnie sytuacja stała się beznadziejna.

Nowo przybyli, nie zwracając na mnie uwagi, podbiegli prosto do okna, przy którym wisiał statek. Gdyby udało im się wejść na pokład, los Dejah Thoris byłby przypieczętowany.

Mogłem oszukać ich tylko w jeden sposób, choć oznaczało to dla mnie koniec.

Trzymający Ozarę strażnicy czekali na mój atak, ale zatrzymałem się na tyle długo, żeby wysłać mechanicznemu mózgowi polecenie.

Spojrzałem w stronę okna. Ur Jan i Umka stali w drzwiach statku. Jat Ora tam nie było, ale w chwili, gdy pojazd w reakcji na mój rozkaz zaczął odsuwać się od okna, młody padwar pojawił się w polu widzenia.

– Zdrada, książę! – zawołał. – Gar Nal uciekł swoim statkiem, zabierając Dejah Thoris!

Wtedy natarli na mnie strażnicy i miłosierny cios w głowę pozbawił mnie przytomności.

W MROCZNEJ CELI

Doszedłem do siebie w nieprzeniknionym mroku i grobowej ciszy. Leżałem na zimnej, kamiennej posadzce. Głowę miałem obolałą, a kiedy pomacałem ją dłońmi, okazała się pokryta zaschniętą krwią, włosy zaś miałem pozlepiane.

Podniosłem się, czując zawroty głowy, i usiadłem, a po chwili wstałem. Dotarło do mnie, że przypuszczalnie nie byłem poważnie ranny. Zacząłem badać otoczenie.

Poruszając się ostrożnie i wyciągając przed siebie dłonie, wymacałem w ciemności kamienną ścianę. Podążałem za nią przez chwilę, aż trafiłem na solidne drzwi, zamknięte od drugiej strony.

Poszedłem dalej, okrążając pomieszczenie i wracając do drzwi. Moja nowa cela okazała się bardzo mała, a wewnątrz nie było nic, co można by zobaczyć czy usłyszeć. Zacząłem rozumieć, w jakim świecie zmuszeni są żyć ślepi i głusi.

Zostały mi tylko trzy zmysły: smak, węch i dotyk.

Pierwszy był, oczywiście, zupełnie nieprzydatny w tych okolicznościach, zaś mój nos początkowo rozpoznał wprawdzie stęchły spleśniały odór, ale przyzwyczajwszy się do niego, wkrótce przestał reagować. Byłem zdany na dotyk. Solidny mur z drewnianymi drzwiami – oto, do czego sprowadzał się mój świat.

Zastanawiałem się, jak długo chcieli mnie tu trzymać pogrzebanego żywcem. Wiedziałem, że musiałem uzbroić się w zapas silnej woli na zmagania ze straszliwą monotonią zamknięcia z kamiennym murem, drzwiami i własnymi myślami za całe towarzystwo.

A moje myśli nie należały wcale do przyjemnych! Dumiałem o pozostawionej w mocy Gar Nala księżniczce, o nieszczęsnym Jat Orze

uwięzionym w statku, którym nie potrafił kierować, w towarzystwie brutalnego zabójcy z Zodangi. Wiedziałem, co musiał czuć, nie wiedząc nic o moim losie i czując się całkowicie odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Dejah Thoris, której nie mógł chronić ani pomścić.

Myślałem o biednej Zandzie, dla której los okazał się tak niełaskawy, skazanej na niemal pewną śmierć nad tym dalekim satelitą.

I o Umce. No cóż, Umka przynajmniej spodziewał się śmierci, więc nie wyszedł na naszym spotkaniu gorzej niż gdyby nigdy do niego nie doszło.

Najbardziej jednak doskwierała mi myśl, że to moja własna nieuwaga spowodowała nieszczęście na ludzi, którzy oczekiwali ode mnie pomocy i ochrony.

Tak oto wzbogacałem monotonię wlekących się godzin, zadręczając się bez celu własnymi myślami.

Podobna do jamy dziura, w której mnie zamknięto, była chłodna i wilgotna. Uznałem, że trafiłem do lochów w podziemiach zamku, gdzie nie mógł dotrzeć żaden statek. Mięśnie mi zeszywniały, a krew krążyła coraz bardziej ociężale, aż wreszcie ogarnęła mnie rozpacz.

Zrozumiałem zaraz, że jeśli poddam się ponurym myślom, rzeczywiście będę zgubiony. Raz po raz napominałem się, że przecież jeszcze żyłem. Powtarzałem sobie, że życie było słodkie, ponieważ dopóki trwało, istniała szansa, że zdołam odkupić swoją głupotę i wydostać się stąd, żeby znowu służyć mojej księżniczce.

Zacząłem poruszać się po celi i okrążyłem ją kilka razy, aż poznałem jej wymiary, po czym zacząłem truchtać w kółko, zadając i parując ciosy, oraz robiąc uniki, jakbym walczył z cieniem, aż wreszcie krew popłynęła we mnie żywiej i poczułem wracające ciepło i siły witalne, które zmyły z moich myśli szkaradny osad przygnębienia.

Nie mogłem robić tego bez przerwy, próbowałem więc znaleźć inne zajęcie, licząc kamienie w murach celi. Zacząłem przy drzwiach i szedłem w lewo. Nie była to najbardziej pasjonująca rozrywka, jaką znałem, ale

posmaku ekscytacji dodawała jej przynajmniej myśl, że mogłem trafić na jakieś obluzowane kamienie i w ten sposób odkryć być może otwór prowadzący do kolejnego pomieszczenia, dzięki czemu mógłbym stąd uciec. Tak oto wyobraźnia pomagała mi zmniejszyć grozę ciszy i ciemności lochu.

Rzecz jasna, nie miałem sposobu, żeby zmierzyć upływ czasu. Nie wiedziałem, jak długo byłem zamknięty w celi, ale w końcu poczułem senność. Położyłem się na zimnej wilgotnej podłodze.

Kiedy się obudziłem, nie wiedziałem, jak długo spałem, ale czułem się wypoczęty, uznałem więc, że odpoczywałem dłużej niż zwykle.

Teraz jednak znowu byłem zziębnięty i zdrętwiały, więc powróciłem do ćwiczeń, które miały przywrócić mi krążenie. Zajęty tym, usłyszałem coś za drzwiami celi.

Zatrzymałem się i nasłuchiwałem. Tak, ktoś się zbliżał! Czekałem, patrząc w kierunku drzwi, które otworzyły się wkrótce, wpuszczając do środka rażące światło.

Dla kogoś nawykłego do nieprzeniknionego mroku celi było ono wręcz oślepiające, więc odwróciłem głowę i osłoniłem oczy dłonią.

Kiedy odzyskałem widzenie, ujrzałem samotnego wojownika z pochodnią, który przyniósł mi miskę stawy i dzban wody.

Otworzył drzwi na tyle szeroko, żeby przesunąć przez nie naczynia i zostawić je na podłodze celi. Zauważyłem ciężki łańcuch, który nie pozwalał otworzyć drzwi szerzej, oraz uniemożliwiał mi zaatakowanie przynoszącego jedzenie i ucieczkę.

Człowiek podniósł pochodnię nad głowę i przyjrzał się mi, wsuwając ją przez szczelinę w drzwiach, tak że oświetlała całe wnętrze celi, przynajmniej do wysokości ciężkiej drewnianej belki, spinającej mury około dwudziestu stóp nad podłogą.

– A jednak cię nie zabili – zauważył strażnik.

– Czego nie da się stwierdzić o niektórych, którzy walczyli tej nocy w Wieży Diamentów – odpowiedziałem. – A może to było wczoraj?

– Przedwczoraj – poprawił mnie. – Ależ to musiała być walka! Nie było mnie tam, ale na zamku nie przestają o niej mówić. Ci, którzy z tobą walczyli, mówią, że jesteś największym szermierzem, jaki kiedykolwiek żył. Chcieliby, żebyś został tu i walczył dla nich, a nie przeciw nim, ale stary ul Vas jest tak wściekły, że zadowoli go wyłącznie twoja śmierć.

– Podejrzewam, że nie darzy mnie ciepłymi uczuciami – przytaknąłem.

– A żebyś wiedział. Wystarczyłoby, że pozwoliłeś uciec jego więźniom, ale próbować zabrać ze sobą jeddare! – gwizdnął dla podkreślenia słów. – A niech mnie, to dopiero coś! Mówią, że zostawił cię przy życiu tylko dlatego, że nie potrafi obmyślić rodzaju śmierci odpowiedniego dla twojej winy.

– A jeddara? – zapytałem. – Co z nią?

– Kazał ją zamknąć w celi. Ona również zginie. Myślę, że zamierza zabić was oboje w tym samym czasie i pewnie w ten sam sposób. Szkoda takiego szermierza, jak ty, ale jestem pewny, że widowisko będzie bardzo ciekawe. Mam nadzieję, że dopisze mi szczęście i zobaczę to.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba – powiedziałem.

– Spodoba się wszystkim poza tobą i Ozarą – oznajmił dobrodusznie, po czym zabrał pochodnię i zamknął drzwi na klucz. Po chwili usłyszałem oddalające się kroki.

Ponieważ byłem spragniony i głodny, trafiłem po omacku do naczyń, które mi zostawił, a jedząc i pijąc, rozmyślałem nad wszystkim, co mi powiedział i co zdążyłem zobaczyć w świetle pochodni.

Zaintrygowały mnie belki położone około dwadzieścia stóp nad podłogą. Wyglądało na to, że nad nimi była tylko ciemna pustka, jakby sufit celi znajdował się o wiele wyżej.

Skończywszy posiłek, postanowiłem sprawdzić, co było nad belkami. Na Marsie, moje ziemskie mięśnie pozwalały mi skakać na niebywałą

wysokość. Przypomniałem sobie własne wyliczenia, że przeciętnie zbudowany człowiek mógłby skoczyć na Thurii na wysokość 225 stóp. Oczywiście, zdawałem sobie sprawę, że uległem zmniejszeniu, wobec czego moje rozmiary w stosunku do satelity nie były większe niż w stosunku do Barsoom, ale nadal byłem pewny, że doskoczę o wiele wyżej niż mógłby to zrobić jakikolwiek mieszkaniec Ladan.

Przygotowując się do realizacji planu, stanąłem przed poważną przeszkodą, jaką była nieprzenikniona ciemność celi. Nie widziałem belek i skacząc w ich stronę mogłem uderzyć o którąś głową z bolesnym, jeśli nie śmiertelnym skutkiem.

Przy zerowej widoczności trudno określić, jak wysoko się skacze, ale ponieważ nie miałem światła ani sposobu, aby je zdobyć, mogłem tylko starać się zachować ostrożność i zaufać mojemu szczęściu.

Początkowo starałem się podskakiwać lekko z wyciągniętymi nad głową dłońmi, co okazało się skuteczną metodą, ponieważ w końcu udało mi się sięgnąć belki.

Podskoczyłem znowu, żeby ustalić dokładnie jej położenie, a przy kolejnym skoku uchwyciłem się jej. Podciągnąłem się na nią i wymacałem drogę do muru. Tam wyprostowałem się i wyciągnąłem ręce do góry, ale nie wyczułem nad sobą niczego.

Przeszedłem na drugi koniec belki, ale tam również nie znalazłem nic, co dałoby mi choć promyk nadziei.

Skok z belki, żeby zbadać co było wyżej, byłby czystym samobójstwem, zeskoczyłem więc na podłogę, po czym wskoczyłem na kolejną belkę i zbadałem ją w ten sam sposób, z podobnym rezultatem.

Tak oto, belka za belką, badałem pustkę nad nimi, jak daleko sięgałem rękami, zawsze z tym samym skutkiem.

Poczułem wielkie rozczarowanie. W podobnej sytuacji człowiek chwytą się najmniejszego promyka nadziei, opierając na nim całą swoją przyszłość i życie. Kiedy zaś okazuje się, że źdźbło nadziei nie jest w stanie unieść

ciężaru tak wielkiej odpowiedzialności, pogrążamy się w najgłębszych otchłaniach rozpacz.

Nie potrafiłem jednak uznać porażki. Sama obecność belek zdawała się wskazywać, że jakaś opatrnościowa siła umieściła je tam, abym wykorzystał je w jakiś sposób.

Łamałem sobie głowę nad jakimś planem ucieczki. Byłem, jak osaczony szczur i myślałem z całą przebiegłością dzikiego zwierzęcia, próbującego wyrwać się z pułapki.

Wkrótce zaświtał mi pewien pomysł. Zdawał się zesłany z nieba, ale czułem tak bardziej dlatego, że był to jedyny plan, jaki przyszedł mi do głowy, niż dla jakichś jego szczególnych zalet. Ten obłąkańczy plan zależał od wielu czynników, nad którymi nie miałem kontroli, i jeśli miał się udać, fortuna musiałaby naprawdę okazać mi sporą przychylność.

Plan wpadł mi do głowy, kiedy siedziałem strapiony na ostatniej z badanych krokwi. Zeskoczyłem natychmiast na podłogę celi, podszedłem do drzwi i stałem przy nich, nasłuchując.

Nie wiem, jak długo trwałem w tej pozycji. Kiedy ogarnęło mnie znużenie, położyłem się i spałem z uchem przy drzwiach. Nie odchodziłem od nich na krok; doszło do tego, że nawet ćwiczyłem podskakując przy nich w miejscu.

Moja cierpliwość została w końcu wynagrodzona: usłyszałem wyczekiwany dźwięk.

Korytarzem zbliżały się jakieś kroki. Słyszałem szuranie w oddali i brzęk metalu o metal. Dźwięk był coraz głośniejszy. Do celi zbliżał się jakiś wojownik.

Podskoczyłem do belki nad drzwiami i przykucnąłem na niej, wyczekując jak drapieźnik.

Kroki zatrzymały się przed celą. Usłyszałem przesuwającą się zasuwę, po czym ktoś pchnął drzwi i pojawiło się w nich światło. Do celi wsunęła się czyjaś ręka i dłoń, stawiając na podłodze naczynia z jedzeniem i wodą.

W ślad za nimi pojawiła się pochodnia, a za nią ludzka głowa. Zobaczyłem, jak strażnik rozejrzał się po wnętrzu celi.

– Ej, ty! – zawołał. – Gdzie jesteś?

Głos nie należał do człowieka, który przyniósł mi jedzenie poprzednim razem. Nie odpowiedziałem.

– Na koronę jeddaka – mruknął. – Czyżby uciekł?

Usłyszałem, jak zaczął gmerać przy łańcuchu, który nie pozwalał otworzyć drzwi szerzej niż na parę cali. Serce we mnie zamarło. Czyżby moja szalona nadzieja miała się spełnić? Wszystkie moje plany zależały od tej jednej, wymarzonej szansy.

Drzwi otworzyły się szeroko i silnie zbudowany żołnierz wszedł ostrożnie do środka, niosąc w lewej dłoni pochodnię, a w prawej ściskając ostry, długi miecz.

Poruszał się ostrożnie, rozglądając się przy każdym kroku.

Ciągle był zbyt blisko drzwi. Powoli i ostrożnie zanurzył się w głąb celi, pomrukując do siebie, zaś ja śledziłem go w mroku, krocąc po belce, jak śledząca zdobycz pantera. Nie przestając mamrotać ze zdziwieniem, cofnął się do drzwi. Znalazł się pode mną, a wtedy skoczyłem.

UKRYTE DRZWI

Kiedy skoczyłem na strażnika i powaliłem go na podłogę, miałem wrażenie, że jego krzyki, odbijające się echem w celi i korytarzu, sprowadzą wszystkich zdolnych do walki ludzi w zamku.

Kiedy upadł, pochodnia zgasła i walczyliśmy całkowitej ciemności. Przede wszystkim musiałem uciszyć jego wrzaski, wobec czego zacisnąłem mu palce na krtani.

Zdawało się niemal cudem, że moje marzenie o ucieczce zmaterializowało się krok po kroku prawie dokładnie tak, jak ją sobie wyobraziłem. Ta myśl dodała mi nadziei, że los może nadal będzie mi sprzyjał, dopóki nie wyrwę się ze szponów Ul Vasa.

Leżący na kamiennej posadzce strażnik nie był siłaczem, więc szybko mi uległ, zapewne dlatego, że zacisnąwszy mu palce na krtani, obiecałem, że nie zabiję go, o ile przestanie się szarpać i nie będzie próbował krzyczeć.

Czas był teraz dla mnie najważniejszy, ponieważ nawet jeśli jego krzyki nie zostały usłyszane przez pilnujących schodów towarzyszy, mogłem założyć, że zaczną go szukać, jeśli nie wróci po rozsądnym czasie do swoich obowiązków. O ile chciałem uciec, musiałem działać natychmiast, więc złożywszy strażnikowi propozycję i odczekawszy, aż przestanie się szarpać, zwolniłem uścisk na jego gardle dość długo, żeby mógł przyjąć lub odrzucić moją ofertę.

Okazał się inteligentnym człowiekiem i, rzecz jasna, przyjął ją.

Związałem go prędko jego własną uprzężą i na wszelki wypadek wepchnąłem mu knebel do ust. Następnie zabrałem mu sztylet i macając na oślep, znalazłem na podłodze miecz, który upuścił, kiedy go zaatakowałem.

– Żegnaj przyjacielu! – powiedziałem. – Nie martw się tą porażką, bo o wiele lepsi wojownicy ulegali już księciu Helium, Johnowi Carterowi.

Po czym wyszedłem z celi, zamykając za sobą drzwi na klucz.

W korytarzu panował nieprzenikniony mrok. Poprzedniego dnia, kiedy przyniesiono mi jedzenie, ujrzałem go przelotnie, a właściwie tylko jego fragment.

Odniosłem wtedy wrażenie, że prowadził prosto od drzwi mojej celi, więc ruszyłem szybko po omacku w tym kierunku. Zapewne powinienem iść powoli i uważnie nieznanym tunelem, ale wiedziałem, że jeśli krzyki strażnika słyszano w zamku, ktoś mógł przyjść, żeby zbadać sytuację, a z całą pewnością nie chciałem natknąć się na grupę uzbrojonych ludzi w ślepych zaułku.

Dotykając jednej ściany dłonią i podążając za nią, szedłem prędko przed siebie i pokonałem może sto jardów, kiedy zauważyłem z przodu nikły poblask. Nie wyglądał na żółtawe światło pochodni, a raczej na rozproszone światło dzienne.

Poświata przybierała na sile w miarę, jak zbliżałem się do niej, aż wreszcie stanąłem u stóp schodów, którymi docierała do podziemi.

Przez cały czas nie słyszałem nic, co świadczyłoby o zbliżaniu się straży, wszedłem więc na schody z poczuciem przynajmniej częściowego bezpieczeństwa.

Zachowując najwyższą ostrożność, wszedłem na kolejne piętro. Tu było o wiele jaśniej. Dotarłem do krótkiego korytarza, po obu stronach którego zobaczyłem drzwi. Nieco dalej korytarz kończył się, łącząc się z innym, który przecinał go pod kątem prostym. Ruszyłem szybko przed siebie, widząc drogę całkiem wyraźnie, ponieważ korytarz – choć ponury – był o wiele lepiej oświetlony niż ten, z którego wyszedłem.

Miałem już powinszować sobie szczęścia i skrócić w poprzeczny tunel, kiedy na zakręcie wpadłem prosto na jakąś postać.

Była to kobieta. Przypuszczam, że była bardziej zaskoczona ode mnie i otworzyła już usta do krzyku.

Wiedziałem, że nie mogłem pozwolić jej wszcząć alarmu, złapałem ją więc i zakryłem jej usta dłonią.

Zderzyłem się z nią, kiedy skręcałem za załom korytarza i widziałem całą jego długość. Kładąc jej dłoń na ustach, ujrzałem dwóch wojowników wchodzących do korytarza na drugim końcu. Szli w moją stronę. Najwyraźniej zbyt wcześnie zacząłem sobie gratulować.

Bez ciężaru jeńca mógłbym znaleźć sobie kryjówkę lub, gdyby to mi się nie udało, zacząć się na nich w ciemniejszym korytarzu i zabić obu, zanim zdolaliby podnieść alarm. Obie ręce miałem jednak zajęte: jedną trzymałem wyrywającą się dziewczynę, a drugą powstrzymywałem ją przed podniesieniem krzyku.

Nie mogłem jej zabić, a gdybym ją wypuścił, po paru chwilach miałbym na sobie wszystkich wojowników w zamku. Sytuacja zdawała się rozpaczliwa, ale nie porzuciłem nadziei. Dotarłem tak daleko i nie mogłem ani nie chciałem uznać porażki.

Przypomniałem sobie o drzwiach, które mijalem wcześniej w krótkim korytarzu. O parę kroków za nami były jedne z nich.

– Bądź cicho, a nic ci nie zrobię – szepnąłem, po czym zaciągnąłem ją do najbliższych drzwi.

Na szczęście, nie były zamknięte na klucz, ale nie miałem pojęcia, co czekało za nimi. Musiałem myśleć szybko i zdecydować, co zrobię, jeśli pomieszczenie okaże się zajęte. Wyglądało na to, że zostało mi tylko jedno – wepchnąć dziewczynę za drzwi i pobiec z powrotem na spotkanie zbliżających się wojowników. Innymi słowy, spróbować przebić się na wolność – szalony plan, skoro na drodze stało pół tysiąca wojowników Ul Vasa.

Pomieszczenie okazało się jednak puste, o czym przekonałem się zaraz po wejściu do środka, ponieważ dzięki kilku oknom było całkiem dobrze oświetlone.

Zamknąłem drzwi i stanąłem plecami do nich, nasłuchując. Nie przyjrzałem się jeszcze trzymanej przez siebie kobiecie, zbyt mocno pochłonięty słuchaniem kroków zbliżających się wojowników. Czy zamierzali skręcić w ten korytarz? Albo wejść do tego pokoju?

Musiałem nieświadomie zwolnić nacisk na usta dziewczyny, ponieważ zanim zdołałem ją powstrzymać, oderwała moją dłoń od swojej twarzy i odezwała się do mnie.

– Johnie Carter!

Spojrzałem na nią zaskoczony i dopiero wtedy ją rozpoznałem. Była to Ulah, niewolnica Ozary.

– Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym cię skrzywdził – powiedziałem pełnym przejęcia tonem. – Nie chcę zrobić nic złego nikomu w tym zamku; chcę stąd tylko uciec. Od tego zależy nie tylko moje życie, ale znacznie więcej, tak dużo, że złamałbym własne niepisane prawo i zabiłbym nawet kobietę, gdyby okazało się to konieczne dla osiągnięcia celu.

– Nie bój się, nie zdradzę cię – powiedziała.

– Mądra dziewczyna, tanio kupiłaś życie.

– Nie powiedziałam tego, żeby ratować życie – powiedziała. – Nie zdradziłabym cię tak czy owak.

– Dlaczego? Przecież nie jesteś mi nic winna.

– Kocham moją panią – odpowiedziała prosto z mostu.

– A co to ma do rzeczy?

– Nie mogłabym skrzywdzić kogoś, kogo ona kocha.

Rzecz jasna, wiedziałem, że w tej chwili fantazjowała, puszczając wodze wyobraźni, ale ponieważ dopóki mi pomagała, nie miało najmniejszego znaczenia, w co wierzyła, nie starałem się jej zaprzeczyć.

– Gdzie jest teraz twoja pani? – spytałem.

– Tu, w tej wieży. Zamknęli ją dokładnie piętro wyżej, nad tym pokojem. Ul Vas zamierza trzymać ją tam, dopóki nie będzie gotów jej zabić. Och, uratuj ją, proszę! Proszę, Johnie Carter!

– Skąd znasz moje imię?
– Zdradziła mi je jeddara. Nie przestaje o tobie mówić.
– Znasz ten zamek lepiej niż ja – powiedziałem. – Czy można jakoś dostać się do niej? Możesz przekazać jej wiadomość? Czy uda się wyciągnąć ją z celi?

– Nie, drzwi są zamknięte na klucz, a dwóch wojowników stoi przed nimi na straży dzień i noc.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Wyglądało na to, że w zasięgu wzroku nie było nikogo. Wychyliłem się, jak najdalej mogłem, i spojrzałem w górę. Jakieś piętnaście stóp w górze było kolejne okno. Odwróciłem się z powrotem w stronę pokoju.

– Jesteś pewna, że jeddara jest dokładnie nad nami?
– Na pewno.
– I chcesz pomóc jej uciec?
– Tak, nie ma rzeczy, której bym dla niej nie zrobiła.
– Do czego służy to pomieszczenie?
– Teraz do niczego. Sam widzisz, że wszystko pokrywa kurz. Nie używano go od dawna.

– Sądzisz, że mało prawdopodobne, aby ktoś tu przyszedł? Mogę się tu ukryć do wieczora?

– Na pewno będziesz tu bezpieczny. Nie wiem po co ktoś miałby tu zaglądać.

– Dobrze. Naprawdę chcesz pomóc twojej pani w ucieczce?
– Z całego serca. Nie mogłabym patrzeć, jak umiera.
– Zatem możesz jej pomóc.
– W jaki sposób?
– Przynieś mi linę i mocny hak. Myślisz, że uda ci się je znaleźć?
– Jak długą linę?
– Około dwudziestu stóp.
– Kiedy mam je przynieść?

– Kiedy tylko zdołasz, unikając ciekawskich oczu, ale na pewno dzisiaj przed północą.

– Mogę je zdobyć – powiedziała. – Pójdę od razu.

Nie było innego wyjścia, musiałem jej zaufać, więc pozwoliłem jej odejść.

Kiedy wyszła i zamknąłem za nią drzwi, zauważyłem że od wewnątrz wyposażone były w ciężką sztabę. Zaryglowałem ją, żeby nikt nie zaskoczył mnie, wchodząc niespodziewanie do środka, po czym usiadłem i czekałem.

Godziny dłużyły się niemiłosiernie. Cały czas wyrzucałem sobie brak roztropności, jaki okazałem, ufając Ulah. Co o niej wiedziałem? Czy wiązało ją ze mną cokolwiek poza cienką nitką lojalności powstałą z niemądrych wymysłów niewolnicy? A może planowała właśnie, jak mnie ująć? Nie byłoby wcale zaskoczeniem, gdyby miała wśród strażników kochanka, była bowiem dość ładna. Czy istniał lepszy sposób, aby mu się przysłużyć, niż zdradzić mu moją kryjówkę i pomóc mnie schwytać, a tym samym zapewnić mu być może szansę na awans?

Późnym popołudniem usłyszałem w korytarzu kroki zbliżające się do mojej kryjówki – pierwsze dźwięki, od kiedy opuściła mnie Ulah – i byłem pewny, że należały do wojowników wysłanych, aby mnie ująć. Postanowiłem, że nie poddam się bez walki, stanąłem więc przy drzwiach z mieczem w dłoni. Kroki minęły mnie jednak, oddalając się w stronę schodów, którymi wyszedłem z ciemnego tunelu prowadzącego do mojej celi.

Po krótkim czasie zawróciły. Kilku mężczyzn rozmawiało z ożywieniem, ale przez ciężkie drzwi nie rozumiałem do końca ich słów. Kiedy oddalili się na tyle, że przestałem ich słyszeć, odetchnąłem z ulgą i zacząłem odzyskiwać ufność w Ulah.

Zapadła noc. W wielu oknach, widocznych z pokoju, w którym się ukrywałem, pojawiły się światła.

Dlaczego Ulah nie wracała? Może nie udało jej się znaleźć liny i haka? Albo ktoś lub coś ją zatrzymało? Co za bezcelowe pytania zadaje sobie człowiek na skraju rozpacz.

Po pewnym czasie usłyszałem za drzwiami jakiś odgłos. Nie słyszałem, żeby ktoś się zbliżał, ale teraz ktoś wyraźnie napierał na drzwi, próbując wejść do środka. Podeszedłem do drzwi i przyłożyłem do nich ucho, a wtedy usłyszałem głos:

– Otwórz! To ja, Ulah.

Z ogromną ulgą odsunąłem zasuwę i wpuściłem ją do środka. W pokoju było dość ciemno, więc nie widzieliśmy się nawzajem.

– Myślałeś, że już nie wrócę? – zapytała.

– Zaczynałem w to wątpić. Udało ci się zdobyć to, o co prosiłem?

– Tak, mam tu wszystko – powiedziała, wkładając mi linę i hak do ręki.

– Świetnie! Dowiedziałaś się może czegoś, co mogłoby pomóc mnie lub jeddarze?

– Nie, nic pomocnego, ale coś może wam utrudnić opuszczenie zamku, o ile to w ogóle możliwe, w co wątpię.

– Co takiego?

– Dowiedzieli się, że uciekłeś z celi. Strażnik, którego posłano z jedzeniem dla ciebie, nie wrócił, a kiedy wysłano innych, żeby to zbadali, znaleźli go związanego i zakneblowanego na twoim miejscu.

– To ich musiałem słyszeć, kiedy przechodzili tędy późnym popołudniem. Dziwne, że nie sprawdzili tego pokoju.

– Sądzą, że poszedłeś w innym kierunku – wyjaśniła. – Przeszukują inną część zamku.

– Ale w końcu tu dotrą?

– Tak. Ostatecznie przeszukają wszystkie pokoje, ale zajmie im to sporo czasu.

– Dobrze postąpiłaś, Ulah – powiedziałem. – Przykro mi, że nie mogę podziękować ci inaczej niż tylko słowami.

– Z chęcią zrobiłabym więcej. Nie ma rzeczy, której bym nie zrobiła, żeby pomóc wam dwojgu.

– Nic więcej nie możesz zrobić. A teraz lepiej idź już, zanim znajdą cię ze mną.

– Na pewno nic więcej nie mogę zrobić? – zapytała.

– Na pewno, Ulah – odpowiedziałem, po czym otworzyłem jej drzwi i wypuściłem.

– Żegnaj, Johnie Carter, i powodzenia – szepnęła, kiedy zamykałem za nią drzwi.

Zaryglowałem je i podszedłem do okna. Na dworze było bardzo ciemno. Planowałem poczekać z ratowaniem Ozary, dopóki cały zamek nie zaśnie, ale wiedza, że szukano mnie wszędzie, zmusiła mnie do odrzucenia wszelkich względów poza pośpiechem.

Uwiązałem koniec liny do haka, po czym usiadłem na parapecie i wychyliłem się mocno.

Chwyciłem koniec liny lewą dłonią, którą trzymałem się okna, w prawej ściskając hak. Resztę spuściłem przy murze tuż za oknem.

Oszacowałem odległość do okna nade mną. Zdawało się zbyt wysoko, żebym sięgnął tam rzutem z pozycji siedzącej, stanąłem więc na parapecie. Dzięki temu znalazłem się kilka stóp bliżej celu, zyskując większą swobodę działania.

Zależało mi na tym, żeby trafić przy pierwszym rzucie, ponieważ obawiałem się, że gdybym chybił, szcęk metalowego haka o mur wieży przyciągnąłby czyjaś uwagę.

Stałem przez kilka minut, szacując odległość i ćwicząc wszystkie fazy ruchu, ale nie wypuszczając haka z rąk.

Kiedy uznałem, że oceniłem potrzebny czas i odległość tak dokładnie, jak to możliwe, zamachnąłem się i wypuściłem hak w górę.

Widziałem parapet nad sobą, ponieważ był oświetlony słabym światłem padającym z pokoju za nim. Hak wpadł w tę poświatę, uderzając

z metalicznym brzękiem o parapet, i pociągnąłem za linę.

Udało się! Hak trzymał! Uwiesiłem się mocno na linie, ale nie zsunął się w dół. Odczekałem chwilę, żeby przekonać się, czy przyciągnąłem uwagę Ozary lub kogoś innego, kto mógł być z nią w pokoju.

Ciszy na górze nic nie przerywało, wobec czego uwiesiłem się całym ciężarem na linie.

Podczas wspinaczki musiałem zachować ostrożność, ponieważ nie wiedziałem, jak mocno hak trzymał się parapetu. Odległość była wprawdzie niewielka, ale zdawało mi się, że minęła cała wieczność, zanim trafiłem dłonią na kamienną płytę.

Zacisnąłem na niej palce jednej dłoni, po czym zacząłem podnosić się, aż uchwyciłem się drugą. Podciągałem się powoli z całej siły, dopóki moje oczy nie znalazły się nad parapetem. Ujrzałem przed sobą słabo oświetlony, z pozoru pusty pokój.

Wciągałem się dalej, aż oparłem się kolanem o parapet. Cały czas uważałem przy tym, żeby nie strącić haka.

Kiedy znalazłem się bezpiecznie w górze, wszedłem do pokoju, zabierając hak ze sobą, żeby nie ześliznął się i nie spadł do stóp wieży.

Dopiero teraz zobaczyłem, że w pokoju ktoś był. Z łóżka po jego drugiej stronie podniosła się jakaś kobieta, patrząc na mnie szeroko otwartymi ze zgrozy oczami. Była to Ozara.

Myślałem, że zacznie krzyczeć, uniosłem więc ostrzegawczo palec do warg i podszedłem do niej.

– Cicho! – szepnąłem. – Przyszedłem, żeby cię uratować.

– John Carter! – wypowiedziała moje imię tak cicho, że nie dałoby się go usłyszeć nawet za drzwiami. Mówiąc to, podeszła bliżej i zarzuciła mi ręce na szyję.

– Dalej, musimy stąd natychmiast wyjść – powiedziałem. – Nic nie mów, mogą nas usłyszeć.

Zaprowadziłem ją do okna, wciągnąłem linę do środka i obwiązałem nią Ozarę w tali.

– Opuszczę cię do okna w dole – wytłumaczyłem. – Kiedy znajdziesz się w środku, odwiąż linę i wypuść ją przez okno.

Skinęła głową i zacząłem opuszczać ją coraz niżej. Po krótkim czasie lina straciła napięcie i wiedziałem, że jeddara dotarła do parapetu w dole. Oczekałem, aż odwiąże linę, po czym zaczepiłem hak o parapet, na którym siedziałem i zszedłem szybko na dół.

Nie chciałem zostawiać haka i liny za oknem, ponieważ gdyby ktoś wszedł do celi Ozary, doprowadziłyby go prosto do pokoju, w którym byliśmy, a nie wiedziałem, jak długo mieliśmy czekać.

Najdelikatniej, jak potrafiłem, szarpnąłem linę, zrywając hak z parapetu. Na szczęście udało mi się złapać go w locie, zanim otarł się o ścianę wieży.

Kiedy wszedłem do pokoju, Ozara podeszła do mnie, kładąc mi dłonie na piersi. Była rozdygotana, a kiedy przemówiła, głos jej drżał.

– Zaskoczył mnie twój widok. Myślałam, że zginąłeś. Widziałam, jak upadłeś, a Ul Vas powiedział, że zabili cię. Rana była straszna; nie rozumiem, jak wyzdrowiałeś. Kiedy stanąłeś przede mną na górze i zobaczyłam zaschniętą krew na twojej skórze i włosach, poczułam się, jakbym ujrzała zmarłego, który wrócił do życia.

– Zapomniałem, jak się prezentuję – powiedziałem. – Nie miałem okazji zmyć z siebie krwi, od kiedy mnie zranili. Przynosili mi ledwie tyle wody, żeby zaspokoić pragnienie. Ale co do rany, to nie przeszkadza mi już. To tylko draśnięcie i doszedłem do siebie.

– Tak się o ciebie bałam. Pomyśleć tylko, że ryzykowałeś dla mnie, choć mogłeś uciec z przyjaciółmi.

– Myślisz, że udało im się uciec?

– Owszem. Ul Vas był z tego powodu wręcz wściekły. Każe nam za to zapłacić, jeśli my również nie uciekniemy.

– Znasz jakąś drogę, którą możemy wydostać się z zamku?

– Istnieje tajne przejście, znane tylko jemu samemu i dwóm zaufanym niewolnikom. Przynajmniej Ul Vas myśli, że zna je tylko ich trójka, ale dowiedziałam się o nim. Prowadzi nad rzekę do miejsca, gdzie jej wody obmywają mury zamku.

Ul Vas nie cieszy się sympatią swojego ludu. Zamek pełen jest spisków i intryg, oraz stronnictw, które chciałyby obalić jeddaka i posadzić na jego tronie kogoś nowego. Niektórzy z wrogów są tak potężni, że Ul Vas nie śmie otwarcie ich zabić. Morduje ich więc potajemnie i każe zaufanym sługom pozbywać się ciał, wyrzucając je przez ukryte drzwi do rzeki.

Kiedyś, podejrzewając coś podobnego, poszłam za nim. Sądziłam, że uda mi się znaleźć sposób, żeby uciec z zamku i wrócić do mojego ludu, ale kiedy zobaczyłam, dokąd prowadzi korytarz, złękłam się. Nie ośmieliłabym się skoczyć do rzeki, a nawet gdybym to zrobiła, za nią rozciąga się straszliwa puszcza. Doprawdy nie wiem, czy lepiej będzie nam w rzece lub puszczy niż tutaj, Johnie Carter.

– Przecież wiesz, że jeśli tu zostaniemy, nie unikniemy śmierci. Rzeka czy puszcza daje nam chociaż jakieś szanse, ponieważ dzikie zwierzęta okazują się często mniej okrutne niż ludzie.

– Przekonałam się o tym aż za dobrze – odpowiedziała. – Ale w puszczy też są ludzie i to przerażający.

– Mimo wszystko, musimy zaryzykować. Pójdiesz ze mną?

– Gdziekolwiek poprowadzisz i cokolwiek nas spotka, będę szczęśliwa, mogąc być z tobą. Uniosłam się gniewem, kiedy dowiedziałam się, że kochasz tę kobietę z Barsoom, ale teraz jej już nie ma i mam cię tylko dla siebie.

– To moja żona, Ozaro.

– Kochasz ją?

– Oczywiście.

– I bardzo dobrze, ale w tej chwili jej tu nie ma, a ty jesteś mój.

Nie miałem czasu na podobne sprawy. Widać było, że dziewczyna była uparta, zawsze stawiała na swoim i dostawała wszystko, czego chciała. Nie potrafiła przy tym znieść sprzeciwu, bez względu na to, jak głupie były jej zachcianki. Gdyby udało nam się przeżyć, mogłem przywołać ją do rozsądku przy innej okazji, ale teraz musiałem włożyć wszystkie siły w ucieczkę.

– Jak dotrzeć do tego ukrytego korytarza? – spytałem. – Trafisz tam?

– Tak – odpowiedziała. – Chodź za mną.

Przeszliśmy przez pokój i wyszliśmy na zewnątrz. Korytarz był bardzo ciemny, ale dotarliśmy po omacku do schodów, którymi wydostałem się z lochów. Kiedy ruszyliśmy w dół, zapytałem ją:

– Jesteś pewna, że to dobra droga? Prowadzi do celi, w której mnie trzymali.

– Może i tak, ale wiedzie również do oddalonej części zamku w pobliżu rzeki, gdzie znajdziemy drzwi, których szukamy.

Podążając za nią w dół schodów i zagłębiając się w nieprzenikniony mrok dolnego tunelu miałem nadzieję, że wiedziała, o czym mówi.

Idąc wcześniej tym samym korytarzem, trzymałem się ściany prawą dłonią. Tym razem Ozara szła po przeciwnej stronie, a po krótkim czasie skręciła w korytarz po prawej stronie, który wcześniej minąłem, nie wiedząc o jego istnieniu, ponieważ leżał po drugiej stronie tunelu, a w panującym tu mroku nic nie widziałem.

Szliśmy dość długo, aż wyszliśmy po spiralnych schodach na górny poziom, gdzie wyszliśmy w długi, oświetlony korytarz.

– Będziemy bezpieczni, jeśli uda nam się dotrzeć niepostrzeżenie na drugi koniec – szepnęła Ozara. – Po drugiej stronie są ślepe drzwi, prowadzące do ukrytego korytarza, który kończy się nad rzeką.

Obydwoje nasłuchiwaaliśmy czujnie.

– Nikogo nie słyszę – stwierdziła.

– Ani ja.

Kiedy ruszyliśmy przed siebie, zauważyłem, że po obu stronach korytarza leżały pokoje, ale kiedy zbliżaliśmy się do kolejnych drzwi, za każdym razem z ulgą stwierdzałem, że były zamknięte.

Przeszliśmy może połowę drogi, kiedy moją uwagę zwrócił cichy odgłos z tyłu. Odwróciłem się i ujrzałem dwóch ludzi, wychodzących z jednego z pomieszczeń, które właśnie minęliśmy. Byli odwróceny w przeciwną stronę i odetchnąłem już z ulgą, kiedy z pomieszczenia wyłonił się trzeci człowiek. Kaprys losu sprawił, że zerknął w naszą stronę, wydając zaraz ostrzegawczy okrzyk zaskoczenia.

– Jeddara! Ciemnowłosa!

Cała trójka zawróciła błyskawicznie i pobiegła w naszą stronę. Byliśmy mniej więcej w połowie drogi między nimi a drzwiami prowadzącymi do ukrytego korytarza.

Ucieczka w obliczu nieprzyjaciela nie leży w mojej naturze, ale nie miałem innego wyjścia, ponieważ podjęcie walki oznaczałoby dla naszej dwójki pewną katastrofę.

Ścigająca nas trójka krzyczała ile sił w płucach, próbując ściągnąć posiłki.

Kiedy biegłem, coś kazało mi sięgnąć po miecz. Szczęśliwie posłuchałem instynktu, ponieważ gdy zbliżaliśmy się do drzwi po lewej stronie, wyszedł z nich wojownik, przyciągnięty hałasem w korytarzu. Ozara przeskoczyła obok niego, kiedy sięgał po miecz. Nie zwalniając kroku, ciąłem go w biegu, rozłupując mu czaszkę.

Dotarliśmy do ślepych drzwi. Ozara zaczęła szukać otwierającego je mechanizmu. Ścigający nas wojownicy zbliżali się prędko.

– Nie spiesz się – ostrzegłem, wiedząc że w nerwowym pośpiechu palce mogły jej się omsknąć i opóźnić naszą ucieczkę.

– Cała się trzęsę! – powiedziała. – Dotrą tu, zanim zdołam je otworzyć.

– Nie martw się o nich. Zatrzymam ich, póki tego nie zrobisz.

W tej samej chwili cała trójka natarła na mnie. Po strojach, podobnych do ubioru Zamaka, rozpoznałem w nich oficerów straży jeddaka. Domyśliłem się też słusznie, że potrafili całkiem nieźle władać mieczem.

Ten, który zaatakował mnie pierwszy, okazał się zbyt impulsywny. Rzucił się na mnie, jakby myślał, że uda mu się powalić mnie pierwszym ciosem, co nie było rozropne. Przebiłem mu mieczem serce.

Kiedy padł, pozostali natarli na mnie, ale zachowywali większą ostrożność. Mimo to, choć było ich dwóch i nie ustawiali w próbach trafienia mnie ostrzem, mój miecz – szybki jak myśl – tańczył w powietrzu, rozsnuwając wokół mnie stalową sieć.

Obrona jednak nie wystarczała, ponieważ gdyby przeciwnikom udało się zepchnąć mnie do defensywy, mogliby zatrzymać mnie do nadejścia posiłków, a wtedy na pewno uległbym przewadze liczebnej.

Odbiwszy cios, zrobiłem wypad w przód, trafiając jednego tuż nad sercem. Cofnął się odruchowo, a wtedy odwróciłem się do jego towarzysza i rozplątałem mu pierś.

Żadna z ran nie była śmiertelna, ale zmusiły ich do zwolnienia tempa. Ozara nadal gmerała przy drzwiach. Gdyby nie udało się jej się ich otworzyć, sytuacja zapowiadała się nieprzyjemnie, ponieważ po drugiej stronie korytarza ujrzałem oddział biegnących w naszą stronę wojowników. Nie ponaglałem jej jednak, obawiając się, że podenerwowana nigdy nie poradzi sobie z drzwiami.

Ranni strażnicy znowu na mnie natarli. Okazali się odważnymi i godnymi przeciwnikami. Walka z podobnym oponentem to przyjemność, choć kiedy trzeba go zabić, zawsze towarzyszy temu żal. Nie miałem jednak innego wyboru, ponieważ Ozara wydała właśnie pełen ulgi okrzyk:

– Otworzyłam! Dalej, Johnie Carter! Pospieszmy się!

Obaj natarli na mnie tak zaciekle, że nie mogłem oderwać się od nich. Zajęli mi jednak tylko chwilę. Rzuciłem się na nich z prędkością

i zaciekleścią jakiej zapewne nigdy jeszcze nie widzieli. Wściekłym cięciem powaliłem jednego, a kiedy upadł, przebiłem drugiemu pierś.

Nadciągający strażnicy byli w połowie korytarza, kiedy przeskoczyłem przez drzwi w ślad za Ozarą i zamknąłem je za sobą.

Znaleźliśmy się ponownie w kompletnej ciemności.

– Szybko! – zawołała. – Korytarz biegnie prosto do ukrytych drzwi!

Pobiegliśmy przez mrok. Słyszałem, jak wejście otworzyło się za nami i wiedziałem, że naszym śladem podążało co najmniej dwudziestu wojowników.

Nagle wpadłem na Ozarę. Dotarliśmy do końca korytarza i zatrzymała się przy drzwiach. Tym razem udało się jej otworzyć je szybciej, a kiedy uchyliły się do środka, ujrzałem w dole nurt ciemnej rzeki, a dalej, na drugim brzegu, mroczny zarys lasu.

Rzeka wyglądała zimno i tajemniczo. Jakie tajemnice, niebezpieczeństwa i koszmary mogła skrywać czekająca na jej drugim brzegu złowieszcza puszcza?

Ale podobne pytania nie były dla mnie w tej chwili najważniejsze. Strażnicy, którzy chcieli ująć nas i zaprowadzić na śmierć, prawie nas dopadli, kiedy wziąłem Ozarę na ręce i skoczyłem.

POWRÓT NA BARSOOM

Ciemne, złowróżbne wody zamknęły się nad naszymi głowami, wirując wokół, kiedy wznosiliśmy się ku powierzchni, a kiedy zaczerpnęliśmy wreszcie tchu, nad nami wznosił się równie mroczny i złowieszczy las. Nawet jęczenie wiatru w drzewach zdawało się pełnym groźby, ostrzegawczym zawodzeniem. Z tyłu, stojący w drzwiach wojownicy ciskali za nami przekleństwa.

Zacząłem płynąć w stronę drugiego brzegu, jedną ręką trzymając Ozarę i podtrzymując jej usta i nos nad wodą. Leżała tak bezwładnie, że wziąłem ją za nieprzytomną, co nie zdziwiłoby mnie wcale, ponieważ nawet obdarzona najsilniejszą psychiką kobieta opadłaby z sił przeszedłszy to, co musiała znieść przez ostatnie dwa dni.

Kiedy jednak dotarliśmy na drugą stronę rzeki, całkiem samodzielnie wyczołgała się na brzeg.

– Myślałem, że zemdłałaś – powiedziałem. – Leżałaś tak nieruchomo.

– Nie umiem pływać, a wiedziałam, że gdybym zaczęła się szarpać, przeszkadzałabym ci.

Była już władczyni Tarydów miała w sobie o wiele więcej niż sobie wyobrażałem.

– Co teraz zrobimy? – zapytała.

Szczękała zębami z zimna lub grozy i sprawiała wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

– Zmarzłaś – powiedziałem. – O ile uda mi się znaleźć coś dość suchego, żeby to podpalić, zrobimy ognisko.

Dziewczyna podeszła do mnie. Poczułem przy sobie jej dygoczące ciało.

– Trochę mi zimno, ale to nic – powiedziała. – Bardzo się boję.

– Dlaczego, Ozaro? Sądzisz, że Ul Vas wyśle za nami ludzi?

– Nie, nie o to chodzi. Nie zmusiłby ich, żeby weszli do puszczy w nocy, a nawet za dnia wolą nie zapuszczać się na tę stronę rzeki. Jutro będzie pewny, że nie musi wysyłać za nami pościgu, ponieważ będziemy martwi.

– Dlaczego tak mówisz?

– Chodzi o bestie, które polują tu nocą. Nie uciekniemy im.

– A jednak poszłaś za mną z własnej woli.

– Ul Vas kazałby nas torturować. Zwierzęta są bardziej miłosierne.

Posłuchaj! To one!

Usłyszałem w oddali dziwne pochrząkiwania, a potem straszliwy ryk.

– Są daleko – stwierdziłem.

– Przyjdą tu.

– W takim razie lepiej rozpalić ognisko; będą trzymać się z dala od ognia.

– Tak sądzisz?

– Taką mam nadzieję.

Wiedziałem, że w każdym lesie musiały zalegać jakieś suche gałęzie, więc mimo nieprzeniknionego mroku zacząłem szukać chrustu. Niedługo udało mi się zebrać niewielki stos ułamanych gałęzi i trochę suchych liści.

Tarydzi nie zabrali mi noszonej na pasie sakwy, w której miałem nadal używane powszechnie na Marsie urządzenie do rozpalania ognia.

– Mówiłaś, że Tarydzi nawet w dzień unikają zapuszczania się do puszczy – zauważyłem, układając suche liście na podpałkę. – Dlaczego?

– Chodzi o Masenów. Często wędrują gromadami wzdłuż rzeki, urządzając polowania na Tarydów i biada temu, kogo znajdą za murami zamku. Ale rzadko zdarza się, żeby przechodzili na drugą stronę rzeki.

– Dlaczego polują na Tarydów? – spytałem. – Po co im oni?

– Do jedzenia.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że Masenowie jedzą ludzkie mięso?

Skinęła głową.

– Owszem, bardzo je lubią.

Udało mi się podpalić liście, po czym zająłem się układaniem na płomieniach niewielkich gałązek i budowaniem ogniska godnego tej nazwy.

– Przecież trzymali mnie długo w celi z jednym z nich – przypomniałem.
– Wydawał się przyjazny.

– Oczywiście, w tych okolicznościach mógł powstrzymać się od pożarcia cię. Mógł nawet zaprzyjaźnić się z tobą, ale gdybyś natknął się na niego w puszczy wśród jego ludu, zauważyłbyś wielką zmianę. Masenowie są drapieżnikami, jak wszystkie inne bestie, które mieszkają w tej puszczy.

Ognisko urosło do przyzwoitej wielkości, rzucając blask na las, powierzchnię rzeki i zamek na drugim brzegu.

Kiedy rozbłysło jaśniej i staliśmy się widoczni, Tarydzi zaczęli wołać głośno w naszą stronę, przepowiadając nam rychłą śmierć.

Po wyjściu z zimnej wody i nocnym chłodzie puszczy ciepło ogniska było bardzo przyjemne. Ozara zbliżyła się do ognia, wyciągając przed nim gibkie, młode ciało. Żółte płomienie oświetlały jej jasną skórę, nadając niebieskim włosom zielonkawy odcień i budząc uśpione ognie w sennych oczach.

Nagle zeszywniała, otwierając szeroko oczy w przerażeniu.

– Patrz! – szepnęła, wskazując palcem.

Odwróciłem się w kierunku, który pokazywała. W głębokim cieniu tuż poza zasięgiem światła, płonęła para oczu.

– Przyszły po nas! – jęknęła.

Wyjąłem z ogniska płonącą żagiew i cisnąłem nią w intruza. Oczy zniknęły przy akompaniamencie mrozącego krew w żyłach ryku.

Ozara znowu zaczęła dygotać, rozglądając się z trwogą na wszystkie strony.

– Tam jest kolejny! – zawołała zaraz. – Tam, i tam, i jeszcze jeden!

Zauważyłem przemykające w cieniu wielkie ciało, a wszędzie wokół, gdziekolwiek obróciłem wzrok, widać było płonące oczy. Rzuciłem w las kilka kolejnych gałęzi z ogniska, ale oczy znikały tylko na chwilę, żeby

niemal od razu powrócić, za każdym razem coraz bliżej, zaś od kiedy cisnąłem pierwszą zwierzęta nie przestawały ryczeć, warczeć i skrzeczeć, tworząc istną kakofonię grozy.

Zdawałem sobie sprawę, że ognisko nie przetrwa długo, jeśli nie przestanę rzucać polanami, ponieważ nie miałem dość paliwa, aby je podtrzymać.

Musiałem coś zrobić. Rozglądając się rozpaczliwie za drogą ucieczki, zauważyłem w pobliżu drzewo, na które prawdopodobnie moglibyśmy się z łatwością wdrapać. Tylko ono dawało nam jakieś szanse, choć nie miałem cienia wątpliwości, że kiedy tylko zaczniemy się wspinać, zwierzęta ruszą do ataku.

Wyjąłem z ogniska dwie płonące gałęzie i podałem je Ozarze, po czym sam wziąłem dwie kolejne.

– Co robimy? – spytała.

– Spróbujemy wspiąć się na to drzewo. Może niektóre z tych zwierząt też to potrafią, ale musimy zaryzykować. Te, które widziałem, wyglądają na zbyt wielkie i ciężkie. Podejdziemy powoli pod drzewo. Kiedy tam będziemy, rzucisz gałęziami w najbliższe zwierzęta i zaczniesz się wspinać. Kiedy znajdziesz się poza ich zasięgiem, pójdę w twoje ślady.

Przesuwaliśmy się powoli od ogniska do drzewa, wymachując żagwiami.

Kiedy stanęliśmy pod drzewem, Ozara zrobiła, co kazałem, a kiedy dotarła na bezpieczną wysokość, rzuciłem jedną gałęzią, chwytając drugą w zęby, i zacząłem się wspinać.

Zwierzęta niemal od razu ruszyły do ataku, ale dotarłem dość wysoko, zanim zdążyły mnie ściągnąć, choć mając w oczach dym i czując na gołej skórze iskry miałem szczęście, że w ogóle udało mi się wdrapać wyżej. Czulem jednak, że światło jeszcze nam się przyda, nie wiedziałem bowiem, jacy leśni wrogowie mogli czyhać w gałęziach nad nami.

Zbadałem od razu drzewo, wspinając się na najwyższe gałęzie, które mogły utrzymać mój ciężar. Korzystając z pochodni udało mi się stwierdzić, że nie było na nim nikogo poza naszą dwójką, a wśród wyższych gałęzi trafiłem na fortunne znalezisko: starannie zbudowane, ogromne gniazdo wyłożone miękką trawą.

Miałem już zawołać Ozarę, żeby weszła za mną, kiedy zauważyłem, że zdążyła już to zrobić.

Na widok gniazda poinformowała mnie, że było to zapewne jedno z tymczasowych schronień Masenów, jakie budowali podczas najazdów lub wypraw do tej części puszczy. Znalezisko z całą pewnością było opatrnościowe, ponieważ zapewniło nam wygodne miejsce odpoczynku na resztę nocy.

Minęło nieco czasu, zanim przyzwyczailiśmy się do odgłosów warczących w dole zwierząt, ale w końcu udało nam się zasnąć, a kiedy obudziliśmy się rano, zwierzęta zniknęły, a w lesie panowała cisza.

Ozara powiedziała mi, że Domnia, skąd pochodziła, leżała za górami wznoszącymi się za puszcza i że można było tam dotrzeć idąc odpowiednio długo z biegiem rzeki aż do końca łańcucha górskiego, skąd można było zejść do jej ojczyzny podążając w górę kolejnej rzeki.

Najbardziej niezwykle w kolejnych dwóch dniach było to, że je przeżyliśmy. Znaleźliśmy mnóstwo jedzenia, a ponieważ nie oddalaliśmy się od rzeki, nie brakowało nam wody, ale dniem i nocą groził nam stale atak przemierzających puszcza mięsożerców.

Za każdym razem próbowaliśmy uratować się, wspinając się na drzewa, ale trzykrotnie zostaliśmy zaskoczeni i musiałem uciec się do miecza, który okazał się bardzo nieporęczną obroną przed niektórymi z bestii, które nas napadły.

Ale nawet przy tych trzech okazjach udało mi się zabić drapieżców, choć przyznaję, że wydawało mi się to wtedy – i nadal się wydaje – czystym trafem.

Jak dotąd, Ozara zachowywała o wiele bardziej optymistyczne nastawienie z nas dwojga. Czuła, że skoro udało nam się przeżyć tak długo, istniały szanse, że uda nam się jeszcze dotrzeć do jej kraju, choć początkowo była przecież przekonana, że nie przetrwamy pierwszej nocy.

Często miała teraz radosny nastrój i okazywała się dobrą towarzyszką podróży, zwłaszcza rano trzeciego dnia, kiedy pokonaliśmy już spory kawałek drogi do odległego celu.

Puszczą zdawała się niezwykle cicha i cały dzień nie widzieliśmy żadnych groźnych zwierząt, kiedy ni stąd ni zowąd otoczył nas chór przerażających ryków, a równocześnie z ukrycia w liściach nad nami wyskoczyło co najmniej dwadzieścia stworzeń.

Radosny szczebiot Ozary zamarł jej na wargach.

– Masenowie! – krzyknęła.

Kiedy otoczyli nas i zaczęli podchodzić bliżej, przestali ryczeć, a zaczęli miauczeć i pomrukiwać, co wydało mi się o wiele bardziej przerażające. Postanowiłem, że każę im słono zapłacić za schwytanie nas, choć wiedziałem, że w końcu nas pokonają. Ostatecznie widziałem przecież Umkę w walce i wiedziałem, czego się po nich spodziewać.

Choć zaciskali stale krąg wokół mnie, nie spieszyli się do walki. Napierając coraz bliżej to z jednej, to z drugiej strony, ustępując raz tu, raz tam, zmuszali mnie do przemieszczania się. Zbyt późno zauważyłem, że przesuwałem się w narzuconym mi przez nich kierunku.

Po krótkim czasie zapędzili mnie tam, gdzie chcieli – pod gałęzie wielkiego drzewa. Niemal od razu jakiś Masena zeskoczył mi na barki i powalił na ziemię. Równocześnie opadła mnie większość pozostałych, podczas gdy kilku chwyciło Ozarę, i w ten sposób obezwładnili mnie, zanim zdążyłem zadać choć jeden cios.

Następnie zaczęli głośno mruzczeć i zdawało się, że wdali się w jakąś dyskusję, ale ponieważ prowadzili ją we własnym języku, nie rozumiałem ich. Niedługo jednak ruszyli w dół rzeki, ciągnąc nas ze sobą.

Po jakiejś godzinie dotarliśmy do części puszczy oczyszczonej z poszycia. Ziemia pod drzewami przypominała zadbane trawnik, a gałęzie drzew przycięto na sporej wysokości od gruntu.

Kiedy dotarliśmy na skraj tej podobnej do parku okolicy, nasza eskorta zaczęła głośno ryczeć, na co odpowiedziano zaraz z drzew, do których się zbliżaliśmy.

Zawleczono nas do stóp wielkiego drzewa, po którym kilku Masenów wspięło się z kocią zwinnością. Pojawił się problem, w jaki sposób mieli przetransportować nas na górę. Widziałem, że było to dla nich – nie bez powodu – kłopotliwe zadanie. Pień drzewa był tak gruby, że nie wspiałby się po nim żaden zwykły człowiek, a wszystkie gałęzie przycięto zbyt wysoko, aby ktokolwiek do nich doskoczył. Z łatwością dostałbym się na nie, ale nie powiedziałem im o tym. Ozara jednak nigdy nie dokonałaby tego o własnych siłach.

Wkrótce, po dość długim pomrukiwaniu i miauczeniu, część stojących na drzewie spuściła na dół elastyczną lianę. Jeden z pozostałych na powierzchni ludzi-kotów objął Ozarę w talii jedną łapą, drugą i obiema stopami chwytając się pnącza. Stojący w górze zaczęli wciągać tę ludzką windę, aż trafiła w gałęziach na oparcie dla siebie i pasażera.

W ten sam sposób wciągnięto również mnie, zaś dalsza wspinaczka była już łatwa.

Pokonaliśmy ledwie kilka stóp, kiedy trafiliśmy na prymitywną platformę, na której wzniesiono jeden z niezwykłych leśnych domów Masenów.

Podobne konstrukcje widać było we wszystkich kierunkach, jak daleko sięgałem wzrokiem przez liście. Widziałem, że tu i ówdzie gałęzie wycięto i przerzucono między drzewami, tworząc kładki. Gdzie indziej widać było tylko rozwieszane liany, po których Masenowie przemieszczali się między drzewami, korzystając z rąk.

Dom, do którego nas wprowadzono, był całkiem spory i z łatwością mieścił nie tylko około dwudziestu ludzi-kotów, którzy nas schwytali, ale co najmniej pół setki innych, którzy zebrali się wkrótce.

Masenowie przykucnęli zwróceniami twarzami w stronę drugiego końca pomieszczenia, gdzie siedział samotny samiec, którego uznałem za ich króla.

Zaczęli rozmawiać o nas w swoim języku, miaucząc i pomrukując przy tym co niemiara, aż wreszcie straciłem cierpliwość. Przypomniawszy sobie, że Umka posługiwał się językiem Tarydów, uznałem za prawdopodobne, że niektórzy z obecnych również nim władali, wobec czego zwróciłem się do nich w tej mowie.

– Dlaczego nas schwytaliście? Nie jesteśmy waszymi wrogami. Uciekaliśmy od Tarydów, którzy nimi są. Uwięzili nas i chcieli zabić. Czy ktoś z was rozumie, co mówię?

– Ja cię rozumiem – odpowiedziało stworzenie, które wzięłem za ich władcę. – Rozumiem twoje słowa, ale te argumenty są bez znaczenia. Kiedy wychodzimy z domu do puszczy, nie zamierzamy zrobić krzywdy żadnemu stworzeniu, a jednak nie chroni to nas przed drapieżnikami. Niewiele znajdziesz argumentów, żeby przekonać głodny żołądek.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzacie nas zjeść?

– Ależ oczywiście.

Ozara przysunęła się do mnie.

– A więc to koniec – szepnęła. – Co za okropna śmierć! Nic nie zyskaliśmy, uciekając Ul Vasowi.

– Przynajmniej zaznaliście trzech dni wolności – przypomniałem. – Poza tym kiedyś i tak przyjdzie nam zginąć.

Król Masenów przemówił do swoich ludzi w ich mowie, na co zaczęli zaraz miauczeć i pomrukiwać głośno, po czym kilku chwyciło nas, powarkując groźnie i ciągnąc w stronę wejścia.

Byli już prawie w drzwiach, kiedy ktoś wszedł do środka i zatrzymał się przed nami.

– Umka! – zawołałem.

– John Carter! Co tu robisz z jeddarą Tarydów?

– Uciekliśmy Ul Vasowi, a teraz twoi pobratymcy zamierzają nas zjeść – poinformowałem go.

Umka powiedział coś do ludzi, którzy próbowali wywlec nas na zewnątrz. Zawahali się chwilę, po czym zaprowadzili nas z powrotem przed króla, do którego Umka przemawiał przez kilka chwil.

Kiedy skończył, król i reszta obecnych wdali się w ożywioną dyskusję. Ucichli wreszcie, po czym Umka odwrócił się do mnie.

– Za to, to co zrobiliście dla mnie, puszczą was wolno, ale musicie natychmiast opuścić nasz kraj.

– Na niczym nam bardziej nie zależy – odpowiedziałem.

– Część z nas dopilnuje, żeby żaden Masena nie zaatakował was, dopóki będziecie na naszych ziemiach.

Kiedy wyruszyliśmy w drogę z naszą niezwykłą eskortą, poprosiłem Umkę, żeby podzielił się ze mną wiedzą o losach moich przyjaciół.

– Po tym, jak opuściliśmy zamek Tarydów, przez dłuższy czas dryfowaliśmy beczynn timer w powietrzu – wyjaśnił. – Chcieliśmy lecieć za człowiekiem, który porwał kobietę drugim statkiem, ale nie wiedzieliśmy, gdzie ich szukać. Dziś zauważyłem, że znaleźliśmy się nad moim krajem i poprosiłem, żeby mnie wysadzili. Zrobili to i o ile wiem, nie odlecieli jeszcze, ponieważ chcieli zabrać zapas świeżej wody, zebrać trochę owoców i zapolować.

Okazało się, że statek wylądował w miejscu niezbyt oddalonym od tego, gdzie właśnie byliśmy, i na moją prośbę zaprowadził nas do niego.

Kiedy zbliżaliśmy się do miejsca lądowania, serca dwojga ludzi w naszej grupie omal nie przestały bić, tak wielka była nasza niepewność. Dla Ozary

i dla mnie obecność statku mogła z powodzeniem oznaczać różnicę między życiem a śmiercią.

Wtedy naszym oczom ukazał się niezwykle pojazd, spoczywający na niewielkiej polanie wśród drzew.

Umka uznał, że najlepiej będzie, jeśli on i jego rodacy nie będą zbliżać się do statku, ponieważ mogliby nie powstrzymać ich w obecności reszty moich towarzyszy, których nie obiecali chronić. Podziękowaliśmy mu więc i pożegnaliśmy się, po czym wtopił się w las ze swoimi pobratymcami.

Nikt z obecnych na statku nie zauważył, jak się zbliżaliśmy. Dostrzegli nas dopiero, kiedy podeszliśmy całkiem blisko. Przywitali nas radośnie, jak wracających z za grobu. Nawet Ur Jan szczerze się ucieszył, widząc mnie przy życiu.

Zabójca był wściekły na Gar Nala, ponieważ ten złamał złożoną mu przysięgę. Ku mojemu zaskoczeniu, rzucił mi miecz do stóp, przysięgając wieczną wierność.

– Nigdy w życiu nie walczyłem u boku takiego szermierza – powiedział. – I nikt nie powie, że wyciągnąłem przeciw niemu miecz.

Przyjąłem go na służbę, po czym zapytałem, jak udało im się pokierować statkiem.

– Tylko Zanda wiedziała cokolwiek o tym pojeździe i mechanizmie, który nim steruje – wyjaśnił Jat Or. – Po paru eksperymentach okazało się, że potrafi nim kierować.

Spojrzał z dumą na dziewczynę, a w jego uśmiechu wyczytałem wiele z tego, co zaszło między nimi.

– Zdaje się, że twoje przejścia nie zaszkodziły ci, Zando – powiedziałem. – Właściwie wyglądasz na szczęśliwą.

– Jestem bardzo szczęśliwa, Vandorze – odparła. – Szczęśliwsza niż mogłam się spodziewać.

Wypowiedziała moje fałszywe imię z naciskiem i miałem wrażenie, że zauważyłem ukryty w jej spojrzeniu uśmiech.

– Czy twoje szczęście jest dość wielkie, żebyś zapomniała o przysiędze, aby zabić Johna Cartera?

Oddała mi kpiarski uśmiech.

– Nie znam nikogo o tym imieniu.

Jat Or i Ur Jan roześmiali się, ale widziałem, że Ozara nie rozumiała sedna żartu.

– Dla jego dobra mam nadzieję, że nigdy go nie spotkasz – powiedziałem. – Zdążyłem go polubić i nie chciałbym usłyszeć o jego śmierci.

– Owszem, nie chciałbym go zabić, bowiem teraz już wiem, że to najodważniejszy wojownik i najlepszy przyjaciel na świecie. Może z jednym wyjątkiem – dodała, rzucając szelmowskie spojrzenie w stronę Jat Ora.

Omówiliśmy naszą sytuację i spróbowaliśmy ułożyć plan działania, a w końcu postanowiliśmy posłuchać rady Ozary i udać się najpierw do Domni, gdzie mieliśmy poprosić o pomoc jej ojca. Jej zdaniem, stamtąd mogliśmy z większą łatwością kontynuować poszukiwania Gar Nala i Dejah Thoris.

Nie będę marnował twojego czasu na opis podróży do kraju Ozary i powitania, jakie sprawił nam jej ojciec, czy niezwykłych widoków, jakie ujrzelśmy w tym mieście.

Ojciec Ozary to jeddak Domni, potężny człowiek powiązany sojuszami z innymi miastami satelity. Posiada szpiegów we wszystkich krajach, z którymi utrzymuje relacje, i nie minęło dużo czasu, zanim dotarła do niego wiadomość, że w mieście o nazwie Ombra przechwycono dziwny obiekt unoszący się w powietrzu, na którego pokładzie byli kobieta i mężczyzna.

Udzielono nam dokładnych wskazówek, jak tam dotrzeć, po czym wymusiwszy na nas obietnicę, że odwiedzimy ich jeszcze na koniec naszych przygód, nasi gospodarze pożegnali się z nami.

Rozstanie z Ozarą przebiegło dość boleśnie. Dziewczyna oznajmiła mi otwarcie, że nadal mnie kochała, ale musiała ustąpić przed faktem, że moje

serce należało do innej. Okazała przy tym wspaniałą siłę charakteru, o którą jej nie podejrzewałem, a przy pożegnaniu życzyła mi, abym odnalazł księżniczkę i cieszył się zasłużonym szczęściem.

Kiedy statek wzbił się w powietrze, poczułem uniesienie i pewność, że wkrótce połączę się z ukochaną. Nie wątpiłem w sukces naszej wyprawy, ponieważ ojciec Ozary opowiedział mi o charakterze jeddaka Ombry, który miał być skończonym tchórzem, skłonny do negocjacji i błagania na kolanach o pokój po dowolnym pokazie siły.

A mogliśmy urządzić mu pokaz, jakiego mieszkańcy Ombry jeszcze nie oglądali, ponieważ podobnie jak wszystkie zamieszkujące Thurię ludy nie znali broni palnej.

Zamierzałem przelecieć nisko nad miastem i zażądać wydania Dejah Thoris i Gar Nala, bez wystawiania się na niebezpieczeństwo.

Gdyby odmówili, czego się raczej spodziewałem, zamierzałem zademonstrować skuteczność broni palnej z Barsoom za pomocą dział, w które uzbrojony był statek. Nie wątpiłem, że to przemówiłoby jeddakowi do rozumu, nie zmuszając mnie przy tym do niepotrzebnego rozlewu krwi.

Wylatywaliśmy w stronę Ombry w radosnych nastrojach. Jat Or i Zandra snuli plany dotyczące domu, jaki zamierzali urządzić w Helium, a Ur Jan wyczekiwał pozycji w mojej świetle i honorowego, ucziwego życia.

Po krótkim czasie Zanda zwróciła moją uwagę na to, że wznieśliśmy się na sporą wysokość i poskarżyła się na zawroty głowy. Niemal równocześnie również poczułem ogarniającą mnie słabość, zaś Ur Jan upadł.

Jat Or i ja poszliśmy chwiejnym krokiem do sterowni, gdzie wystarczyło spojrzenie na wysokościomierz, aby przekonać się, że osiągnęliśmy niebezpieczną wysokość. Poleciałem natychmiast, aby mechaniczny mózg dostosował do niej ilość tlenu w kabinie i kazałem mu zejść bliżej powierzchni.

Posłuchał pierwszego polecenia, ale nie przestawał się wznosić, docierając w końcu poza punkt, w którym wysokościomierz był jeszcze przydatny.

Kiedy Thuria znikła w oddali za rufą, uświadomiłem sobie, że lecieliśmy z ogromną prędkością, przekraczającą mocno moje zalecenia.

Najwyraźniej mózg wyrwał się spod kontroli. Nie mogłem nic na to poradzić, wróciłem więc do kabiny, gdzie odkryłem, że Zanda i Ur Jan doszli już do siebie po tym, jak powietrze w kabinie zostało wzbogacone w tlen.

Powiedziałem im, że statek pędził na oślep przez kosmos i mogliśmy co najwyżej snuć jałowe spekulacje na temat naszego ostatecznego losu – na ten temat wiedzieli tyle samo, co ja.

Moje nadzieje legły w gruzach, a im bardziej oddalaliśmy się od Thurii, tym większą czułem udrękę, choć starałem się skrywać uczucia przed przyjaciółmi.

Nadzieja, choćby tylko na przeżycie tej przygody, odżyła w naszych sercach dopiero, kiedy stało się jasne, że lecieliśmy na Barsoom.

Kiedy zbliżaliśmy się do powierzchni planety, widziałem już wyraźnie, że ktoś kierował statkiem i zastanawiałem się, czy mechaniczny mózg nie nabył przypadkiem zdolności samodzielnego myślenia, ponieważ wiedziałem, że pojazdem nie sterowałem ani ja sam, ani żaden z moich towarzyszy.

Na zewnątrz była ciemna noc. Statek zbliżał się do wielkiego miasta. Zobaczyłem przed nami światła, a kiedy zbliżyliśmy się do nich, rozpoznałem Zodangę.

Statek, jakby kierowany ludzką myślą i ręką, przesunął się w ciszy nad wschodnim murem i opadł w mroczną alejkę, po czym zaczął przesuwać się spokojnie w stronę nieznanego celu.

Po niedługim czasie, cel naszej wędrówki okazał się całkiem jasny. Lecieliśmy powoli przez znajomą okolicę. Zanda była ze mną w sterowni,

wyglądając przez jedno z przednich okien.

– To dom Fal Sivasa! – zawołała.

Wtedy również rozpoznałem budynek, po czym tuż przed nami ukazała się otwarta brama wielkiego hangaru, z którego wykradłem statek.

Pojazd obrócił się powoli z najwyższą precyzją, aż zawisł ogonem w stronę bramy. Następnie wleciał tyłem do hangaru i osiadł na rusztowaniu.

Poleciłem mu otworzyć drzwi i wypuścić drabinę, i po chwili zacząłem szukać Fal Sivasa, żeby zażądać wyjaśnień. Ur Jan i Jat Or szli przy mnie z wyciągniętymi mieczami, a Zanda trzymała się zaraz za nami.

Udałem się prosto do pokojów wynalazcy. Okazały się opuszczone, ale wychodząc, zauważyłem przyklejoną do drzwi wiadomość, zaadresowaną do mnie.

Otworzyłem ją i przeczytałem:

*Od Fal Sivasa z Zodangi
do Johna Cartera z Helium.*

Oto, co musisz wiedzieć:

Zdradziłeś mnie. Ukradłeś mój statek. Sądziłeś, że twój nędzny umysł może mierzyć się z mózgiem wielkiego naukowca.

Dobrze, zatem, niech odbędzie się między nami pojedynek umysłów – twój mózg przeciw mojemu. Zobaczymy, kto wygra.

Przywołuję statek z powrotem.

Polecę mu wrócić z pełną prędkością z dowolnego miejsca, w które mogłeś go zabrać. Zabraniam mu dopuszczać do jakichkolwiek zmian kursu, wprowadzonych przez kogoś poza mną. Rozkazuję mu wrócić do

hangaru i pozostać tam na zawsze, chyba że otrzyma ode mnie inne polecenia.

Kiedy przeczytasz tę wiadomość, będziesz wiedział, że wygrałem i póki żyję, nikt poza mną nim nie pokieruje.

Mogłem sprawić, aby statek roztrzaskał się na kawałki i uśmiercić cię w ten sposób, ale wtedy nie mógłbym napawać się zwycięstwem, jak teraz.

Nie szukaj mnie. Ukryłem się tam, gdzie nigdy mnie nie znajdziesz.

To wszystko.

Wiadomość miała w sobie coś ostatecznego i ponury, władczy ton, wykluczający wszelką nadzieję. Byłem zdruzgotany.

Podąłem ją w milczeniu Jat Orowi, prosząc, aby przeczytał ją na głos. Kiedy skończył, Ur Jan wyjął krótki miecz i podał mi go rękojeścią do przodu.

– To ja jestem sprawcą twojej rozpacz – powiedział. – Moje życie należy do ciebie. Składam ci je teraz w ofierze jako zadośćuczynienie.

Potrząsnąłem głową i odsunąłem ostrze na bok.

– Nie wiedziałeś, co robisz – powiedziałem.

– Może to jeszcze nie koniec – powiedziała Zanda. – Czy Fal Sivas zdołałby znaleźć kryjówkę, w której nie odszukaliby go zdeterminowani ludzie?

– Poświęćmy na to nasze życie – powiedział Jat Or, na co cała nasza czwórka złożyła uroczystą przysięgę, że nie spoczniemy, póki nie znajdziemy wynalazcy.

Kiedy wyszliśmy na korytarz, ujrzałem zbliżającego się do nas człowieka. Poruszał się ukradkiem i nie zauważył mnie od razu, ponieważ co chwila oglądał się trwożnie przez ramię, jakby bał się, że odkryje go ktoś idący za nim.

Kiedy odwrócił się przodem do mnie, obaj zdziwiliśmy się niepomernie: był to Ulsio Rapas!

Na widok Ur Jana i mnie stojących ramię w ramię, twarz Szczura poszarzała. Odwrócił się, jakby zamierzał rzucić się do ucieczki, ale najwyraźniej przemyślał to, ponieważ obrócił się znów twarzą do nas i stał, wbijając w nas wzrok jak zahipnotyzowany.

Kiedy podeszliśmy bliżej, uśmiechnął się głupawo.

– Co za niespodzianka, Vandorze – powiedział. – Cieszę się, że cię widzę.

– Nie wątpię – odpowiedziałem. – Co tu robisz?

– Przyszedłem na spotkanie z Fal Sivasem.

– Spodziewałeś się go tu zastać? – zapytał Ur Jan.

– Tak.

– W takim razie dlaczego się skradałeś? Kłamiesz Szczurze! Wiedziałeś, że go tu nie ma, inaczej nie odważyłbyś się tu przyjść, bo wiedziałeś, że twoja praca dla mnie przestała być dla niego tajemnicą.

Ur Jan zrobił krok do przodu i chwycił Rapasa za gardło.

– Słuchaj no, Szczurze. Wiesz, gdzie jest Fal Sivas. Powiesz mi to albo skręcę ci kark.

Rapas zaczął płaszczyć się i jęczeć.

– Przestań, to boli! – zawołał. – Zabijesz mnie.

– Przynajmniej raz w życiu nie kłamiesz – warknął zabójca. – Gadaj szybko. Gdzie jest Fal Sivas?

– Jeśli wam powiem, obiecujecie darować mi życie?

– Obiecuję to i jeszcze więcej – powiedziałem. – Powiedz, gdzie on jest, a dam ci tyle złota, ile wazysz.

– Mów! – Ur Jan potrząsnął nim mocniej.

– Fal Sivas jest w domu Gar Nala, ale proszę, nie mówcie mu, że to ja wam powiedziałem. Nie zdradźcie mnie bo zabije mnie w straszny sposób.

Nie ośmieliłem się puścić go wolno z obawy, że nas zdradzi. Zresztą, obiecał wprowadzić nas do domu Gar Nala i pokierować do pokoju, w którym mieliśmy znaleźć Fal Sivasa.

Nie wyobrażałem sobie żadnego powodu, dla którego starzec mógłby ukryć się w domu rywala, chyba że zakradł się tam pod jego nieobecność, żeby wykraść choć część jego sekretów. Nie zwracałem sobie jednak głowy wypytywaniem Rapasa o to, ponieważ nie wydawało mi się to szczególnie ważne. Wystarczyło, że wiedziałem, gdzie znaleźć Fal Sivasa.

Dotarliśmy do domu Gar Nala w okolicach ziemskiej północy czyli w pół do dziewiątej czasu marsjańskiego. Rapas wprowadził nas do środka i zaprowadził na trzecie piętro wąskimi pochylniami na tyłach budynku, na których nie natknęliśmy się na nikogo. Poruszaliśmy się cicho w milczeniu, aż wreszcie nasz przewodnik zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

– To tutaj – szepnął.

– Otwórz! – poleciłem.

Nacisnął klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte na klucz. Ur Jan odepchnął go, po czym rzucił się całym ciężarem na drzwi. Wpadły do środka przy akompaniamencie pękających desek. Skoczyłem przez próg i ujrzałem siedzących przy stole Fal Sivasa i Gar Nala. Gar Nala, o którym myślałem, że był uwięziony w mieście Ombra na Thurii!

Kiedy rozpoznali mnie i Ur Jana, obaj poderwali się na równe nogi. Na ich pełnych zła twarzach malowała się groza i zaskoczenie.

Rzuciłem się przed siebie i chwyciłem Gar Nala, zanim zdążył sięgnąć po miecz, zaś Ur Jan skoczył w stronę Fal Sivasa. Zabiłby go od razu, ale zabroniłem mu tego. Chciałem poznać los Dejah Thoris, a jeden z nich musiał wiedzieć, co się z nią stało. Nie mogli umrzeć, dopóki jej nie poznałem.

– Co tu robisz, Gar Nalu? – zapytałem. – Sądziłem, że zostałeś uwięziony.

– Uciekłem – odpowiedział.

– Czy wiesz, gdzie jest moja księżniczka?

– Tak.

– A zatem?

Posłał mi chytre spojrzenie.

– Chciałbyś wiedzieć, prawda? – zapytał drwiącym głosem. – Uważasz, że jestem aż tak głupi, żeby ci to powiedzieć? Nie, dopóki nie wiesz tego, a ja tak, nie ośmielisz się mnie zabić.

– Wyciągnę z niego prawdę – warknął Ur Jan. – Trzymaj, Rapas! Rozgrzej ten sztylet do czerwoności.

Ale kiedy obejrzelismy się, Szczura już z nami nie było. Zdążył uciec, kiedy wyważaliśmy drzwi.

– No cóż, zrobię to sam – stwierdził Ur Jan. – Ale najpierw pozwól mi zabić Fal Sivasa.

– Nie, nie! – wrzasnął stary wynalazca. – To nie ja porwałem księżniczkę Helium a Gar Nal!

Zaczęli przerzucać się oskarżeniami i zaraz dowiedziałem się, że kiedy Gar Nal wrócił z Thurii, obaj geniusze i arcyłotry w jednym ogłosili zawieszenie broni i postanowili połączyć siły, ponieważ łączył ich strach przede mną. Gar Nal miał ukryć Fal Sivasa, za co ten miał zdradzić mu tajemnicę mechanicznego mózgu.

Obaj byli pewni, że dom Gar Nala był ostatnim miejscem na świecie, w którym szukałbym Fal Sivasa. Gar Nal poinstruował służbę, aby mówiła, że nie wrócił jeszcze z podróży z Ur Janem, dając do zrozumienia, że nadal przebywał na Thurii. Tymczasem jeszcze tej samej nocy zamierzał odlecieć do oddalonej kryjówki.

Ale to wszystko drażniło mnie tylko. Nie obchodzili mnie oni ani ich plany. Chciałem wiedzieć tylko jedno: co stało się z Dejah Thoris.

– Gdzie jest księżniczka, Gar Nalu? – zapytałem. – Powiedz, a daruję ci życie.

– Została w Ombrze na Thurii.

Odwróciłem się do Fal Sivasa.

– Właśnie zapadł twój wyrok śmierci.

– Dlaczego? Co ja mam z tym wspólnego?

– Uniemożliwiłeś mi kierowanie mechanicznym mózgiem, a tylko dzięki niemu mógłbym dotrzeć na Thurię.

Ur Jan uniósł miecz, żeby rozłupać mu czaszkę, ale stary tchórz padł na kolana i zaczął błagać o życie.

– Oszczędź mnie, a oddam ci statek i pozwolę nim kierować.

– Nie mogę ci zaufać – oświadczyłem.

– Możesz mnie ze sobą zabrać. To lepsze niż śmierć.

– Świetnie, ale jeśli spróbujesz udaremnić moje plany albo zdradzić mnie, zapłacisz życiem.

Odwróciłem się w stronę drzwi.

– Jeszcze dziś wracam dziś na Thurię – powiedziałem do przyjaciół. – Zabieram ze sobą Fal Sivasa. Kiedy wrócę z księżniczką (a bez niej nie zamierzam wracać), mam nadzieję, że zdołam odpłacić się wam w wymierny sposób za waszą niezrównaną wierność.

– Lecę z tobą, książę – powiedział Jat Or. – I nie chcę żadnej nagrody.

– Ja również lecę – powiedziała Zanda.

– I ja – warknął Ur Jan. – Ale najpierw proszę, pozwól mi przebić serce tego łotra mieczem.

Mówiąc to, ruszył w stronę Gar Nala.

– Musi zginąć za to, co zrobił. Dał ci słowo i złamał je.

Potrząsnąłem głową.

– Nie. Powiedział, gdzie znajdę księżniczkę, i zagwarantowałem mu bezpieczeństwo.

Burcząc, Ur Jan schował miecz do pochwy, po czym nasza czwórka z Fal Sivasem ruszyła w stronę drzwi. Pozostali szli przede mną. Wychodziłem jako ostatni, a stojąc w progu, usłyszałem jak po drugiej stronie pomieszczenia, które mieliśmy opuścić, otworzyły się drzwi.

Odwróciłem się, żeby to sprawdzić i moim oczom ukazała się stojąca w nich Dejah Thoris.

Pobiegłem jej na spotkanie, a ona ruszyła w moją stronę z wyciągniętymi rękami.

Oddychała ciężko i drżała, kiedy wziąłem ją w ramiona. – Myślałam już, że nie zdążę, mój wodzu – powiedziała. – Słyszałam wszystko, co zostało powiedziane w tym pokoju, ale byłam związana i zakneblowana, więc nie mogłam cię ostrzec, że Gar Nal chciał cię oszukać. Dopiero teraz udało mi się oswobodzić.

Okrzyk zdumienia, jaki wydałem na jej widok, przyciągnął uwagę moich towarzyszy. Zawrócili wszyscy, a kiedy trzymałem ją w ramionach, Ur Jan wyminął mnie i przebił mieczem przezarte zepsuciem serce Gar Nala.